

MAJSTERSZTYK



Wacław
Kostek
Biernacki

Straszny gość

Wacław Kostek-Biernacki

Straszny gość

Niesamowite
opowieści kresowe



vis-à-vis
etiuda
Kraków 2006

Twarda proswirka

Niektórzy sądzą, że po wycięciu starych borów i przekopaniu jarów na orne pola zmniejszyła się ilość czortów i wiedźm na bujnej ziemi ukraińskiej. Są nawet i tacy mądrze, jak córka Horbakowskiego popa, którzy twierdzą, że w ogóle czorty i wiedźmy nigdy nie istniały, więc i teraz tym bardziej nie mogą włączyć się między ludźmi, bo przecież dowodu osobistego mieć nie mogą, a bez tej pieczętowanej i bardzo nieprzyjemnej książeczki nikt nie przejdzie i dwóch wiorst po szosie do Korca ani po gościńcu do Mirohoszczy. Jest trochę prawdy w tych gadaniach ludzkich, co do dowodów osobistych mianowicie. Dawniej wędrujący czort ukradł sobie paszport i hulał, gdzie chciał. Dziś nie to! Fotografię kazali namazać klejem i przyklepić, a wiadomo, nie namalujesz takiego obrazka, jaki z diabelską pomocą wyciągnie z czarnej skrzynki Żyd wędrujący po wsiach z trójnogiem i rozkazem polskiego przystawa, aby malować niewinnych ludzi. A gdyby nawet Żyd z przyjaźni namalował i jaką wiedźmę, to i tak musiałby zgłosić się na post do strażników polskich, a tam zaraz pytają: a gdzie się urodziła? a ile ma lat? a jak imię matki, szwagra, nawet ojcu rodzonemu nie przepuszczą, ciekawi tacy! Cóż może powiedzieć czort czy czarownica? zełgać na nic, sprawdzą w kancelarii u starosty. Więc cała rozmowa byłaby niedługa i taka oto. Pyta starszy postu:

– Jak nazwisko, znaczy familia?

– Czort.

– Ładnie! I podobny że ty do czorta, sobacza duszo! – mówi grzecznie starszy, ani wiedząc, że to czort prawdziwy. – A imię jak?

– Imię też czort! – odpowiada wróg rodzaju ludzkiego.

– Łiesz, takiego imienia nie ma w kalendarzu! – gniewa się starszy.

A diablisko jak zacznie się tłumaczyć a wykręcać jak piskorz w błocie:

– Nie z kalendarza moje imię, ale z boru ciemnego, z jarów wilgotnych, głębokich, z żółtych trzcin i zielonych łągów nadbrzeżnych. A dał mi imię wichur jesienny, nocka czarna do chrztu mnie trzymała, obmył mnie deszczową wodą chłodną najstarszy pop na świecie: chmura ciemna, kłębiasta...

Żeby nawet i to starszy zapisał, tak sobie po pijanemu, już nie zapisze na pewno czortowej mamy. Jak usłyszy jej imię – nie powiem wam jakie, bo osiwielibyście ze strachu – przeżegna się na pewno! A choć to żegnanie się nie bardzo straszne diabłu, zawsze ono wyobraża krzyż święty, dlatego też nieprzyjemne złym duchom, choć tylko wtedy, gdy w pobliżu stoi cerkiew prawosławna, co siły nadaje nawet katolickim mo-

dlitwom i znakom. Kichnie tylko czort: apsik! i wychodzi sobie bez dowodu.

Więc powiadają młodszy, co przeszli w wojnie cały świat chrześcijański, że nie ma czortów ani wiedźm; ale oni sami przekonają się, że jest inaczej. Nie widzieli ich w wojsku – więc nie ma! Nosił wintówkę albo ciągnął za sznurek przy armacie – i już chce być mądrzejszy niż wypalacz węgla pod Stowyhoroszem, co miał sto pięćdziesiąt lat, jak jeszcze z ojcem jeździłem rzeką po miód żydowski do Kołek, a dziś – słyszę – żeni się i zaprosił na wesele wszystkich nieboszczyków z Czerewachy, gdzie wylęgął się, szczupaczy syn. Od niego nasłuchałbyś się cudów dziwów!

Ale najgorsze nauczycielki! Uczy to, zgniłe siemię, az – buki – wiedi, wyszywa kolorki czerwone na koszulach, śpiewa z dziećmi:

*Oj, chodyła diwczynieńka biereżkom,
zahaniała kaczoreńka batiuszkom*

i śmieje się, niedowiarek, jak wspomnisz o wiedźmach.

– Wiedźmy – powiada – i czorty nasze, to w bajkach tylko żyją. Człowiek oświecony wie, że wiedźma i czort to złe, stare baby i źli ludzie, a dureń tylko wierzy, że można na miotle jechać jak na koniu, albo mieszkać na dnie rzeki...

Człowiek oświecony! A któż ciebie oświecał, wiedźmo ty utajona? A kto twoje książki pisał? Może nie tacy ludzie, jak ja i stary Matwij z Mieźdurieczja? Dobrze, dobrze, nie tacy jak my, bo pewnie czorty same, co piaskiem w oczy a tumanem sinym w uszy chcą rzucić, żeby łatwiej zgubić duszę prawosławną. A jak pisali tacy jak my, chrześcijanie, to skąd wiesz, który jest durniem? Czy ten, co widzi w Kijowie czy Kowlu tylko mury i ulice, a jak chce zobaczyć niebo, to musi łeb do góry zadrzeć jak Świnia na dąb, z którego padają żołędzie; czy ten, co mu domem jest las szumiący o sprawach, o jakich nie wyśni się nigdy, murem granicznym – sklepienie nieba jasne lub ciemna chmura, a przy jego pracy nie skrzypi mu maszyna i nie jęczą a trzeszczą ludzkie gardła, ale śpiewa latem skowronek i wilga, a zimą huczy potężnie wichur północny, bujny, biały, ponury...

Hej, mówiłbym wam o tym wicherze i o lesie, i o wildze psotnicy, ale wy wolicie takie historie, gdzie musi coś mieć do roboty człowiek, brat wasz bliźni. Cóż robić, nosem maku nie utrzesz, więc trzeba opowiadać o proswirce, jak obiecałem.

Otóż prawdą jest, że teraz mniej widuje się złego plemienia diabelskiego. Ale nie lasy wycięte temu winne. Widzicie, wszystko na świecie zmienia się. Dawniej – chciałeś mieć deskę, żeby poprawić saraj albo zrobić nową ławkę przed domem – zwałiłeś sosnę czy dąb na dwa kozły, włożyłeś z piłą na górę, a drugiego postawiłeś pod kozłami – i choć siedem razy spluń w garść, deska gotowa! A dziś? Stoi żydowski tartak, tylko podwieszysz drzewo, a już łapią ci je na maszynę, zapalą pod czarnym kotłem, wielkim jak trzy razy brzuch sędziego ze Zdołbunowa, i zaczną się trrryp-trrryp, szii-sziiii, łapaj już za deskę gotową! Tak też zmieniły się sposoby a wykręty czortowe. Dziś czort i wiedźma i pod cerkiew samą podejda, i popa pociągną za uszy, jak pijany wraca z

chrzcin u bogatego chłopca. A ubierze się szykarnie, plemię przekłete, nie poznasz, wiedźma czy siostra starosty, czort czy piwowar z czeskiej kolonii... Och, niepojęta jest chytyłość wrogów naszych człowieczych!

Opowiem wam, nic nie utaję, co sam widziałem. Wierz – nie wierz, na dębie rosną żołędzie, a mnie od twojej wiary w brzuchu nie przybędzie. Kto łgarstwo miele – mokrą trzcinę ściele, zbudzi się rankiem – wodę wynoś dzbankiem, a gdzie dureń leży – wachać nie należy... Komu nie ochota słuchać, niech idzie do szkoły, tam mu opowiedzą nauczycielki, że ziemia się kręci jak pijany młynarz z Hoszczy na Boże Narodzenie...

W marcu, a wtedy już wojny nie było chyba ze dwa lata, wozilem drzewo z lasów Gliniańskich do tartaku w Surmiczach. Ale tam nie mogli wystarczyć z robotą, więc kazali mi wozić dalej, do Tarakanowa. Człowiek był biedny wtedy, musiał pomęczyć dobre koniaki i za te same grosze jechać dalej. Mosty na Ikwie, co dobre, to były w Dubnie, ale objazd daleki, siedem wiorst nałożyć trzeba było. A zaraz za Surmiczami był mały, prosty most na starych, nadpalonych w czasie wojny słupach. Strach jechać! Trzeszczy, gnij się, nie wiadomo dokąd przejedziesz: do Tarakanowa czy diabłu na kolację.

A za mostem jest długa grobla, z obu stron moczary a oczerety, jeziorka i wydmy, czysty raj diabli. Nieraz wracałem nocą, a tam chlupie się i gzi stado całe diabelskie. Wiatr szumi – myślę – albo sum łapie karasie w głębinach; żegnam się znakiem świętym i jadę dalej. Aż raz, byłem wtedy trochę pijany, ale mało co, dał mi się zobaczyć bies przekłety, na biedę moją niecodzienną.

Noc już była, kiedy wyjechałem z Tarakanowa. Księżyc – pucołowata, oszukańcza bestia – wyglądał już zza fortu, co stoi na szosie do Dubna, pusty, szczerza ruina, gdzie tylko lisy i sowy stale mieszkają, a w głębokich podziemiach czort na pewno sprawiałby tryzny po swojej ciotce świni, gdyby nie to, że nie lubi on, podlec, duszy sołdackiej. A tam na forcie, w kamiennej komórce stoi dzień i nocą wacht – wiadomo – służba! żartów nie ma. Stoi sobie sołdatik młody, wintówkę trzyma na ramieniu i marzy o sardzie wiśniowym, rodzicielskim, co nie dla niego, sieroty, zakwitnie w tym roku. Słusza-a-j! niedolo, opasana rzemieniem mocnym, patrz w oba oczy, nie przepuść i matce rodzonej, miłej!

Nikt za ciebie nie będzie patrzeć, nikt nie nadstawi uszów, czy nie zbliża się taki, komu prawo twoje sołdackie nie każe się zbliżać! Mówiono ci, tłumaczono, gołąbeczku niewinny, że dla Boga modlitwa, dla cara służba. A choć dawnego, ruskiego cara już nie ma – wieczna mu pamięć niech będzie! – zawsze komuś tam służysz, mówią jedni, że nazywa się on przyzdydent, ale to pewnie sam pan Piłsudski jest ichni car, albo sam najgłówniejszy naczelnik, równy carowi. Służ, dzieciątko chłopskie, mundur ci dali i czapkę z orłem, dolo ty nasza gorzka! Płacze matka starucha w chacie dalekiej, tęskni ojciec, siostra młodycia chlupie pod piecem. Nie luby owies koniowi twojemu, bury kot na kominie żałośnie mruczy. A ty stoisz sobie daleko, daleko przy gruzach siwych,

cichy, wiemy żołdat młodeńki. Nie ciężka ci służba, wiadomo, chłop jesteś, ale ciężka tęsknota serdeczna! Chcieli toporem unteroficerskim, ciężkim, obciosać z ciebie tęsknotę miłą a smutną – nie wydołali! Chcieli cię zmęczyć, utrudzić do potu dziewiątego – nie zmęczyli! Chcieli mieć żołdata, druha serdecznego wintówki kazionnej, służakę dobrego przy puszcze – i szkoda było ich trudu i krzyku w kazarmach ciasnych, urodziłeś się już żołdatem, chłopski synu! Sam bies wie dobrze, że i jemu na służbie nie przepuścisz, że nie otumani cię, kopyciarz czarny. Służba nie družba! Omija cię, szcur śmierdzący, boi się gorzej niż popa przy carskich wrotach.

Ot, i znów zagadał że się ja o żołdacie, zagadał! Wstyd prosto, a nie umiem powstrzymać języka, chodzi podlec jak Waśka listonosz do dworu w Hoszczy, gdzie mu zawsze dają szklanekę wódki, a czasem i zakąsić grochem ze słoniną. Znacie tego Waśkę? Kiedy jeszcze poczta jeździła rozstawnymi końmi do Zwiahła, siedział on na koźle koło jamszczyka i trąbił co trzy wiorsty, według rozkazu. Raz zatrąbił... ale znowu to samo, nie o Waśce przecież mam mówić!

Więc spokojnie przejechałem koło fortu – nie podejdziesz, diable, do żołdata! Jadę szosą, po obu stronach drzewa bez liści, nagie, rozczochrane, aż wyjechałem na groblę, między jeziora i trzciny wysokie. Bieleje twarda droga, z obu stron świecą koła srebrne, to znów czernieją niezmierzone głębiny, niby to ciche i spokojne, a jak wsłuchasz się – tak zaśpiewają anielskim gardłem, tak zagrają szumnie i tęsknie, że wrosną ci nogi w ziemię czarną, wilgotną i przepadła na wieki dusza twoja chrześcijańska. A jak zobaczysz jeszcze, kto tak gra i śpiewa – nie wymawiam nie w porę jego imienia – pójdziesz głową nieszczęsną na zatracenie, na śmierć okrutną w głębinach. Tylko przeżegnać się trzeba i uciekać, modląc się głośno do świętego Joakima, co był raz wciągnięty w przekłętą topiel diabelską, ale uratował go gwóźdź z drzewa Krzyża Świętego, który miał wbity w lewą nogę. A takiego gwoździa już nie kupisz nawet u mnichów w Poczajowskiej Ławrze. Chyba w Kijowie, ale tam wielki nieporządek, wiadomo: bolszewiki, wrogowie Chrystusa, antychrysty srogie!

Wjechałem na groblę, koniaki idą powoli, zmęczone, łby do ziemi, a ja siedzę na wozie i śpiewam sobie:

*Misiać swytyt, misiać jasnyj,
deż moj wik młodyj, krasnyj?*

aż tu nagle ktoś krzyknął: „Trrr!” Koń durny, nie poznał biesowskiego głosu i stanął, a mnie ciarki po grzbiecie przebiegły. Uch, myślę, będzie bieda! Przeżegnałem się i wołam: „Trogaj!” Konie mszyły i znów stanęły. Złazę ja z wozu i patrzę na szosę, co tam się stało? Pusto, droga równa, bieli się jak płótno na łące! Aż tu z jeziora z lewej strony wyłazi żaba nie żaba, ryba nie ryba, maleńkie takie, błyszczą się od wody, a oczy świecą czerwono, czerwono! Wylazło to na środek drogi, patrzę: ryba, okoń grzebieniasty... nie, żaba czarna, płaska... Mieni się to w oczach, skręca a rośnie... Wyrośli wreszcie na rybę, wielką taką, że na wędkę dla niej trzeba by łańcucha grubego jak

koło młyńskie, a haczyka do niej nie podwiózłbyś i parą wołów... Otworzyło pysk – zmiłuj się, Zbawicielu, nad nami grzesznymi! – choć wozem i kopą siana wjeżdżaj! Hap – i jednego konia jakby nie było! Hap – i naręczna siwa kobyłka ani jęknęła, już w gardle u czorta potwora! Nie wiem dlaczego, ale strach mnie nie złapał za włosy, tylko stoję, patrzę i myślę sobie: czy też i wóz połknie, bestia piekielna? A dyszel miałem nowy, mocny, okuty grabo. Zjadłeś pieczeń, zjedz i widelec, mówię sobie w duchu. A czort ryba otworzył pysk, widziałem jeszcze w piekielnym gardle oba biedne koniki w uprzęży... i wóz sam mu wjechał między szczęki!

Teraz na mnie kolej, pomyślałem. Nie pora było wzywać imienia Boskiego, od razu pojąłem, że to wola jego święta dała mnie na pożarcie błotnemu biesowi. Uklęknąłem na szosie na kamiennej i ze strachem niezmiernym zawołałem:

– Łykaj, czorcie, wrogu zbawienia mego!

Dziwo! Ryba znów zaczęła się zmniejszać, aż stała się taką samą, jak wylazła z wody! I piszczy cieniutko, żałośnie, jak dziecko w godzinie rodzenia się:

– Kostia miły! Nie przyszedłem łyknać ciebie, ale prosić cię chcę, serdeczny, o przysługę wielką! Nie bój się, wstań i nakłoń ucho twoje...

Jak czort prosi: widać bardzo źle z nim! Ech, myślę, zatańczysz ty u mnie hopaka i bez rogózki! Wstaję, czapkę na bakier, ręce na pas i powiadam groźnie, bo strach ode mnie odstąpił i rozwiął się jak dym spalonego siernika:

– A ty zbójcu zębaty, pożarłeś mi dwa konie dobre i wóz nowiuteńki i smar na wozie! I chcesz, żebym ci usłużył? Czy w twoim śmierdzącym piekle słyszano kiedy, żeby kto złodziejowi przysługę robił? Może ci ugotować siemienia lnianego, żebyś lepiej, podlecuc, strawił mój wóz i konie?

Słucham: czort żali się znowu.

– Musiał ja zjeść twoje konie, bo uciekłyś za rzekę... A tak piechotą nie pójdziesz, ziemia tu zaczarowana, pali ogniem nogę chrześcijańską. Stać musisz do zorzy złotej, ale czy ustoisz, nieboże?

– Ustoję! – odpowiedziałem rozżłoszczony, bo czułem już ogień pod stopami, choć byłem w butach. – Ustoję, biesowskie nasienie przekłete, podścieleę sobie portki i kozuch i koszulę, a wytrzymam moc twoją czortową! Won, diable – wrzasnąłem na ostattek – nie pożywisz się duszą moją niewinną!

– Nie ustoisz! – zapisał bies i wlaź do wody.

Rzuciłem na ziemię kozuch, a dobry był, kupiony jeszcze na koronację carską, kiedy wysyłano do Moskwy chłopów na uczczenie młodego cara. Byłem ja tam, Chodynkę widziałem i mówię, że wolałbym tam nie być, bo... ale to opowiem kiedy indziej... Stoję na kozuchu: nie piecze, mało widać czarów miał bies, a może kupił je na jarmarku w Beresteczku, gdzie potrafią ci sprzedać sznur z papieru albo pieprz z kurzego łajna... Myślę: przetrzymam do świtu.

Ma przecież czort pomysły swoje, nie zgłębisz chytryści jego przewrotnej...

Tylko co stanąłem na kozuchu, drepczę po nim, bo było zimno, aż tu słyszę – ktoś

śpiewa – baba młoda jakaś, dziewczyna przy krowach? Daleko, ledwie słyhać. Zapomniałem się, nieszczęsny, przysłuchuję się: ale tylko dlatego, żeby poznać, jaką też piosenkę wybrała sobie donia po nocy? Wiadomo, ciekawe są dziewczęce piosenki przy jasnym księżycu.

Słyszeliście kiedy w Dubnie rano, raniutko, jak po rosie chłodnej idzie z daleka szum muzyki, którą grają na wielkim pudle z fujarkami w klasztorze, odebrany po wojnie naszym popom dla katolickich mnichów? Ich ksiądz katolicki śpiewa jak kogut zarzynany; chórów nie znają; a jak wejdiesz do kościoła, naraziwszy przez ciekawość zbawienie swoje, to prędzej jeszcze uciekniesz, tak obrzydliwie choć szumnie zagrają ci na tych grubych blaszanych fujarkach. Toteż i Zbawiciel nasz, który w niebie nie słuca fujarek, tylko chórów anielskich, ucieka z kościoła, zatkawszy boskie uszy, a w cerkwi prawosławnej króluje a głową kiwa z radości, jak mu chór rzewny huknie na dwanaście głosów: „Kol sławien Hospod’ nasz w Syjonie...” Ale te katolickie fujarki z daleka słyhać inaczej. Nie rozróżnisz ich tonów pojedynczych, co chrapią jak nie przymierzając ja sam, kiedy mam katar. Tylko słyszysz jakby szum lasu stuletniego, w którym każde drzewo ma harfę zamiast gałęzi zielonych. Idzie ten szum łagodnie, wznosi się spokojnie to wyżej, jak na skrzypcach, to znów niżej i niżej, jakby dźwięczały najgrubsze struny harfy umierającej cicho, przetęsknie, cudnie...

I nasze chóry wiejskie, kiedy pogodnym wieczorem letnim rozśpiewają się:

*Diwczynońko myła,
szczo ty budeś robyła
na Ukraini dałekoj?*

nie ustąpią tej muzyce, kiedy echo odbija się od ścian jaru lub czerwonych gęstych pni sosnowych. Ale w pieśniach słyhać ludzkie słowa. A w tym śpiewie, co wtedy na grobli słyzałem, nie było słów. Dziwnie – był to głos młody, kobiecy – śpiewał o czymś niewyśnionym, słodkim, a bez jednego słowa ludzkiego. Ot, śpiewał wprost do serca, które nie ma języka ani uszów, a przecież rozumie i mówi, choćbyś był na puszczy, gdzie nie byłoby i za sto mil ludzkiego gardła ni ucha.

Ale tego ja nie potrafię wypowiedzieć. Dość, że nie tylko nie mogłem już uciekać, ale podszedłem do samych moczarów, aż stopy ulgnęły mi w ziemi, żeby lepiej słyseć to śpiewanie czarodziejkie.

Wpatruję się w gęstwę wysokich trzcín, co otaczały z drugiej strony głębinę jeziora, i widzę: siedzi na wodzie jak na twardej ławie nagusienka dziewczyna: włosy ma długie, srebrne i cała srebrna w księżycowych promieniach. Grzech patrzeć! Odwróciłem oczy na prawo: siedzi druga, cała bieluśka jak płótno, a włosy rozpuszczone i czarne. Koło niej znów inna, leży sobie na czarnej wodzie, rączki białe podłożyła pod głowę i patrzy na mnie żywymi iskrami oczów! Stary ja już, nieciekawych dziewczęcych skórek gładkich, ale rozgorzałem wtedy jak młody parobek. I tęskno i lubo i strasznie zrobiło mi się na duszy. A one wciąż śpiewały, albo lepiej: szumiały przecudnie. Wy-

ciągają rączki srebrne i czujesz, że szumią: „Chodź!” Nie wytrzymał j a, potępiony, i buch do wody czarnej! Zamroczyły się oczy i uszy, zimna topiel jak wieko skrzyni zamknęła się nad główką moją biedną... Utonąłem!

Czuję przecież: ciągnie mnie za kołnierz, jak strażnik Żyda, jakaś ręka piekielna. Wciągnęła do jaskini podwodnej, wielkiej. Ni tam jasno, ni ciemno, widać, jak grzebie się w mule wąsaty łeb suma, jak przeleci czasem olbrzymia szczuka, szczerząc zęby na chybkie karasie. Patrzę: siedzi na zatopionej łódce żołdat! Twarz biała, oczy w słup: topielec! Żal mnie ścisnął za gardło nad jego i moją dola, potępieńcy my oba, na wieczną mękę oddani biesom podwodnym!

Posadzili mnie obok żołdata jakieś ręce niewidzialne. Czekał a patrzę w górę, czy by nie wypłynąć i uciec? A tu nade mną wody na dwa sążnie, a nad wodą jeszcze widać skręconą masę korzeni trzciny, widać długie, pajęczne ich palce zwieszające się na dół, ruchome, czarne, straszne! Przepadłem na wieki!

Poruszyły się lekko wody i zjawił się bies, zupełnie podobny do chudego kantareja z Mizocza. Ubrany nie czarno, ale czerwono, pysk ludzki, rogi baranie, ogon krowi. Za nim zjawiły się inne biesy, każdy w innym kolorze: rzekłbyś, tęcza niebieska. Czerwony bies mówi do mnie, słyszę głucho, wiadomo, jak w wodzie:

– Sięgnij do kieszeni żołdata i wyjm stamtąd to, co tam jest!

Na diabelskim ostrowie słuchaj, co czort powie! Więc sięgnąłem do kieszeni topielca i wyjąłem... proswirkę!

– Jedz! – rozkazują wszystkie czorty kolorowe.

Gryzę: ani weź na zęby! Kamień czy co takiego? A zęby mam niedźwiedzie, poszczerbić mogę i suchą deskę dębową. Próbuję raz, drugi, dwa zęby mi trzasły, trzeci ułamał się, a tu nic.

– Nie mogę! – powiadam do czorta. – Czary to widać wasze diabelskie. Gryźcie sami!

Biesy w lament.

– Poradź co, Kostia miły, za to wypuścimy cię i konie oddamy, a tak życie nam obrzydło, rady żadnej nie mamy, nieszczęśni...

Widzę: źle nie jest. Bywał ja w różnych krajach, widziałem wiele, słyszałem więcej. Za zbawienie własne pomogę choć i czortowi.

– Dobrze – mówię – ale przedtem niech mi jaki łysy czort opowie, o co wam chodzi, przeklętym?

Więc czerwony diabeł, widocznie najstarszy i najmocniejszy siłą swoją plugawą, odzywa się:

– Żołdat ten utopiony – powiada – wczoraj wpadł do wody, ryby – powiada – po pijanemu z łódki chciał łapać. W kieszeni miał proswirkę święconą. Pytamy go: skąd masz? Ja – mówi – służę za deńszczyka u kapitana, ukradłem mu z kufra, jeść się chciało. Ty wiesz, Kostia, u żołdata brzuch – przepaść bez dna, żułby dzień cały, a jak w nocy zbudzisz – od razu patrzy, żeby zacząć na nowo. Lej mu kapuśniak wiaderem do

gardzieli, pchaj łopatą kaszę hreczaną, jak tylko zamknie gębę – już szuka, co by ukradł do zjedzenia. Jak ten lis w brzezynie, ciągle chowa żarcie na zapas, nie zje – to sprzeda. I tego podleca skusiła nielekką, żeby ukraść proswirkę. Bułka – mówi – rzecz smaczna! Przyjechał łódką prosto do nas, my go chcemy w łapy – nie idzie! Proswirka broni!

Każemy mu zjeść – nie może. A tu wyrzucić nie można, wraca nieszczęście nasze na wody nasze rodzone, żyć nie pozwala! Tylko zjeść by ją, na jedzenie pop dał włochaty...

Płakały czorty naprawdę. Można by tylko radować się z nieszczęścia diabelskiego, ale ja myślałem o sobie, durniu nienazwanym, więc poradziłem:

– Parzy was proswirka? A ja nie raz jadłem kapustę z garnka na ogniu: smaku nie poczujesz, gębę sparzysz, ale do brzucha pójdzie na zdrowie. Zjedzcie sami albo dajcie wiedźmie jakiej. Zęby u was czortowskie, mocne!

Kiwają diabły rogami i żalą się:

– Próbowali my gryźć i czarownicom siostrom dawali! Nie zgryźli! Patrzaj, ile zębów tu leży wyłamanych.

Spojrzałem: prawda! Dookoła zęby i zębiska, białe diabelskie i niebieskie lub zielone, co tkwiły w paszczkach wiedźm starych. Zdziwiłem się i mówię:

– Takiej proswirki nie widziałem ja w życiu! Kto ją poświęcił, kamienną taką?

– Pop hoszczański – odpowiada diabeł. – Ten kapitan był w Hoszczy z żołdatami, kiedy odprawiano nabożeństwo za polskiego cara. I na jego imię poświęcił pop tę proswirkę i przysłał kapitanowi na pamięć.

Znów zdziwiłem się, że choć czort, a wie tak mało.

– Postoj, czorcie! – przerwałem – u Polaków nie ma cara.

– Jest!

– Bies jesteś, a głupi jak kura na rzece. Gdzie ten car?

– W ichniej Moskwie, w Warszawie. A nazywa się Piłsudski.

Myślę: może i prawda? Rozmawiał ja nie raz z żołdatami, pytał o cara. „Nie ma – mówią – ale jest większy od niego pan Piłsudski, ojciec – mówią. – Kocha Ukrainę, choć Lach, swobodę chce dać i ziemię.” Jak większy od cara, to zawsze car! A mówili mi tak i nie tylko Polaki, ale i nasi chłopcy, którzy za Moskali, żołdatów, służą teraz. Pomyślałem trochę i odpowiadam:

– Choćby dla polskiego cara poświęcił, to proswirka mocy mieć nie może, bo była w rękach katolickich, u tego kapitana.

– On prawosławny! – jęknął topielec.

Nie wiedziałem, że oficery teraz bywają świętej wiary naszej. Już nie mogłem nic poradzić! A czorty dalej:

– Na proswirce jest litera J, czarodziejska widać. Wyskrob ją, Kostia, może ustanie moc święta... Już chyba zginać nam sierotom trzeba. Ani ruszyć się nie można w fachu naszym biesowskim. Ani wgryźć się rakiem w piersi topielców, ani robakiem czarnym

wwiercić się w oczy ich otwarte. Leżą na dnie, niebożątka, spokojnie, a nam paznokcie zarastają, zęby tępieją, nieszczęsnym. Zmiłuj się, wybaw, ojczulku!

Poszedłem ja po rozum do głowy i mówię:

– Jeżeli proswirka poświęcona dla pana Piłsudskiego, to trzeba mu ją posłać, pozwoli się zabrać na pewno. Ja nie pójdę do Warszawy, daleka droga na stare nogi. Ale poślijcie tego żołdata. On wojenny, jego łatwo puszcza wszędzie. A potem wróci do was, wierzcicie!

No, myślę sobie, jak ten żołdat wróci, to czort zostanie archimandrytą! Ot i zbawi się dobra dusza prawosławna!

Diabły aż zakręciły się z radości i w mig wyrzuciły na szosę żołdata. Poszedł... z proswirką ku Surmiczom, do kazarmy! Jak tylko wyminał zaczarowaną ziemię – i mnie wyniosły biesy na brzeg.

– Udało się! – wrzasnęły na pożegnanie. – Dziękujemy ci, Kostia!

Od tej głębinie zamroczyło mnie trochę. Oprzytomniałem aż rano, patrząc: leży koło mnie żołdat, zmoczony, śpiący, a ja też jak żaba umazany w błocie. Zbudziłem żołdata i idziemy za most.

– A proswirkę masz? – pytam. Pokazuje: jest, ta sama z literą J. Przypomniałem mu, żeby zaraz jechał do Warszawy, ale on, bestia, obejrzał się na bagno i wypiął na czorta nieprzyzwoitą część ciała.

Konie z wozem znalazłem w tartaku w Surmiczach. Powiedzieli mi, że przywlokły się nocą same. Nie było na nich śladu po czeluściach czortowych, tylko dyszel był złamany: widocznie kiszki bies ma krótsze niż burmistrz w Dubnie.

Straszny gość

Może to było za korola Batura, może dawniej jeszcze. Nie znali wtedy ludzie sztuki pisania, więc nikt nie zapisał czasu. Ale pamięć ludzka zapisała wypadki dziwne i straszne, a gdzieś tam pozostały na ziemi ruskiej szerokiej pamiętki długowieczne, kurhany lub resztki choromów kamiennych, a nawet drewnianych, które mocą zaziemską trwają na groźną przestrogę dobrym ludziom i na znak kary dawno umarłych przestępców. Mało już, bardzo mało na ziemi naszej kurhanów: deszcze zmyły, wiatry rozniosły, ludzie skopali. Czasem i żydowska łopata, szukająca wapna lub kamieni na szosy pańskie, wykopuje niechcący sprawę ludzką, co kryła się w ziemi setki lat, a oto mądrość Boża kazała jej raz jeszcze zobaczyć słońce, przed którym w ziemię ucieka wszelka zbrodnia i srebrny księżyc, świadek cichy i niewzruszony wielkich krzywd, wielkich cierpień i wielkich radości. Nie lubi Bóg mroku nocnego, a wiadoma rzecz, że jak chcesz dogodzić Bogu albo jego świętym ugodnikom, to musisz choć małą świeczkę postawić przed ikoną: tak już ogłosił Zbawiciel rodowi ludzkiemu przez świętych ojców cerkwi prawosławnej. I chętnie na prośby świętych męczenników zezwala ojciec nasz niebieski, aby ślady zbrodni pokryła niepamięć i czarna ziemia ukraińska. A kiedy za wolą jego wystawią się te ślady na światło dzienne, odwraca Bóg oczy swoje od tego miejsca i nie patrzą na nie święci opiekunowie nasi. Dlatego lepiej z dala obchodzić wszelkie kopce nieznanne, jary ciemne i straszne, gdzie na pewno złość ludzka ukryła niejedną zemstę czy zbrodnię niezwykłą, i tajemnicze, nigdy nie niszczone ruiny przeklęte. Tam bezkarnie hula wróg rodu ludzkiego i Boga: bies, a przy nim obmierzłe tańce swoje wyprawiają jego druhy serdeczne, upiory, i często późnym wieczorem zajeżdża tam po sąsiedzku wiedźma w drewnianej stupie. A choć dzisiaj inne sposoby ma czarci car podziemny do gubienia dusz prawosławnych, choć zmienia często nawet kolor skóry swojej, śmierdzącej smołą – i zamiast szczerbatej wiedźmy młodocięcą czamobrewą wysyła na sianie grzechu śmiertelnego – zawsze lepiej omijać z daleka te miejsca, na które nie patrzą oczy naszych świętych chronicieli.

– Ech, Kostia – powie jaki dureń między wami – opowiadasz ty, chrzanie stary, o strasznych zdarzeniach, w które czort się wmieszał i bronił swoich wyznawców przed karzącą ręką Zbawiciela, a wydaje się nam, że breszesz! Nie ma teraz – powie barani język ośliniony – strasznych zdarzeń czortowskich. Ot, przed kilku laty w Ludwipolu jedenaście koni zastrzelili strażniki, że to niby chore były, bo tak zapisał witrynar z Korca. Kto zastrzelił? Strażniki z wintówek kazionnych pańskich! Kto kazał zastrzelić?

Felczer koński, co teraz służy w pańskim starostwie i choć mordę ma on, przeklęty, bardzo podobną do świńskiego ryja, jest przecież zwykłym człowiekiem i pamiętamy go, jak za ruskich czasów jeździł po jarmarkach i pod płócienną budą golił od razu sześciu chłopów z takimi brodami, że i kosę wyłamałbyś na nich. Cały Ludwipol płakał, koniaki wierne na śmierć prowadząc, ludzie przeklinali strażników po cichu, a głośno skarżyli się na czorta. Gdzież tu był czort?

Co i mówić z bałwanami! Ale dla tych, co naprawdę chcą wiedzieć, jak to było, powiem, że felczer ten służył w żołdatkach pańskich jeszcze trochę i po wojnie, miał tam przyjaciół, wachmistrzów wąsatych, i z nimi – będzie temu może pięć lat – kwaterę sobie obrał w Ludwipolu, choć jeszcze nie służył. Daleko Ludwipol nawet od szosy twardej, nie słychać w Korcu ani Hoszczy, co tam się dzieje. Niektórzy z was może wiedzą, jak było dalej. U dobrego cieśli Prochora zagnieździli się pograniczniki konne, a z nimi felczer. Był tam i ichni oficer młody, ale mieszkał we dworze, daleko, i cały dzień spał, a w nocy co robił, nie wiadomo. Żonka Prochora, Maryna – widujecie ją czasem w cerkwi w Mieźdurieczju – cicha jak jagniątko, a oczy ma bestia takie, że prawdziwie czy nieprawdziwie, ale wołają do każdego: „Dobry człowieku, poszukaj skrytego miejsca w gęstwinie li ciemnej dębowej, na łące li pachnącej, na posłaniu z siana, co przykryje mnie i ciebie strzechą cienką, zieloną, w izbie zamkniętej o lubym mroku wieczornym...” A swojacznica Prochora, Ewsychnia, choć baba lat czterdziestu, gębę ma bez zmarszczek, włosy jak snop gęste i przy tym – nie dla grzechu niech będzie powiedziane – z przodu od góry, a z tyłu w środku ma takie miłe wypięcia grzesznego ciała babskiego, że i staremu na ten widok bies świeczki w oczach zapala. Toteż i sam główny pograniczny wachmistrz i inne unteroficery zabrali się do obu bab. Czort jeden wie, czy naprawdę, jednak obie broniły się mocno. Prochor za siekiereę chwycił...

Te pograniczniki – to był inny naród niż dzisiejsze kopisty. Ni to żołdaty, ni strażniki, a służyło tam dużo starych zapasnych z wojny, co cały świat przeszli – mądrali, co i Świętych Pańskich nie uszanują, nie tylko białej skóry babskiej. O... tacy jak Jermoszka z Glinian albo Pankratij Samkitaj z Samostrieł. Żle było wtedy dobrym ludziom. Ale widać ulitował się Zbawiciel nad narodem prawosławnym i kazał pańskim gienierałom odmienić służbę pograniczną. Daj, Boże Wszechmogący, zdrowia im za tę odmianę! Mołodeńki żołdat kopist, mołodeńki jego oficer, a oba dobre druhy nasze! Co prawda, to może za bardzo lubią dziewczyny i baby młode, ale czynią swoje dielikatno, że i nie poznasz, o co mu chodzi, bezwąsemu. Żołdat ten, choć pewnie też chłop, ale z pańskiego kraju. Zawsze mówi: „Proszę!” Niektóry i po naszymu umie. Przeszłej zimy jeden ichni oficer młody co dzień podchodził do okna Marusi, co to ma męża Micię w służbie wojennej w Warszawie, i śpiewał pod bałajkę:

*Wyjdy do mene, ne bijś morozu,
ja twiji nożeńki w szapońku włożu!*

A czapkę miał – znaczy – po formie, z cienkiego sukna. Raz Marusia wyszła i mówi:

– Wy, pan oficer, nie chwalcie się czapką waszą. To nie baranica chłopska. Zmarzną nóżki moje biedne w czapce waszej kazonnej. Mróz luty, biały...

– Marusiu – powiada oficer – na nic tu czapka. Nóżki twoje maleńkie ogrzeję ustami, gorące są bardzo!

I co powiecie? Nie uciekła baba, tylko roześmiała się... a słyszeliście nie raz, jak Marusia śmieje się głośno. Gdyby czort mógł nauczyć takiego śmiechu jaką młodą wiedźmę, już nie mieliby co robić popi na świecie. Wszystek nasz rodzaj chłopski poszedłby za śmiechem tym do piekła – jak żołdacy pod komendą: raz – dwa – tri! Toteż oficer tylko oczami łypnął i szepcze:

– Marusiu, ty taka piękna! – znaczy krasawica.

– Wejdźcie do chaty, panie porucznik – wesoło mówi Marusia – ogrzejcie się, bo i usta wam zmarzną, choć gorące takie.

A ja stałem w sieni i czekam, co z tego będzie. Jak oficer wejdzie – myślę – to biedny Micia, choć on, podlec, nie żałował sobie miodu babskiego na służbie. Wiem, że mocno kocha Marusia męża swojego: ale kto wierzy babie, ten sieje owies w lesie snowym.

– Nie wejdę, Marusiu – odpowiada oficer. – Zaraz ludzie obnieśliby ciebie po świecie, jak sroki żołdacki guzik błyszczący. Twój mąż przecież w wojsku, kolega, znaczy, nie godzi się. Ale – mówi cichutko – przyjdź kiedy do domku mojego, sam jestem, skuczno strasznie. Pozwól choć wycałować oczy twoje karę, cudne! Twój Micia piękny chłopak, ale i sam król, znaczy, dałby całe królestwo swoje i życie, znaczy, młode za pocałowanie nóżki twojej. Nie widział ja nigdy takich nówek ani, znaczy, główki takiej czarodziejskiej!

Tak mówił słodkojęzyczny. A Marusia słucha, główkę zwiesiła, rączki splotła na kochu. Widać lubo jej było słuchać. Ot, baba!

– Ale wy, panie oficer – odzywa się – przecież nie korol, cóż wy dacie mi za usta i oczy moje, za nóżki moje małe, za kochanie wielkie? Mam ja synka małego, chłopskie dziecko, żołdata waszego pańskiego. Mam ja chatę, mam ziemię czarną rodzącą, mam pieśni nasze chłopskie, tak mi potrzebne jak śpiew skowronkowi na wiosnę. Cóż dacie mi za to wszystko?

A o Mici nawet nie wspomniała! Oficer kopist zamyślił się i mówi:

– Dam ci, Marusiu, życie swoje. Odejdź od męża, już ja tak zrobię, że prawdziwą żoną moją będziesz. Może ci lepiej będzie, może gorzej, ale ja życia, znaczy, nie mam bez ciebie. Ani mi służba, ani rodzina daleka miła teraz. Chciałbym, znaczy, być tym kamieniem, co leży przed twoją chatą, żeby widzieć ciebie codziennie, żebyś choć kiedy pogłaskała rączką białą zimny, znaczy, mój łeb kamienny. Chciałbym być tym progiem u twoich drzwi, żeby codziennie czuć nóżkę twoją, jak wychodzisz z domu...

– Nie – przerwała Marusia – nie będziecie ani kamieniem, ani progiem. Ani ja waszą żonką nie będę. Sama matka wasza nie przyjąłaby mnie, chyba za służącą. To

wszystko tylko bałakanie miłe. A ja przecież bogatsza od was, choć chłopka. Nie pieniądze bogatsza! Mogę dać wam dar duży, a wy mnie nic dać nie możecie...

– Jaki dar? – pyta oficer drżącym głosem, nie wiadomo, czy z serdecznej tęsknoty, czy z przyczyny mrozu.

– A ot taki!

Podskoczyła do oficera, objęła go obu rękami za szyję i pocałowała długo w usta. Oficer ani drgnął, jakby naprawdę stał się kamieniem przydrożnym. Marusia wolno odeszła do chaty, mówiąc jakby do siebie:

– Nie przychodźcie więcej. Nie róbcie krzywdy mnie i Mici mojemu. Ludzie naprawdę złe języki mają, kłuszące. A ja was nie pokocham nigdy. Jakbym pokochała, to i prosić nie potrzebowałibyście: sama poszłabym za wami w świat, na zgubę li, na szczęście, na niedolę, Bóg jeden wie miłosierny. Micię kocham, ale żal mi was, bo dobry i ładny jesteście, śpiewacie po naszemu i mówicie pięknie... Odejdźcie, panie, i nie wracajcie więcej pod moją chatę...

Zrozumiecie babę? Po co pocałowała go? Wiadomo, od całowania a łaszenia się jeszcze gorzej robi się durnemu chłopu, a panu chyba także, bo ciekawość do bab jedna jest dla chłopca i pana. Kiedy ją zapytałem zaraz w izbie, mówi:

– Prosto zachciało mi się pocałować. Cóż całowanie? Ilu to chłopów i kopistów, co na to przychodzą do cerkwi, wycaluje mnie w woskresny dzień...

– A powiedziałaś mu – pytam – Chrystos woskres?

– Nie – śmieje się diablica – toż nie Wielkanoc dzisiaj. Szepnęłam mu: proszczaj.

I zaczyna tańczyć po izbie i śpiewać:

*Hej tam z hor z hory
jedut mazury,
jedut jedut mazuroczky,
wezut, wezut barwynoczky
buły na wojni!
Odin mazur staw,
od druhich odstaw,
stuk, briak w wikoneczko,
wstań, serdeńko, diwczoneczko,
koniu wody daj!
Diwczyno moja,
sidaj na konia,
taj pojedem w czuży kraji,
de mazursky obyczaji,
zełeny doma!*

Żeby ten oficer widział, jak Marusia tańczyła, i słyszał jej głosik w tej starej pio-

sence naszej, już na pewno nie odszedłby od niej, choćby przeciw jej woli! Ja gębę otworzyłem z zachwytem, a mały Afanas na ławie klaszcze w rączki!

Ale kopista nie pogranicznik. Nie powrócił nieszczęsny, choć dusza mu rwała się do Marusi. List jej tylko przysłał, a w liście obrazek: fotografię Marusi! Skąd ją wziął – bies jeden wie, bo Marusia nigdy nie miała takiej. W liście piękne słowa były.

„Kocham ciebie, Marusiu nienapatrzona, najmilejsza, do śmierci kochać będę, ale przyjdę tylko wtedy, jak zawołasz mnie. A tęsknota moja słodka jest, jak twoje usta, a wielka, jak niebo zimowe, ciche!” Nie śmiała się Marusia z tego listu, a i ja nawet zasnułem się nad nim.

Takie to teraz kopisty, delikatne – znaczy – ciche, a srogie na służbie swojej. Ale wtedy było inaczej! Lat parę trzeba było, żeby ukrócić tamtych pogranicznych. A najgorzej, że chłopcy sami ukrywali zło. Przyjedzie oficer, pyta, co tu było, a każdy odpowiada: „Wsio dobre!” Co miał poradzić choćby najsurowszy komandir?

Tak było i wtedy.

Kiedy Prochor z siekierą poszedł na pijanych, wzbiesili się pograniczni. Złapali go, położyli na łóżku, obie baby przyprowadzili do izby i mówią:

– Patrzenie, diablisko, co się stanie!

I dawaj łupić po plecach Prochora nahajką. Krzyczał z początku, później ucichł i pewnie nie oglądałyby go oczy nasze więcej, gdyby właśnie nie nadjechał – a była już noc – jakiś ich większy komandir, sam jeden na koniu.

– Co tu się dzieje? – pyta.

– A ty co za jeden? – wrzasnął wachmistrz, pijany trochę.

Komandir wyjął rewolwer i woła:

– Puścić tego chłopca, a wszyscy żołnierze za mną, arest wam, rozbójnikom, nakładam na szyje wasze pogańskie! – Zrobił się hałas. Pijane unteroficery rzucili się na komandira, ledwo im się wyrwał na podwórze i zza konia, co był do płotu przywiązany, wystawił swój rewolwer: – Zabiję – mówi – każdego zbrojaka, co podejdzie.

Noc była ciemna, unteroficery nie wiedzieli widać, że komandir jest sam, a może i sumienie ich żołdackie przstraszyło się kary wielkiej: wiadomo, co czeka żołdaczka za ułudzenie starszemu! Porzucili Prochora i mówią:

– A jak ty jesteś komandir, to chodź do naszego oficera do dworu.

Poszli, najpierw on, a za nim z daleka z latarniami pograniczni. Co tam było we dworze, nie wiadomo, ale na drugi dzień strażnicy powieźli do Równego Prochora, za bunt z siekierą. Wrócił dopiero po miesiącu, a przez ten czas wszyscy diabli mieli wielką uciechę z Maryny i Ewsychni. Te same unteroficery co wieczór ucztę sodomską urządzali, a po niej, pijani jak Griszka, diak korecki, w ostatni dzień postu, dzielili się żonką i swojacznicą Prochora. Hulał też razem z nimi i ten felczer, zawsze był najtrzeźwiejszy i wykradał pijanicom Marynę, potem szedł z nią przez wieś, jakby na pokaz bezwstydu swojego i wył po moskiewsku:

Czornyja oczy da bielaja grud'

do samoj połnoczi usnut' nie dajut.

Przecież, pewnie z namowy tego komandira, któremu ubliżyli unteroficery, zjechał do Ludwipola pański sędzia z pisarzem. Wołał na świadków pół wsi, pytał sumiennie o wszystko i zapisywał, potem kupił sześć gęsi i odjechał. A chłopci bali się wachmi-strzów i strażników i każdy powiedział: „Moja chata s kraju, ja niczoho ne znaju.” Tylko baby zawzięły się na felczera, pewnie dlatego, że zupełnie podobny do chudej świni, a i dla tej przyczyny, że on nie sołdat ani strażnik, mścić się nie ma siły, ani wintówki, ani kandałów w worku skórzanym nie nosi. Posadzili pod arrest felczera, siedział chyba więcej jak rok, a potem poszedł na felczerską służbę do pańskiego starosty i zaklął się, że nie minie jego zemsta ludwipolskich chłopów. I teraz zastrzelić kazał jedenaście dobrych koni, a poczekacie jeszcze rok: ani krowy, ani konia już nie będzie w Ludwipolu... Oto, jakie drogi ma czort dla pogwałcenia narodu prawosławnego! Nie weźmie że on, smołopijca, sam noża na gardło ludzkie, ani wintówki na koniakę niewinną. Po co mu się trudzić... wyręczą dusze ochrzczone.

Poszedł ja, rozchodził się językiem na ścieżki inne, jak pijany družba po weselu* wracający do domu kołem krzywym od cerkwi do plebanii. Z wami trudno inaczej, każdą rzecz trzeba wam, twardogłowym, podać przed gęby nie golone, jak śmietaną do gałuszek. A miał mówić o czym innym...

Wiecie, że Kondrata, syna Pełagii, carstwo jej niebieskie, niewinnej, w żołdacy pańskie zabrali... W domu u niego tylko Ksenia została, kwiateczek miły, sama jedna, bo kwartirnica uciekła ze strachu przed zemstą gajowych. Tak i pilnuję nieszczęsnej, drewniane kraty w okno wstawiłem, belkę na drzwi przybiłem na zawiasach i sobakę moją starą co dzień wieczór przyprawiam, żeby broniła dziecka niemocnego. Rozumie Woriszka służbę swoją nową, warczy na chłopów, co przechodzą nocą koło Pełaginej chaty, a jak kiedy podejdzie gajowy, to szczeka i wyje tak, że warta zaraz biegiem przylatuje, jak na pożar...

Ale nie upilnuję! Przenieść by się jej, myleńkiej, do innej chaty, choćby i na drugą wieś, choćby na chutor leśny, byle z daleka od miejsca, gdzie wybudował chatę i sto-dolą jej ojciec, żeby mu tego na tamym świecie nie policzył Zbawiciel za winę wielką, grzech nieprzebaczony! Żal dzieciątka... zdaje się, ot wczoraj to było, jak w mroźny dzień zimowy o samym wschodzie słońca zbudził mnie straszny krzyk pod oknem ni to ludzki, ni wilcze okropne wycie: „Au, au, au!” Zerwałem się z łóżka, naciągnąłem buty i kożuch i wychodzą... Wycie oddaliło się i słychać było coraz żałośniejsze: „Au, au!” ale już prawie za wsią. I inni ludzie powychodzili z chat, zbieramy się i pytamy jeden drugiego, co to się stało. Aż przybiegł do nas młody Jermyłło, który teraz gryzie gdzieś ziemię niemiecką, i woła:

– Chodźcie, ludzie dobrzy, zobaczcie dziwo straszne przed chatą Ihnatija!

A słońce już wzeszło, zabłyszczał białymi iskrami chłodnymi puszysty śnieg, pokrywający wtedy na pół arszyna drogę i strzechy chat... Idziemy, żegnając się. Przed chatą Ihnatija, blisko drzwi, rosło wtedy jakieś nieznanne tutaj drzewo, podobne do klonu, tyl-

ko liście miało zębate i grube, jak kasztan. Ze starości już wypróchniał pień tego drzewa i otworzył się tak szeroko, że człowiek mógłby się wcisnąć do środka. Patrzymy: stoi w spróchniałym drzewie, widoczny do połowy, jakiś człowiek, zwrócił białą jak śnieg twarz do okna chaty, a w głowie ma głęboko ugrzążniętą siekiere... Hospody, pomyluj nas grzesznych! Krew spłynęła widać tyłem głowy, a potem zamarzła, bo twarz zabitego była czysta i biała, oczy szeroko otwarte, usta zbieleły, a na wąsach wisały długie sople lodu, widać z ostatnich oddechów przedśmiertnych.

– To Ihnatij! – zawołał jakiś człowiek między nami.

Strasznie nam się zrobiło... Przed własną chatą zabił go zbrodniarz nieznany i zeszywniałe na mrozie ciało ustawił przed oknem! Nawet nie ruszyliśmy go, śmierć była widoczna, ale ja przypomniałem sobie, że Pelagia, żonka zabitego, już parę dni temu miała rodzić, po babę powiwalną posyłał Ihnatij do Bystrzyc... Drzwi były otwarte, wchodzimy cicho, wołamy – nikt się nie odzywa! Dopiero po przeszukaniu izby znaleźliśmy pod łóżkiem małego Kondrata miał wtedy pięć lat – pytamy go, gdzie matka, a ten płacze jednym głosem i ledwie że mógł odpowiedzieć:

– Mama – każe – utikła, wyła – każe – jak sobaka.

Wtedy my zrozumieli, kto to wołał o świcie: „Au!”

Wszyscy pogonili w tę stronę, gdzie to wycie oddaliło się, i za wsią, w zaspie śniegu, odnaleźliśmy Pełagię, już na wpół zmarzniętą. Tego samego dnia wieczorem urodziła się Ksenia, na dziwo wszystkich bab żywa i zdrowa. Szesnaście lat temu, a wydaje się, jakby wczoraj... Coraz prędzej staremu toczą się dni, miesiące i lata, jakby śmierć zazdrościła już życia i śpieszyła się wykonać dzieło swoje codzienne... Spełni się wola twoja, Hospody, ojcze nasz niebieski!

Pamiętam, Ihnatij dostał po ojcu swoim dwadzieścia pięć dziesięcin ziemi, a w tym był dobry kawał lasu, który wtedy podchodził pod samą wieś. Spodobało się, głupiemu, to drzewo dziwne, co rosło na małej polance.

– Tu – mówił – postawię chatę, ojcovska już się wali. A to drzewo stareńkie – mówi – obroni mnie przed pożarem, ciąć go za to nie będę...

Przed tym drzewem był mały kopiec, ot, jakby mrowisko, nikt nie ciekawił się nim, pastuchy usypali, czy pień jaki obrósł murawą... Najął Ihnatij paru robotników, las wyciął i równa ziemię pod chatę i podwórze. Zaczęli od kopca: nie idzie w ziemię łopata! Przeszkadza jakiś wielki czarny kamień, nieznany w naszych stronach. Ledwie z pomocą dziesięciu ludzi ruszyli go z miejsca. A pod kamieniem była jakby studnia, też kamienna, głęboka na półtora sążnia. Na dnie leżała kupa kości ludzkich i popiołu z ubrań, a później Ihnatij znalazł między kośćmi piękny pierścionek złoty z żółtym płaskim kamieniem i sprzedał go Żydowi na jarmarku za pięć rubli. Kiedy wyciągnęli kości, związane w płachtę, ze studni, zobaczyliśmy, że niejeden człowiek tam leżał, ale dwóch, a z nich jeden był albo babą, albo dzieckiem, głowę miał o wiele mniejszą i kości cieńsze, a zęby bieleńkie jak śnieg, równe i małe, ani jeden jeszcze ze szczęk nie wyleciał. Mogiła, nie mogiła, jeden Bóg wie tylko, przecież nie przestraszył się Ihnatij,

nawet ucieszył, nieszczęsny, że to – mówi – kamień pod węgly się przyda. Ale potem inaczej zrobił! Bo kiedy wyrównywali małą pochyłość, znów wyszły na wierzch kamienie mniejsze, różnej wielkości, a między nimi leżały równiutko szkielety, znaczy kości ludzkie zebrane razem, jak za życia, każdy miał nogi szeroko rozłożone, a między nogami pał drewniany, próchno już szczere, od dmuchnięcia rozsypywało się... Zawołali popa, prosili o radę. Przyszedł, wziął trzydzieści kopiejek i powiada:

– Złe miejsce, ale jak pomodłę się i przeżegnam obrazem świętym, a ty – powiada do Ihnatija – postawisz dwanaście świec, to wszystko przejdzie.

Tak i zrobił Ihnatij, tylko kamieni przeklętych nie użył do budowy chaty, ale zakopał razem z kośćmi, a chatę i stodołę postawił trochę dalej, tam gdzie dziś stoi.

I oszukał pop, a może mało siły miała jego modlitwa, czy też świece, które postawił Ihnatij przed ikoną Fotija męczennika były z wosku zabranego pszczołom po dniu Uspienija Przeświętej Bożej Matki, kiedy tylko rozbójnicza ręka zabiera schronienie zimowe miłym Bożym robotnikom. Stała chata, najładniejsza we wsi, ale nie na długo. W sam dzień Nowego Roku, była wtedy wojna z Japońcem, zabierali Ihnatija znowu w żołdacy, choć wrócił parę lat dopiero z wojska. Odjechał na własnej podwodzie nie więcej jak dwie wiorsty – a tu chata jego zapaliła się cała od razu, jak zapałka! Mówił później, że poznał z daleka, gdzie paliło się i chciał zawrócić, ale strażniki nie puścili: „I tak – mówią – nie zgasisz, ogień wielki, a na pojezd spóźnimy się, walaj wperiod, słuگو carski!” I zaraz na drugi dzień urodził się Kondrat, w obcej chacie, bo po ojcowskiej tylko komin został i belek kilka nie dopalonych... Wrócił po roku Ihnatij, postrzelili go Japońcy w obie nogi, ale wyzdrowiał i postawił nową chatę. Patrzyłem nie raz na jego robotę i dobrą przestrożę dawałem:

– Głupi ty, Ihnatij, przeciw woli Boskiej stajesz, miejsce przekłete odbierasz czortowi i wiedźmie, družce jego dobrej... A jeszcze nie wiadomo, czy w ziemi tej nie gnieźdzą się, jak osy pod lipą, roje upiorów... Lepiej krzyż postaw wysoki na pogorzelsku, drzewo to niesamowite wykop z korzeniem i przenieś się daleko stąd.

A on śmieje się i mówi:

– Co wy, dziadziu, jakby ze snu zbudzeni mówicie? Nie czort zabrał mnie na wojnę, tylko ukaz carski, nie upiór podpalił mi chatę, tylko ogień z komina, z którego pod samą strzechą wypadły cegły, Foma przekłety stawiał i gliny, podlec, pożałował. Ja – mówił – w Pitrze służył cztery lata, nauczyli rozumu ludzie oświeceni i naczelnik, nie ma czortów ni upiorów na świecie!

Ot, i nauczyli go! Niektórzy z was pamiętają, jak parobek Ihnatija, Michej, w samą niedzielę Woskresienija Chrystowa zwariował od przepicia się, wylazł na komin i na oczach połowy ludzi ze wsi poderznął sobie gardło nożem od sieczkami, aż głowa została tylko na kościach z tyłu... Potem mór jakiś wybił krowy i owce, nawet kury i gęsi. Potem piorun uderzył w stodołę, a choć nie zapalił jej, to przecież zabił dwoje dzieci siostry Ihnatija, co bawiły się wtedy na sianie... Strasznie było przechodzić tamtędy nocą. Widzisz, z komina sypią się iskry, każda wielka jak jajko gołębie, kręcą się, tań-

czą, wiją jak węże ogniste, a kiedy wsłuchasz się – bywało – szum dziwny idzie od nich, jęki żalosne, śpiew niespokojny, syczący, straszny... A w chacie dawno wszyscy śpią, ogień z wieczora jeszcze zgaszony. Innym razem widzieć można było kłęby dymu czarnego, buchające z pnia biesowskiego drzewa przed oknem chaty Ihnatija. Myślisz: świnię opala gospodarz dumy pod samą izbą. Ale kiedy podejdziesz blisko, nie ma dymu ani ognia, tylko zapach mdły taki, że uciekać musisz biegiem na czyste powietrze, a wtedy dym goni za tobą, pod nogi wplątuje się, oczy zasłania i szumi groźbą piekielną: „Poszoł, poszoł!” Raz wracałem z daleka, nie było mnie we wsi chyba całe lato, i droga mi wypadła tamtędy. Ciemna noc jesienna przykryła świat, jakby płachtą czarną, ani gwiazdy na niebie nie było, ani światełek w oknach izb chłopskich. Konie szły własnym węchem, ja drzemałem na wozie i powodja puściłem na ziemię. Nagle szarpnęły w bok i zaczęły chrapać, jak na wilka. Budzę się i patrzę: chata Ihnatija jakby w świetle księżycowym, na dachu okrakiem siedzi czarny jakiś człowiek z długim batem w ręku i bat wykręca się jak żmija, iskrami maleńkimi sypie... A dokoła chaty – zbaw nas, Hospody Boże! – długim rzędem idą białe szkielety ludzkie, w nogę, jak żołdacy uczone po kazarmach, rękami machają, głowy podnoszą... I ja, i konie, zamarliśmy w przestkach. A oni idą i idą, bez końca... Aż zjawił się wreszcie jeden, co niósł drugiego, mniejszego na ręku, i ten był ostatni... Myślałem, ot, śniło się, ale konie do rana rzucały się w stajni i chrapały, nie jadły owsa, potem zimnym pokrywały się biedne... Rano opowiedziałem Ihnatijowi o wszystkim. On już i tak namyślał się, zadumany chodził, smutny... Nieurodzaj przeszkodził mu przenieść się, wiadomo, pieniędzy potrzeba dużo na rozebranie domu i postawienie gdzie indziej. A potem zabił go ktoś nie wysłędzony przed samymi drzwiami do własnej izby i nikt nie wie, kto i za co, ani nawet kiedy, bo dopiero o świcie Pełagia wyjrzała oknem i zobaczyła trupa, patrzącego na nią z daleka – choć tak blisko stał przy drzewie – z daleka, bo z tych stron, z których nawet dusza wrócić nie ma czasu, choć żyje wiecznie...

Nie powiedział ja jeszcze wam, co najlepiej zapamiętałem po tym widowisku strasznym, chorowodzie trupów dookoła chaty Ihnatija. Ten człowiek nie człowiek, bies nie bies, który siedział na dachu i biczem skrzącym się poganiał żywe kości ludzkie, miał wielkie skośne oczy, a nad nimi czarne, zrosnięte nad nosem brwi. Może i w tym bladym świetle, zupełnie podobnym do księżycowego, nie można by zobaczyć wyraźnie jego twarzy, siedział przecież wysoko. Ale oczy miał świecące mocno, okropne, raz zobaczysz – i nie zapomnisz wiecześnie całą... Nie siedziały one głęboko w głowie, jak u ludzi, tylko wystawały daleko, jakby nie złączone z twarzą, wypukłe, wielkie, promieniste. Biła z nich czasem krwawa czerwień, prosto krew gorąca buchała na mglisty świat, to znów żółciły się, jak złote ramy ikon cerkiewnych w słońcu, to znów zielonym światłem drżały, jak nagrzana w południe letnie bujna łąka przyrzeczna. I w każdym oku paliła się źrenica, zawsze jednakowa, biała, coś w niej ruszało się i kłębiło i wyciągało do moich oczów jakby niewidzialne cieniutkie ręce, które sięgały do duszy, do serca i ciągnęły boleśnie, a wtedy szumiał w głowie i chłodem śmiertelnym

przerażał jęśliwy szept: „Chody, chody, żywuszczuj!” Straszna jest mowa piekielnych gości, słowa nie usłyszysz, jak od ludzi, cisza uszy męczy – i przecież rozumiesz ich, mówią nie w uszy, nie językiem, tylko prosto w duszę i serce, zmartwiałe ze strachu – mówią tym, czym mówi echo leśne, czym śpiewa radość zorza jasna letnia, czym płacze ostatni żywy liść dębowy w szronie zimnej nocy oktiabrskiej...

Długo przypomnieć sobie chciałem, skąd ja znam te oczy, brwi nad nimi rosochate i czapę nad brwiami, wielką papachę z pękiem piór orlich na przedzie. Stara pamięć – zła pamięć! Przywala ją ciężki piasek dni, tłoczą sotnie wspomnień różnych, wesołych i gorzkich, a najwięcej ciąży na niej nieochota. Jakby dwóch ludzi było w jednym: ten prosi się: „Pamiętaj!” A drugi krzywi się jak pies na niedojrzałą śliwkę i po moskiewsku woła: „Naplewat’!” Przecież mocniejszy we mnie ten pierwszy człowiek. Grzebałem długo w starej pamięci i może bym nie odgrzebał niczego, ale przyszła znów noc okropna... Wszyscy pamiętacie ją: noc, kiedy z palącej się stodoły Kondrat wyciągnął uduszoną matkę! Wielu z was wtedy nie rozumiało już nic, za dużo gorzkiej wypiliście na weselu u Trofima. Sam Kondrat, kiedy wracał na wesele po odwiezieniu družki za rzekę, mało wiedział, co się dzieje. Słyszę: warta krzyczy: „Ohoń, ohoń, lude!” Biegnę na wieś i spotykam Kondrata na wozie, poznałem go, bo śpiewał:

*Zelenyj barwynoczku,
stełysia nyżeńko,
a ty, myłyj czornobrewyj,
prysuńsia błyżeńko!*

– Ech, ty, beczko dziurawa – wołam – słyszysz? Na pożar wołają!

– Dziadziu – odpowiada podlec – niech się pali, ja na wesele jadę, družkę pijaną odwoziłem, pohulaliśmy po drodze na sianie, co nim wóz wyłożyłem... Koniaki tylko chwostami machały...

Złość mnie porwała na durnia. Przecież i do jego izby mógł zanieść iskrę wiatr, a był mocny tego wieczora. Ale pytam jeszcze:

– Wiesz, gdzie się pali? Bo w tamtej stronie wołali: ohoń!

– Wiem – mówi pijanica przekłęty – to u mnie w stodole... Dymu dużo...

Nie wytrzymałem i jak nie palnę go po łbie sękatym kijem moim. Spadł na ziemię z wozu, podniósł się prędko, podrapał w głowę i wytrzeźwiał widać, bo krzyknął przeraźliwie:

– Lude, pomohajte, ohoń u mene w chati!

Jeszcze był czas... Choć pewnie tylko warta i ja byliśmy trzeźwi, ale na szczęście deszcz wtedy padał cały dzień i studnia była pełna wody, nie trzeba było nosić. Otworzyliśmy wrota stodoły: dymu pełno, a ognia nie widać. Zaczęliśmy lać wodę... poma-ga! Poszedłem do środka stodoły, ciemno było tam, czarno jakoś dziwnie, jakby sadzami mrok oczy zasypywał... I wtedy znów zobaczyłem te oczy okropne, tylko oczy, wzniesione na wysokość twarzy ludzkiej... w najciemniejszym kącie stodoły. Buchała

z nich czerwień krwawa. Nie zdążyłem i krzyknąć ze strachu, bo wtedy nagle zawołał Aleksy, co wartą służył:

– Kondrat, e, Kondrat! bacz, nogi czyjeś pod słomą widać.

Kondrat wyciągnął za nogi Pelagię, miłosierdzie Boskie niech ją ochroni na tamtym świecie!... Oczy miała wyłupione, język na wierzchu, z nosa krew jeszcze ciekła cieniutkimi nitkami czerwonymi.

Wiecie, co ludzie o tym mówili. Warta widziała, jak gajowy Sowa prowadził Pelagię do stodoły, oboje byli pijani. A potem drugi gajowy, Maniek, kręcił się koło chaty Pełaginej, gdzie Ksenia tylko została się z kwartirnicą. Dziwo! Gajowy Sowa zaklinał się, że na śmierć zbije Pelagię za to, że kolnęła go mocno widłami, kiedy złapał Ksenię w lesie, niby na kradzieży drzewa, czy zbieraniu jagód. I jeszcze siedział za to w areszcie przez dwa lata, a mówią, że gdyby pan Zarzecki nie jeździł do Równego wyprasać, to i zgniłby w kandałach, sodomczyk pogański. I ten sam gajowy szedł z Pełagią na siano pachnące, do mroku lubego w stodole! Coś chyba nie tak dziać się tam musiało. Bo i przed sędzią, co przyjechał, nikt jednakowo nie powiedział, i przed strażnikami tak samo. Wódka w głowie zakręciła wtedy, czy bies namotał węzłów... Ot, wtedy, jak zobaczyłem w czarnym mroku stodoły te czerwone oczy skośne, wyzwoliło się na koniec wspomnienie dawne, bardzo dawne, z lat moich dziecinnych. Tak, tak, wiem ja, czyje są te oczy, kto podpalił izbę Ihnatija i jego samego siekierą zabił, kto udusił Pelagię, a przedtem jeszcze wodził ją, senną, po żytach dojrzałych i gąszczach leśnych, nocami, kiedy nie było ni księżyca ni gwiazd. Ech, gniewał się Ihnatij – upokoj, Hospody, duszę jego grzeszną! – na te wędrowniki żonki swojej miłej... Ludzie, a najpierwsze baby ostrojęzyczne, śmiali się z początku, a i ja z nimi. Wiadomo, każda baba, jak nie śpi i nie je, to wciąż myśli o grzechu, który by z chłopem popełnić mogła, choć i we śnie nawet wyprawia grzeszne dziwy, a gorący barszcz pali ją w gębie nie buraczanym smakiem, tylko wąsami parobka, co wczorajszej nocy ocierał się o nią pyskiem nie ogolonym, jak kot o szaflik z mlekiem. Ale kiedy kto spotkał Pelagię, idącą przez wysokie zboże o zmroku dnia, nie mógł śmiać się więcej. Oczy miała zawsze zamknięte, prawą rękę wyciągniętą przed siebie, szła cicho, nie łamiąc kłosów czy trawy, i śpiewała szeptem nie naszą piosenkę jakąś dziwną, słowa w niej były obce, ani moskiewskie, ani polskie, ani żydowskie nawet...

– Dokąd ty, Pelagio? – wołano za nią, a ona wtedy coraz prędzej uciekała, nie oglądając się. Próbowali ją gonić, najzdrowszy parobek nie dogonił. Siła biesowska, czary przekłete. Chodził Ihnatij do popa, cóż, pop naśmiał się: „A ty – każe – nie mąż jesteś, ale kaban siwy, kiedy – każe – nie potrafisz przytrzymać żonki. Grzechu szuka ona – każe – cerkiew omija, przyjaciółka diabła!” każe.

A u niego samego popadia z ponomareńskim ściska się, a młodsza córka popa jest ryża i nos ma gruby, tatarski, spojrzysz: ponomar w spódnicy!... I do rzeczy: Ksenia też niepodobna jest do Ihnatija, ani do matki nawet. Włosy ma przecież takie, jakich i ja nawet w życiu nie widziałem – białe, jakby siwe – weźmiesz w garść, prosto puch

gęsi! Brwi ciemne, nie czarne, jak u nas bywa – oczy wielkie i skośne, jakby u Tatarki – usta blade, sine jakieś – ząbki białe i równe, jakich żadna dziewczyna we wsi nie ma. Chodzi też dziwnie, sztywno – jak nie patrzysz na maleńkie nóżki jej – zdaje ci się, że nie idzie, tylko sunie się.

Młode to jeszcze dzieciątko, a zabawy żadnej nie lubi, siedzi całymi dniami przy oknie albo przed chatą i uśmiecha się do kogoś, czego oczy nasze nie widzą. Prawdę mówią, najładniejsza to dziewczyna w okolicy całej, już teraz wszyscy parobcy kochają się w niej. Urok ma w sobie dziwny, nieszczęsna. Ale nie na żonkę stworzył ją Ojciec nasz niebieski, kiedy każe jej mieszkać na miejscu przeklętym, od którego odwróciły się jego miłosierne oczy...

Miałem może piętnaście lat, już wtedy każda wdowa, a i niektóre baby zamężne, lubiły poklepać mnie o zmroku i powiedzieć: „A ty, Kostia, lubisz się całować? Chodź do pasieki, nie bój się, pszczoły już śpią, kasać nie będą, miód słodki zebrać można.” Ale nie był ja bardzo łakomy na ten miód babski – pójdiesz, bywało, z babą na pasieczną łąkę – zamęczy, podła, siłę całą wypiłaby, niesyta nigdy baba. Wolałem chodzić i jeździć, jak czas był, do wsi dalekich, szukać czegoś, pytać o coś... A matka moja, co teraz w świętych chorowodach śpiewa chwałę Zbawiciela, nie broniła.

Pamiętam, że niedługo po tym pojechałem do dziadka do Tajkur... Tak, musiałem mieć wtedy nie więcej jak piętnaście lat...

Nie wiem, co to było, ale raz zjechali się do naszej chaty jacyś starzy ludzie, siwi, niektórzy na kulach, niektórzy ślepi, prowadzeni przez małe dzieci. Matka witała ich jak ojca rodzonego, zasłała im sianem całą izbę, a ze mną wyniosła się do stodoły. A jaki obiad im ugotowała! Sześć kur zarznął parobek, śmietanę z całej wsi zniesiono... Cały dzień radzili starcy nad czymś tajemniczym, jeden z nich pilnował przed chatą, żeby pod oknem i drzwiami nie było ciekawych, którzy za długie mają uszy i za bardzo bystre oczy. Ech, ciekawy też byłem, ciekawy! Ale nie udało się nic zobaczyć ani usłyszeć, bo i matka pilnowała wypełnienia woli starców.

Kiedy pytałem jej, co to za rada w izbie, odpowiadała ostro: „Nie twoje dzieło, mołokosie, ukróć ciekawość swoją, bo nieszczęście ściągniesz na głowę!” Słuchał ja matki swojej dobrej. Żeby zapomnieć, do wdowy poszedłem, takiej najstarszej, co umiała oczami i głosem słodkim, ustami pełnymi i dumką smutną, długo igrać miło z duszą moją i młodym ciałem gorącym...

Na drugi dzień rozjechali się goście nasi, został tylko jeden, może najmłodszy z nich, ale już ślepy, z młodą dziewczynką, która prowadziła go go i usługiwała, nazywając „dzieduszka”. On to właśnie, późnym wieczorem, opowiedział mi o tej sprawie dawnej, co działa się w lasach nad Słuczą, gdzie dzisiaj wieś wasza stoi. I żebym był pamiętał o tym, nie powstałaby noga moja w tej wsi, nie wprowadziłbym się kiedyś między was, lepiej mi było pustelnię wybrać leśną... Ale dziś za stary ja do wędrówek, i zżył się już z zwierzem i ptakiem tutejszym, nawet z ludźmi... Niedługo mieszkać już będę za wsią, ziemia czarna pokryje mnie, ta sama, co we wsi mojej rodzinnej, ziemia,

najlepsza ochrona przed złością diabelską i ludzką...

O bardzo dawnych czasach mówił ten ślepiec stary. Wtedy jeszcze miast było bogatych dużo nad rzeką Dnieprem i Ikwą, a wielkie chmury Tatarów zaczęły dopiero zniszczenie na ziemiach ruskich. Wsie były inne, wielkie, a bardzo daleko jedna od drugiej i prawie zawsze zbudowane przy drewnianym albo i kamiennym zamku, gdzie mieszkał pan. Od dawna, jeszcze przed Tatarami, napadali na bogaty nasz kraj zbóje besarabscy i węgierskie bandy, dlatego zamków dużo było u nas. Każdy otoczony był rowem głębokim i ostrokołem z pni dębowych, w środku stał dwór pański i domy dla pańskich żołdatów, a miejsca zawsze było dużo, żeby cała wieś mogła się ukryć za ostrokołem w razie napadu zbójckiego. Izby chłopskie budowano prosto z okrągłaków i przetykano mchem dziury między pniami, kominów nie znali jeszcze ludzie, ogień palili na środku izby na gładkim kamieniu, a dym wychodził dziurą w pułapie. Częste też były pożary: co nie spaliły iskry z własnego ogniska, z dymem puszczał zbój, albo i sąsiad pański, chcący obłowić się cudzym. Jak długą jest rzeka Horyń i Słucz, wszędzie rósł bór nieprzebyty, ciemny, pełny zwierza groźnego. Nie było i miejsca dla ludzi, chyba po wyrąbaniu lasów na orną ziemię, ale rąbać nie warto było, bo nad jednym drzewem olbrzymem musiałbyś pracować ze dwa tygodnie. Szukali więc ludzie, którym za ciasno było po wsiach, leśnych polanek zielonych. Tam budowali chutory samotne, z maleńkimi oknami, żeby niedźwiedź dostępu nie miał, i mocnymi wrotami dębowymi. W dalekich chutorach nieraz po parę lat chłop nie widział nawet sąsiada swojego, zapominał o wierze świętej, a jego dzieci więcej do wilcząt były podobne niż do ludzi. Ale czasem wychował się w pustelni takiej orzeł, dla którego trzeba było tylko przypadku, żeby rozwinąć skrzydła i wpaść na gęste osiedla ludzkie, jak między stado krzykliwych żurawi, na czyny wielkie, złe lub dobre.

W tym właśnie miejscu, gdzie rzeka ostro skręcała się w dwa duże kolana, były odwieczne polany. Nie mógł wyrósć na polanach tych żaden dąb, ani sosna, ani inne drzewo, bo Słucz rozlewała się po tych miejscach czasem dwa razy do roku i przygniatała mułem i piaskiem młode drzewka. Na jednej z polan wznosiła się mała wydma, zarosnięta dębina, a na niej, ukryty w gąszczach, stał chutor Potapija, dzikiego osadnika, który żył więcej z rozboju niż z pracy na ziemi bujnej, przyrzecznej.

Od strony rzeki, osobno od reszty lasu, rosło na wydmie ogromne i dziwne drzewo, nieznane w tych stronach. Z dalekich dawnych czasów nazywali ludzie to drzewo: Bożyj Dub, pewnie dlatego, że z pnia, kory i gałęzi podobne było do dębu, ale liście miało klonowe, tylko bardzo zębate i grube. Ot, takie same jak to, co rosło przed chatą Ihnatija, potomek widać przekłety tamtego Bożego dębu, który na pewno poganie antychryści tak nazwali. Chociaż... Bóg wie tylko, czy drzewo może być oddane diabłu na własność? Ciche jest ono, spokojne, radosne na ciepłym słońcu, a smutne i martwe w długie noce zimowe, kiedy właśnie największą uciechę ma czort leśny. Więcej ono podobne do samotnego pustelnika, modlącego się dniem i nocą, niż do diabelskiego narzędzia niepokoju. Toteż kiedy ścinali chłopci to dziwne drzewo przed izbą Pelagii, po

zamordowaniu jej męża przez nieznanego zabójcę, żal mi było, zdawało mi się, że niewinny tu cierpi i chciałem bronić, ale zakrzyczeli:

– Nie mieszaj się, Kostia, nie broń biesowskiego dębu, przekleństwo on sprowadza na ludzi!

Może dąb ten i nie był Boży, ale chyba i nie biesowski. Cóż winno ciche, bezbronne drzewo, że przeklął go człowiek, czy nawet sam Zbawiciel?

Tak i nazywali w tych starych czasach, od tego dębu nie dębu, całą polanę: Bożyj Dub. Było tam kiedyś osiedle ludzkie, wielkich ciosanych kamieni stopy całe leżały dookoła, przykryte już mchem zielonym i trawą. Widać przywozili ludzie głazy te rzeką, bo żadnych śladów dróg nie było wśród tysiącoletniego boru gęstego. Potapij przywędrował tutaj jeszcze chłopcem młodym z obcą rodziną jakąś, jako sługa, a jak dorósł, zamordował gospodarza, dwie córki jego wziął sobie za żony, a ich starą matkę utopił pod lodem w Słuczy. Nazywali go rzadcy goście tamtejsi Biczem, bo nosił zawsze za plecami, uczepiony u pasa, gruby i długi bat rzemienny, którym bez miłosierdzia bił swoje młode żonki. Mocny był Potapij i strzelał z wielkiego łuku jak Tatar celnie, więc z początku sam chodził pod wsie dalekie, ścieżkami sobie tylko znanymi, na rabunek i zabójstwa. Przynosił gotowe kozuchy, ubranie ściągnięte z zabitych i krwią jeszcze zwalane, przyprowadzał nieraz krowy, dźwigające wory z mąką i kaszą, czasem nawet spódnice babskie na podarunek żonom swoim. Czasem i miesiąc cały nie było go w domu, a żony jego marły ze strachu, że nie wróci i na śmierć głodową pójdą nieszczęsne, bo tylko rzeką mógł człowiek, oprócz Potapija, wydostać się stamtąd na świat Boży, a czółno swoje dobrze ukrywał przed babami chytry rozbójnik.

Raz kiedy Potapij poszedł na długo gdzieś za ciemne bory, przyplłynęło wiele czółen do Bożego Dębu. Czy kupcy jacy z daleka szukali miast nieznanych, czy možny jaki pan chciał zobaczyć, gdzie bory się kończą? Nie wiadomo. Ale pod wieczór tłum ludzi, uzbrojonych w żelazne topory i piki, wyszedł na brzeg. Rozpalono ogniska, śpiewy rozległy się na dzikim brzegu rzeczonym. Przerażone żonki Potapija z początku uciekły w las, ale babska ciekawość przemogła: podeszły wkrótce do ognisk, ukrywając się w wysokich trawach polany. Tam usłyszały, że nieznanymi goście mówią do siebie taką samą mową, jak i one do męża swojego, a śpiewają cudne, cudne pieśni. Kiedy już goście spać poszli na swoje czółna, obie baby wysunęły się z ukrycia i zaczęły oglądać ślady po ich uczcie. Jednak na brzegu zostało kilku obcych ludzi i ci zobaczyli, że ktoś kręci się przy przygasłych ogniskach. Niewiele czasu minęło, a już obie żonki były w rękach przybyszów. Radosne krzyki ściągnęły z czółen resztę wędrującej gromady i ich pana, który nie dał krzywdzić pojmanych bab, pewnie dlatego, żeby sobie zostawić na rozkosz nocną. O świcie odpłynęli wędrowcy, zostawiając przy życiu i zdrowiu żonki Potapija na dzikiej wydmy Bożego Dębu.

Kiedy po kilku tygodniach wrócił Bicz do chutoru swojego, już ślady po nieznanymi gościach zarosły zielenią bujną, deszcze zmyły popieliska, wiatr wyrównał bruzdy od czółen na piaskach przybrzeżnych. A żonki milczały... Grzech poniewolny napiętnował

obie. I pewnie gdyby się przyznały do grzechu, który popełniły owej nocy z jednym, możliwym jakimś panem, nie zostawiłyby ich przy zdrowiu dziki chutornik i na śmierć zasiekłyby je biczem. Potapij, kiedy zauważył, że obie żonki grubieją, ucieszył się nawet bardzo. „Będzie – myślał sobie – pomoc w trudzie moim ciężkim, byle urodził się chłop. Z dziewczyną od razu poradzić sobie trzeba: za nogi i łbem o drzewo. Dość przeklętych suk na świecie, na białym!”

Przyszedł wreszcie dzień, kiedy o jednej prawie godzinie obie siostry porodziły. Potapij obejrzał nowo narodzone dzieci: chłopiec i dziewczyna. Nic nie mówiąc, wziął dziewczynę za nóżki i wyszedł z izby. Była ciemna, burzliwa noc wiosenna. Na dziwo o tej porze były gęste pioruny i czarne niebo i czarna ziemia raz po raz oblewały się niespokojnym, oślepiającym światłem błyskawic... Może który z świętych męczenników nie mógł patrzeć na zbrodnię, jaka miała się wtedy dokonać nad słabym dzieciątkiem? bo właśnie wtedy, gdy Potapij podniósł ofiarę swoją, aby mocniej uderzyć o drzewo, uderzył straszny grom w najbliższy pień dębowy, oślepił i ogłuszył na chwilę Potapij a. Złakł się zbój, rzucił dziecko i wpadł do izby. A kiedy o świcie wyszedł przed chatę, aby zakopać dziecko, znalazł tylko ślady jakiegoś zwierzęcia, które widać porwało płaczące niemowlę.

„Wilki! – domyślił się Potapij. – Trudu oszczędziły, serdeczne!”

Tymczasem obie matki wrywały sobie drugie dziecko. Żadna nie wiedziała, czy synek maleńki jest jej, czy też siostry, ale jedna i druga zaklinała się, że wie: „Mój był chłopczyk.” Potapij nawet nie pamiętał, czyje dziecko wyniósł z izby. Kłócące się baby uspokoił biczem i strasznie im pogroził:

– Ubij jedna drugą, nic nie powiem, mniej kaszy warzyć się będzie w garnku... I tak ubiję niedługo jedną, za dużo mi dwie na noc, a i na dzień jedna wystarczy, zamek mój wielki, cztery krowy i owiec siedem! Ale jak mi dziecku krzywda się stanie, jak umrze, to powieszę obie za ręce na gałęzi, a pod nogami ogień niewielki zapalę i przez trzy dni i trzy noce piec będę, wędzić na sławę czorta, brata waszego suchego. On, syn mój – a nazywać się będzie Daniłło, jak mój bat’ko, co go pan Korecki na pal wsadził – on będzie mi pomocą, we dwóch spalimy i chorom w Korcu, i bogaty dwór hoszczański...

Przycichły pod straszną groźbą obie matki nieszczęsne ... I pogodziły się z czasem, na zmianę karmiły niemowlę i tylko jedna drugą pilnowała, żeby zaraz odebrać dziecko, jak słońce wzejdzie lub zajdzie, według umowy. A pilnowały też go jak dzikie wilczyce! We dwie, z toporami w rękach, odganiały nieraz głodnego niedźwiedzia, olbrzyma, od okienka izby i zabijały bez miłosierdzia każdego człowieka, co rzadko bardzo zjawiał się w chutorze, i czasem nawet od razu po paru gości nieproszonych traciło życie od toporów zawziętych bab. Czyniły tak dlatego, żeby wieść o dziecku nie rozeszła się: myślały, głupie, że cały świat o niczym nie myśli, tylko o tym, żeby im porwać małego Daniłłę...

I wyrósł Daniłło, syn dwóch matek, a ojca nieznanego, wyrósł w puszczy dzikiej, nie znając ludzi ani życia innego jak na wydmie, na ługu zielonym przyrzecznym. Nie-

podobny był do matek swoich. Oczy miał wielkie, skośne, brwi gęste nad nimi, jakby jeden nastroszony wałek czarnych włosów, bez przerwy nad nosem, wargi grube, często bez powodu nawet rozchodzące się i pokazujące cztery ogromne kły, jak u wilka. Ale najdziwniejsze były oczy młodego parobka. Nie białą błyszczącą, jak zwykle, otaczały się źrenice – dokoła nich znaczył się cień zielony – a kiedy Daniłło wpadł w złość, zalewały się żółtością jasną, oślepiającą. Źrenice miał wielkie, jednego tylko koloru, całe srebrne, jak księżyc letni, z lekka tylko przyćmione na brzegach.

Pamiętam, jak stary ów człowiek opowiadał o tych oczach Daniłły. Nie potrafię wam powtórzyć tego. Widać i tęsknota za oczami prowadziła myśl i słowa ślepego starca, bo do serc naszych przemówił. Jakby na jawie zobaczyłem wtedy te oczy okropne i długo jeszcze potem śniły mi się w strasznych snach nocnych.

Jak tylko Daniłło potrafił naciągnąć wielki łuk ojcowski i ciężkim toporem rzucić w łeb niedźwiedziowi, zaczęli obaj z Potapijem wychodzić na wędrówki rozbójnicze. I zaczęło się od tej pory bogactwo w chutorze przy Bożym Dębem. Dwie izby Potapija wysłane były drogimi futrami, sukniem miękkim, czerwonym, dywanami o złoconych nitkach. Stary Potapij na starość zrobił się skąpcem głupim i zabierał wszystko, co w ręce mu wpadło, czego wartości nawet nie rozumiał. Raz przyniósł z ograbionej cerkwi dalekiej w Cudnowie obraz Bożej Matki, cały w złocie, który darował cudnowskiemu popu pątnik z Jerozolimy, umierając od przypadku we wsi cudnowskiej.

Było to na wiosnę, przed świętem pogańskim Kupały, które do dziś ludzie pamiętają, mimo ostrzeżeń popów. Zmęczony Daniłło położył się z wieczora pod Bożym Dębem i zasnął. Wśród omszałych kamieni gnieździły się czarne żmije i jedna z nich w nocy ukąsiła boleśnie śpiącego. Zerwał się i krzyknął z bólu, ale głos mu zamarł w gardle na widok dziwnej, ogromnej postaci ludzkiej o pięciu twarzach, cztery zwrócone na cztery strony świata, a piąta ku niebu. Dokoła tej dziwnej i strasznej postaci wiły się złote i czerwone pasma światła, jakby szerokie wstążki, rozwiewane wiatrem, na głowie družki weselnej.

– Daniłło – odezwała się postać wszystkimi pięciu ustami – na ołtarzu moim leżysz, ofiarą będziesz dla mnie. Zrecem moim już dzisiaj jest tylko żmija czarna i orzeł wielki, stepowy, przylatujący tutaj na obiednie moje zapomniane... Umrzesz!

Głos widma czy czorta był rozlewny jak echo i śpiewny, jak szum wiatru wieczornego w trzcinach i oczeretach na bagnistym brzegu Ikwy.

W dzikiej duszy parobka nie było strachu przed śmiercią, nie rozumiał jeszcze, jak zwierzę, że może umrzeć. Zabijał zwierzęta i ludzi, ale wydawało mu się to rzeczą zwykłą, codzienną. Obietnica bliskiej śmierci nie przstraszyła go, była zbyt nieprawdopodobną, jednak Daniłło w trwodze upadł na twarz przed widmem i żebrać począł zmiłowania:

– Straszny panie! – szeptał. – Zabij zaraz, ale nie patrz na mnie ogniem palącym twoich oczów i ujmij węże złote i czerwone, niech nie kręcą się tak... Boli mnie rana, co ją wyszarpał czarny wąż, ale więcej boli gniew twój, nieznan, straszny, dziwny pa-

nie!

Była to pierwsza modlitwa Daniły. Szczera, głęboka, prosta. A modlitwy takie, czy do Boga, czy do czorta wypowiedziane, zawsze wysłuchane bywają. Groźna postać o pięciu twarzach zniknęła, a na jej miejsce zjawił się starzec z siwą brodą do pasa, ubrany w skóry wilcze, trzymający w ręku krótki nóż.

– Wstań, parobku! – odezwał się ludzkim zwykłym głosem – nic ci się złego nie stanie, bo wybrany jesteś, aby czynić złe twoim braciom i siostram, co śmierć na ofiarę mają za złe dla siebie... Krwawych żertw żąda Pan, którego widziałeś, wieczny, gniewny dla ludzi, niemiłosierny jak życie samo. Nie wiesz i o tym, że wygnany on jest ze świata, że krzyże ogniem go palą, ale sam ten, co krzyżem chciał zbawić świat, odwrócił się od ludzi i płacze przez wieczność całą nad zaślepieniem swoim dawnym... Żertw krwawych potrzeba Panu! A twoi bracia sobie tylko żertwy przynoszą, krwawią ręce i dusze dla siebie, nie dla niego! Daniło, parobku dziki leśny, ty będziesz sługą Pana...

I nożem swoim wykroił starzec z piersi mołojca kawał serca. Nie całe wykroił, lecz tylko tę część, gdzie siedzibę ma miłosierdzie. Potem starzec zmienił się nagle w wielkiego siwego orła, porwał w zakrzywiony dziób krwawiący jeszcze kawał serca Daniły i wolno, spokojnie wzniósł się nad ciemne bory i szerokie wody słuczańskie.

Może zapomniał o owej nocy Daniło, może i pamiętał, tylko nikomu nie mówił o niej i dalej życie jego po staremu szło na rozbojach i wędrownkach dalekich.

Aż raz zapuścili się obaj z Potapijem w żyzne i bogate okolice, gdzie dziś jest miasto Krzemieniec. Zwabiły ich tam łuny wielkie. Wiadomo, przy pożarach najłatwiej rabować i zabijać. Właśnie szedł tamtędy zagon tatarski, ziemię i wodę tylko zostawiając za sobą. Od każdego zagonu odrywało się zwykle wiele gromadek zbójeckich, które zapuszczały się na własną rękę nieraz bardzo daleko, aż pod korecki zamek. Na jedną taką gromadę zbójów tatarskich natknął się w lasach Potapij ze swoim synem. Tatarów było ze dwudziestu, a prowadzili z sobą niewolników, powiązanych po trzech na jednym koniu, same młode baby i chłopcy nieletni.

Rozłożyli się Tatarzy na noc na małej polance leśnej, rozpalili ogniska, popętalili konie i najadłszy się końskiego mięsa, zaczęli bawić się z niewolnicami. Po raz pierwszy w życiu zobaczył zabawę taką Daniło, ukryty w bliskich gąszczach z ojcem swoim przybranym. I rozpalilo się serce młode tyle tęsknotą miłosną, ile nienawiścią do koso-okich rozbójników, zazdrością zwierzęcą... Upatrzył sobie jednego Tatara, komandira widać starszego, który wybrał najładniejszą dziewczynę, ubraną po pańsku, i najdłużej znęcał się nad nią, bezwstydnie, przy ognisku na oczach innych... Dziki był Tatar stepowy, ale więcej dzikiego człowieka wyhodował bór, w którym zbóje krymscy nie umieli sobie radzić przeciw chutornikom, byle śmiałym i zebrany w gromadę. A Potapij z Daniłą starczyli za dziesięciu. Gdy Tatarzy zasnęli, zostawiwszy tylko kilku swoich dla pilnowania niewolników i koni, obaj chutornicy podpełznąli do ognisk i toporami zaczęli rozbijać łby śpiącym. A robili to tak cicho, że zgrzyt żelaza na kościach

ludzkich głośzył szum wiatru i straż zostawiona nie usłyszała żadnego jęku ani wezwania na pomoc. Potem rzucili się na strażników i wymordowali ich bez litości. Jednego tylko zostawił przy życiu Daniłło, owego starszego Tatarów, na długą mękę i śmierć wymyślną, mściwą.

Ucieszyli się wybawieni z rąk tatarskich, ale krótką była ich radość. O wschodzie słońca obejrzeni chutornicy dobro zagrabione tatarskie i niewolników, po czym zaczęli się naradzać.

– Zabierzemy na koniach złoto i srebro – mówił Potapij – trzeba też ze dwóch chłopców wziąć do pomocy w chutorze, matki twoje podłe starzeją się, wygonić trzeba będzie niedługo do czorta. Chłopaki mogą posłużyć lat parę jeszcze, potem utopi się ich w Słuczy, inaczej zgubią, niewdzięcznicy. Babę też jedną, drugą wziąłbym, ale to wszystko młode, pańskie dziewczyny, do roboty nie zagonisz, a sześć krów i koni dziecięć i owiec dużo w chutorze, nie im robota, białorączkom. Zostawić trzeba: jak wilcy nie zjedzą, to może trafią do domów swoich.

Żółtą złością zapaliły się oczy Daniłły.

– Bat’ku! – krzyknął. – Wolę złoto zostawić niż tę dziewczynę w białej spódnicy, co czarnymi włosami łyzy teraz ociera.

– Ech! – zaśmiał się Potapij – takiś już, synku? Bierz że sobie choć ze dwie! Jedna prędko się sprzykrzy, poznasz ją, jak pałkę dębową, i w kąt rzucisz.

– Nie chcę żadnej – przerwał młody parobek – tę tylko jedną, na całe życie! A i Tatarą wezmę do chutoru, straszną męką umrze z ręki mojej. Resztę zabić trzeba, inaczej powiedzą ludziom o nas i pójdzie pogoń, odbiorą mi moją dziewczynę.

I od razu zaczął toporem walić w główki chłopców i dziewcząt, nie słuchając próśb o życie ni jęków bolesnych. Ledwie Potapij ocalił dwóch chłopców od ciężkiego topora mordercy. Rzecz była tak straszna, że nawet stary zbój przymykał oczy i mruczał do siebie:

– Czort nie parobek! Zniszczenie robi niepotrzebne... Wilcza to była sprawa albo niedźwiedzia. I ubrania piękne pokrzwają się, śmierdzieć będą.

Trzydzieści trupów zostało na polance leśnej. Chutornicy poszli w swoją stronę, prowadząc obładowane łupami konie, dwóch chłopców, dziewczynę, którą Daniłło posadził na tatarskie siodło, i związanego Tatarą. Omijając osiedla ludzkie po kilku dniach przyszli do chutoru z taką zdobyczą, o jakiej nigdy nie myśleli nawet.

Na bogate jakieś dworzyszczce napadli Tatarzy, prowadzić ich tam musiał jakiś zdrajca, od którego mękami wymusili wiadomość potrzebną. W worach tatarskich skórzanych pełno było złota, srebra i kamieni błyszczących, drogich, były jaszczyki małe z pachnącego drzewa, a w nich sznury pereł, pierścienie, krzyżyki szczerozłote... Stary Potapij znał cenę tych rzeczy i wydało mu się, że sam Kijów gród kupić by za nie można.

– Synku – powiedział do Daniłły – spalimy teraz ten chutor i na koniach dobrych pojedziemy w świat, między ludzi. Nie potrzeba teraz już trudzić się, żeby oddawali swo-

je dobro: sami przychodzić będą i służyć nam. W mieście wielkim dwór postawimy, sługi zbiegną się, każdy znosić nam będzie wszystko, co zechcemy, żonki i córki młode na noc przyprowadzi każdy mąż i ojciec... Wielką moc ma złoto!

Ale Daniłło nie słuchał. Cały świat zasłoniła mu dziewczyna, odebrana Tatarom, i straszna nienawiść do tego starszego Tatara, który na jego oczach przez parę godzin dręczył sodomską pieszczotą nieszczęśliwe, piękne ciało dziewczęce. Pociągnął parobek swojego niewolnika pod Boży Dąb, nogi przygniół mu ciężkim kamieniem, żeby wstać nie mógł, i oddał na śmierć głodową.

Milczał ponuro stary Tatar, nie jęknął nawet, kiedy pękały kości jego nóg pod ciężarem kamienia. Dopiero kiedy przyszły matki Daniłły oglądać jego mękę, długo wpatrywał się w obie, potem oczy zwrócił na wydmę i piaszczysty brzeg Słuczy, i odezwał się ruską mową:

– Był ja tu dawno... z dobrymi druhami szczęścia szukał nieznanego. Na wydmie tej, w chutorze dzikim, dwie mołodycie, czy żonki czyjeś młode, noc całą całował... Poznałem i wydmę, i was, choć obie postarzały się... jasno człowiek widzi przed śmiercią. Za moje tamte całowanie, za życie wasze, co mogłem wtedy wam zabrać, dajcie mi wody. Pali mnie męka ciała, pali męka duszy...

W tajemnicy przed Daniłłą napoiły baby Tatara. Głupie były one, zdziczałe, ale grozą je przejęło wyznanie nieszczęsnego. To był przecież ojciec Daniłły! Nocą, kiedy wszyscy już spali w chutorze, przyszły raz jeszcze obie pod Boży Dąb i jeść przyniosły umierającemu z głodu. Nie chciał jeść Tatar, ale chciał wyznać grzech swój wielki; lżej czuje się zbrodniarz, kiedy przed drugim człowiekiem odkryje czarną swoją duszę. Na to właśnie spowiedź ustanowili święci ojcowie cerkwi prawosławnej, żeby lżej umierać było grzesznikowi.

– Nie Tatar ja – mówił stary zbój – choć syn Tatarki, porwanej przez pana z Hoszczy, który przywiózł matkę moją z wyprawy dalekiej wojennej. Chrześcijaninem jestem, wiarę świętą wyznaję. Żli sąsiedzi i gorsi jeszcze bracia moi z innej matki nie dali mi spokojnie przeżyć wieku mojego. „Ubić Tatarczuka – wołali – odebrać pogani nowi dobro ojcowskie!” I nocą ciemną napadli na dwór mój bogaty, sługi wyrznęli, żonką kochaną dzielili się na oczach moich, a potem utopili w rzece Horyniu. Bóg czy czort ocalił mnie z ich mocy. Uciekłem w stepy tatarskie. Przyjęli mnie poganie, za swojego uznali, bo i twarz mam tatarską, i umiem mówić ich językiem, nauczył się od matki. Lat kilka mieszkałem z nimi, napadałem na chrześcijańskie ziemie bogate. Dusza mi z bólu zmaląła, serce stwardniało, zamarzło, jak lód chłodne się stało. I zamyślił ja napad na braci swoich... Udało się. Na palach umarli, oni, sługi i żonki i dzieci ich z podejrzytym gardłem leżą na popieliskach hoszczańskiego dworu... Dziewczyn kilka i chłopców Tatarzy zabrali żywcem, a jedną z nich wziąć chciałem sobie, tę samą, co ten straszny parobek przywłókł na koniu tutaj. Czuję swój grzech wielki... Zbawicielu, nie mścij się na mnie za winy moje, jak ja mściłem się za swoją krzywdę wielką! Hospody Boże, pomiłuj, pomiłuj raba twojego, przez pamięć na straszny ból mój, na mękę

moją dzisiejszą i tamtą dawną, co większa jeszcze była, kiedy topili żonkę moją i synków dwóch małych...

Nie patrzył Ojciec Niebieski na miejsce przekłete pod Bożym Dębem, nie słyszeli głosu Tatarów święci męczennicy. Czuwał tam tylko bies i on to podszeptął słuchającym babom myśl o nowej zbrodni. Złękły się one, żeby Tatar nie żył za długo i nie powiedział Potapijowi o owej nocy dawnej. Już nie chciały karmić męczzonego niewolnika, ale mało im było tego; i tak mógł nieszczęsny żyć kilka dni. Bies rozsunał wtedy ciemne chmury na niebie i oświetlił księżycowym blaskiem kamienie pod pnem Bożego Dębu. Na jednym kamieniu leżał krótki i szeroki nóż. Chwyciły go razem cztery ręce babskie, te same, co kiedyś miłośnie obejmowały szyję Tatarów, i uderzyły ostrzem w gardło leżącego. Buchnęła gorąca krew na ofiarę Panu przeklętego miejsca...

Przyszła w nocy gromada wilków na zapach krwi i rozniosła po borach ciało potępionego.

Wybierał się Potapij do podróży, wory nowe szyć kazał chłopcom i żonkom, sam przez dzień cały lubował się bogactwem wielkim swoim. A Daniłło chodził jakby we śnie, nie dotknął dziewczyny, tylko patrzył na nią i służył, jak mógł najlepiej. Długo nawet nie mówił nic do niej, w gardle coś go ścisnęło, ale coś lubego, nieznanego do tychczas, bał się więc głosem spłoszyć tę rozkosz dziwną. Ona nic też nie mówiła, nie płakała już, tylko przerażonymi oczami wpatrywała się w zielone, okropne oczy parobka. Przemógł się wreszcie młody chutornik i zapytał:

– Jak nazywać ciebie, dziewczyno moja? Bo każdy nawet zwierzę ma swoje imię, pewnie i tobie należy się ono...

– Sońką mnie nazywali – szepnęła – a ty nazywaj mnie, jak chcesz, każ mi robić wszystko, tylko nie zabijaj, jak tamtych w lesie!

Włosy powstały na głowie parobka na samą myśl, że jego dziewczyna może być zabita! Żółtość jarząca błysnęła mu w oczach tak strasznie, że Sońka padła mu do nóg, prosząc o zmiłowanie:

– Nie zabijaj mnie, Daniłło... boję się topora, boję się krwi czerwonej, płynącej... Po cóż ci zabijać niewolnicę? Nie winna ja, że Tatar umęczył ciało moje młode.

Nie wytrzymał chutornik i porwał na ręce dziewczynę, tuląc do dzikiego serca, co taką tylko miłość mieć mogło. Ale zaraz puścił ją, bo nieznanemu do tej pory wstyd go ogarnął i jakby wodą zimną chlusnął mu na głowę. Był jasny dzień, a w słońcu nawet dziki człowiek po raz pierwszy nie zgrzeszy... Zresztą Daniłło sam nie wiedział dobrze, czego chce od swojej niewolnicy, a to, co widział wtedy w lesie przy ognisku tatarskim, wydawało mu się jakąś zbrodnią straszną... I prędko zobaczył, że Sońka też wstydi się go, że czasem lepiej, jak odejdzie z izby lub nie odprowadzi jej za chatę wieczorem. Ale za bardzo bał się o swój skarb, żeby zostawić go bez pilnowania. Zawołał więc obie matki swoje i przemówił do nich zupełnie inaczej, niż dotychczas mówił: już obce mu były na zawsze!

– Wy, stare wiedźmy – powiedział – daję was za sługi dziewczynie mojej. Dzień i

noc pilnować jej musicie, myć ją, prać jej ubranie, co wybrałem z łupów naszych, słać sianem miękkim, pachnącym najszerszą ławę w waszej izbie babskiej, warzyć, co tylko każe ona, gołąbka moja biała... Za każdą skargę jej – biczem ojcowskim do śmierci bić będę – suki wy podłe, stare!

Stary Potapij śmiał się tylko i kiwał głową, mówiąc:

– Pański masz zwyczaj jakiś, synku. Spróbuj przespać się z Sońką parę nocy, sam na nią bicza weźmiesz. Żeby nie była młodą, to myślałbym, że oczarowała ciebie, i za szyję powłókłbym do rzeki. Ale to prawie dziecko – jak i ty, synku – wiedźmą, czarownicą być nie może. Dureń z ciebie wielki! Nie będę się gniewać, jak batem popędzisz żonki moje, choć jedna z nich jest twoją matką, niech ci służą, czy dziewczynie twojej. Tylko śpiesz się z nią, bo w świat sami tylko jechać musimy, nikt więcej. Wydałaby, podła, sołdatom, sługom pana jakiego, za rozboje!

Służyły Sońce matki Daniłły, ale straszną nienawiścią zapaliły się obie do niej i umyśliły zemstę. Raz kiedy kąpały ją na brzegu Słuczy i nie wiedziały, że syn z daleka pilnuje ich pracy, przewróciły Sońkę na piasek, którym zasypały jej usta, żeby nie krzyczała, i przywiązawszy kamień do szyi, rzuciły w głębinę. Skoczył do wody za nią oszalały z rozpaczy parobek i z trudem wyciągnął żywą na brzeg. Potem ocuciwszy Sońkę, kazał jej przywiązać kamień do szyi jednej babie i pchnąć ją w rzekę, a sam zrobił to samo z drugą. Ciężkie, głębokie wody pokryły na zawsze żony Potapija. I tylko czarny rak, wżerający się w serca matczyne, pamiętał długo straszną gorycz bólu, z jakim konały dwie matki jednego syna, matkobójcy!

Nadszedł wreszcie czas wyjazdu chutorników. Nie mógł Potapij zmusić Daniłły, żeby skończył z Sońką, więc pojechała z nimi na dobrym tatarskim koniu, uśmiechając się już mile do parobka, który nie pocałował jej nawet do tej pory. Obu chłopców zabił Daniłło toporem i zostawił na żer wronom pod Bożym Dębem. Ale chutoru nie dał spalić: wydawało mu się świętym każde miejsce, gdzie Sońka nóżkę swoją małą postawiła... Już nieraz czerwienią gorącą błyszcząły jego oczy na widok śpiącej bez spódnic dziewczyny, jednak siła jakaś wielka i nieznana przytrzymała ręce i pętała nogi Daniłły.

Nie od razu poznał dziki parobek sposoby życia między ludźmi. Ale prędko dowiedział się o dziwnej i straszej sile swoich oczów. Kiedy na postojach nocnych w obcym chutorze lub dworzyszczu zbierali się ludzie, jak zwykle bywało, aby od wędrowców dowiedzieć się o zdarzeniach w świecie dalekim, Daniłło igrał z ciekawymi jak liszka z gęsiami na pastwisku. Wystarczyło mu spojrzeć na człowieka czy babę i powiedzieć: „Skocz w ognisko!” a nieszczęśliwy chłop czy żonka jego rzucali się w sam środek żaru, między głównie dębowe, które paliły się wtedy na podłogach izb. Kiedy był wesoły i skośne jego oczy zieleniały jasno, a źrenice przygasały, wszyscy śmiali się radośnie, nawet starcy, nie wstający już lata całe z barłogów w kącie najciemniejszym. Czasem gniewał się, że posłanie dla Sońki jest twarde lub jedzenie źle uwarzone, i żółtość jego oczów zagniewanych, chłód okropny źrenic błyszczących srebrnie, waliły na

ziemię każdego, na kogo spadł gniew Daniły. A sam lubił często wpatrywać się w młode dziewczyny i młode żonki gospodarzy, u których był gościem. Wówczas czerwienią oczy mu się zapalały i każda baba, za którą patrzy, szła do niego i tuliła się miłośnie, nawet przy mężu czy ojcu swoim. Śmiał się z początku Potapij ze sztuk synka, za jakiego uważał Daniłę, ale później strach go ogarnął.

„Bies to być musi – myślał w trwodze wielkiej. – Bies wlaźł w oczy chłopaka na zgubę naszą. Rozniesie się zła wieść o nim, gromada zbierze się i pogoni za nami, życia i skarbów pozbawia... Słyszał ja, że pop umie z czortem poradzić: trzeba do cerkwi jakiej wstąpić po drodze. Za złoto i siła przeciw czortowi znajdzie się.”

I wstąpili. Ciekawy był Daniłło zobaczyć Boga, co umarł na krzyżu, więc dał się namówić. Ale już na sam widok krzyża dalekiego rozgniewał się bardzo, a kiedy podeszli do cerkwi, same wrota zamknęły się przed nimi i nikt nie mógł otworzyć z powrotem żelaznego zamka. Wściekł się ze złości chutornik młody i kazał popu powiesić własną żonę, a wszystkim młodym babom iść za sobą w świat... Wówczas najpierw krzyż na wieży cerkiewnej, a potem i cała cerkiew okryła się mgłą gęstą: nie mogli patrzeć święci ugodnicy na zwycięstwo wroga swojego.

Przy wielkim trakcie, co aż od morza Czarnego przez Kijów prowadził w mroźne kraje północne, stało wtedy wielkie miasto, Stanicą zwane. Dziś step szczery pokrywa to miejsce, a tylko lud wiosek okolicznych pamięta o grodzie, co wielkim był kiedyś i bogatym, i nazywa kawał stepu: Horodyszczce. Karawany kupieckie Greków, Ormian i Żydów zawsze stawały tam na odpoczynek; bogato kupiec płaci, więc miasto rosło i umacniało się przeciw zbójceckim napadom, a mieszkańcy – w połowie Lachy i Ormianie – byli spokojni, syci, szczęśliwi. Nie wiedzieli, że nie groźny był dla nich Tatar i zbój besarabski, ale groźny ten wróg, co jednego dnia wjechał przez bramę z dziewczyną i starym ojcem, na śmierć i zniszczenie Stanicy ich, bronionej tysiącem kusz dębowych i pięciu rzędami ogromnych ostrokołów. Nie chciał iść dalej Daniłło, tęsknota dziwna ciągnęła go więcej na wydnię Bożego Dębu niż w obce strony dalekie.

– Bat’ku – rzekł do Potapija – zrób tak, żebyśmy mieli dwór wielki i dużo niewolników. A Sońka moja żeby miała wszystko, o czym tylko pomyśli... Nie lubię ja ludzi, ale ona tęskni za nimi, niech więc co dzień goście będą u nas, niech bawią jej oczka lube...

– Brałeś ją kiedy? – ponuro zapytał Potapij. – Bo trzy miesiące zmieniły się od tego czasu, jak odbiliśmy ją Tatarom, a ona grubieje, matką będzie, tylko nie wiem czyją: Tatarczuka czy wnuka mojego.

Nie od razu zrozumiał rzecz Daniłło, tłumaczyć musiał mu długo stary czort. I tegoż dnia jakby mór pobił wszystkie małe dzieci, na które spojrzął wściekły opiekun Sońki. Ale jej samej nie tknął, zapytał tylko, czy chora, i kazał sługom sprowadzić wszystkich znachorów z miasta.

– Będzie dziecko – mówili wszyscy. – Za pół roku ojcaszkiem będziesz, mołojcze... Myśleli głupcy, że to mąż o młodą żonkę się troszczy.

Stało się, jak chciał Daniłło. Kupił Potapij wielki dwór, sprowadził z daleka drogą ławy rzeźbione, sukna na obicia ścian, ubrania pańskie, bogate. Gromada najętych sług czekała na rozkazy, w stajni były się ciężkie ogiery niemieckie, pokryte złotymi siatkami... Całe miasto cieszyło się z gościa swojego, co skarbami płacił niezmiernymi. A w niebie Zbawiciel odwrócił twarz swoją od ziemi... i płakał nad bliską niedolą ludzką.

Wielka karawana przyjechała raz – w biały zimowy wieczór – do miasta Stanicy. Przy kupieckich koniach szli, jak zawsze, pielgrzymi do Ziemi Świętej lub do cudownych pieczar pustelniczych w Kijowie; kupcy jechali właśnie nad morze Czarne. Może Bóg chciał przyspieszyć koniec zbrodni Daniłły, a może i bies bał się czekać dłużej, bo dziwny jakiś wyrok sprowadził do dworu Potapija pielgrzymów proszących o gościnę. Łakomi byli ludzie na dalekich gości, więc chętnie przyjął ich stary zbój, a chętniej jeszcze jego syn kłamany, bo pielgrzymi szli z północnych stron, z borów ciemnych, za którymi tęskniła dusza parobka. Dwoje było gości, młody chłop z jasną pańską twarzą i zgięta we dwoje staruszka, jadąca na koniu do miejsc świętych, aby złożyć tam kości swoje grzeszne, jak mówiła. Ale nie na chwałę Zbawiciela wędrowali oboje, inna myśl prowadziła ich w świat szeroki.

Zaprosił Potapij gości do stołu, nakarmił i napoił, pytając o zdarzenia nowe. Daniłło też pytał o Boży Dąb, a na pytanie to goście osłupieli ze zdziwienia, ale odpowiedzieli, że nic nie wiedzą, co na wydmie się dzieje. Sońka nie wyszła z świetlicy swojej, zwyczaj był taki wtedy, babom nie wolno było w choromach pokazywać się ludziom obcym. Staruszka chciała ją zobaczyć, gościniec dać za chleb – sól męża, którym nazwał się Daniłło. Wprowadzili pielgrzymy – babę do świetlicy i sługi Potapija zapalili drugą lampę oliwną dla uczczenia gościa i wyszli.

– Doniu – odezwała się starucha, przysuwając się do leżącej dziewczyny – czy chora jesteś, myleńka?

Światło lampek było mdłe i słabe, ale właśnie Sońka podniosła się na przywitanie i spojrzała w twarz staruchy.

– Skąd ty tutaj? – szepnęła, zbladłszy nagle. – Skąd ty tutaj, nianiu? Cicho, nieszczęście się stanie, jak Daniłło usłyszy nas... Mów, tylko szeptem, w ucho samo, niech głos do ściany nie dojdzie!

I poznały się obie prędko, opowiadać cichutko rozpoczęły o czasach rozłąki bolesnej. Więcej nawet, stara niania naszeptwała do ucha Sońki dziwną tajemnicę:

– Poznałam zbója starego, kiedy syn jego o wydnię nadśluczańską zapytał. To on, na pewno on, ojciec twój, gołąbko niewinna! Może oszczędzi córkę w jakiej chwili gniewu, dlatego mówię ci o tym... Szukałam tej nocy ziela, dziewanny wysokiej, co rośnie na polanach słonecznych, a zbiera się przy świetle błyskawic. Woda, sama na czółnie, przypłynęłam do Bożego Dębu, wtedy jeszcze siły nie opuściły rąk ni nóg moich. W chutorze palił się ogień, widać było przez szpary w ścianach światło. I krzyczały tam dwie baby, znanym mi krzykiem boleści przy wydawaniu z siebie dzieciątka. Chciałam

w wejść i pomóc, ale otworzyły się drzwi i wyszedł brodaty zbój, którego nieraz widziałam w boru, niósł on ciebie za maleńkie nóżki, jak zajączka. Zamachnął się tobą chciał uderzyć o drzewo i tylko grom jakiś litościwy przeszkodził mu, przestraszył. Na ziemię cisnął drobne twoje ciało i uciekł do chaty. Wzięłam cię wtedy i przywiozłam podarunek miły, pożądany, pani hoszczańskiej, co mężowskie dzieci chowała, nie swoje. Dziś ojciec twój jest wielkim panem bogatym, a ciebie, sierotę bezdomną Bóg chyba sprowadził do niego...

– Nie Bóg, nianiu – odszepnęła Sońka – a sam bies najgorszy. Nianiu, czy ty wiesz, że ja może matkę własną utopiłam z nakazu jego... brata, Daniłły? Dwie ich było, nie dał mi Zbawiciel odgadnąć, która matką jest moją...

Umilknęła strwożona niania, odsunęła się od Sońki i dopiero po zmówieniu modlitwy zaczęła szeptać dalej:

– Jedziemy szukać ciebie, doniu, z panem Koreckim, co miał wziąć cię za żonkę... Od tego czasu, jak porwali cię Tatarzy, spokoju nie ma on ni radości, aż namówił mnie, żebym z nim w strony tatarskie pojechała, odnaleźć ciebie, wykupić z rąk pogańskich. Mają mnie za mądrą wiedźmę, co wszędzie trafi. I trafiłam, Boża ręka kierowała moim koniem siwym... Widzę, co jest z tobą... Kto jest mężem twoim?

– Nie wiem – jęknęła Sońka. – Tatar jakiś bawił się mną po porwaniu w lesie. Zabił go Daniłło przez zemstę, bo kocha mnie na śmierć, a nie wie, że siostrę kocha... Ale on mnie nie pocałował nawet, patrzy tylko w oczy i lubuje się z daleka krasą moją... A ja go nienawidzę, krwawy on zbój niemiłosierny i oczy ma biesowskie, okropne... Nianiu, ja uciec chcę, za sługę niewolnicę pójdę do Korca, choć patrzeć tylko na niego... na kniazia...

Zasepiła się starucha, czoło zmarszczone potarła i odrzekła:

– Myślała ja, że może pan Świątopełk Korecki poprosi starego zbója o ciebie... Ale tak – nie można! Nie puści diabelski parobek, a jego zamorduje... Uciekać by nam, ale ty nie możesz, gołąbko... dziś, jutro dzieciątko wydasz na świat. Poczekać trzeba... Uspokój się tylko, nie daj nic poznać po sobie, ja już wszystko zrobię, żeby cię wyrwać z rąk zbójceckich, doniu ty moja luba, gołąbeczko niewinna, sieroto słaba! Nie na żonkę już ty dla kniazia Koreckiego. Są w lackich krajach monastery zamczyste, gdzie zamykają na wieki swój smutek lub rozpacz monachinie w ciężkich czarnych sukniach, za życia już umarłe, ciche, nie podnoszące nigdy oczów do słońka Bożego. Pośle cię tam Świątopełk, dobry druh twój, co chciałby ci słońce dać złote, radosne, a musi pochować żywą i młodą w czarnych ścianach monasteru... Lepiej ci tam będzie, Zbawiciela przebłagasz za winy swoje poniewolne a straszne, niebogo myśleńka...

Dobrze poznała się starucha, tejże nocy urodził się Sońce Tatarczuk – okropny, czarny – bies prosto, nie dziecko ludzkie.

Nie chciała Sońka i spojrzeć na syna swojego. Zabrał Daniłło pomiot diabelski i rzucił pod kopyta półdzikich ogierów w stajni, skąd razem z gnojem wyrzucili go na pole słudzy Potapija. Po kilku dniach odpoczynku karawana kupiecka ruszyła dalej,

pielgrzymi pożegnali się i poszli z nią w świat. A w nocy, co z burzą śnieżystą nadciągnęła po odejściu karawany, zniknęła z dworzyszczą chutorników młoda Sońka.

Wściekł się Daniłło. Pod żółtym jego spojrzeniem i pod toporem ostrym umarło kilku sług, reszta spłynęła krwią pod starym biczem Potapija, który też przestraszył się, żeby dziewczyna nie sprowadziła kata na jego zbójcką głowę. Na dobrych koniach, zabrawszy wszystkie skarby ze sobą, pognali zbóje za karawaną i doścignęli ją wkrótce. Ale kupiec to zawsze krewny czorta, nie skrzywdzi go wujek rogaty. Mieli Ormianie dużo najętych mołojców do obrony swojej, dużo łuków i pik pilnowało ich życia i majątku kupieckiego. Nie dopuścili pogoni do obozu, zlekli się wściekłych oczów Daniłły. Posłali tylko powiedzieć mu, że para pielgrzymów, o których się pytał, nie idzie już z karawaną, została w Stanicy. Więc powrócili chutornicy do dworu swojego, obiecując straszną zemstę każdemu, kto dopomógł do ucieczki Sońce.

I zaczął chodzić Daniłło w goście do wszystkich mieszkańców Stanicy, wypatrywał śladów, pytał ostrożnie, zaglądał do świetlic babskich i stodół. Nie znalazł nic, ale nie szczęście wchodziło z nim razem do bogatych domów pańskich i do dymnych chat chłopów. Wybierał młode dziewczyny i żonki i nie powiedziawszy im nawet słowa, spojrzeniem swoim diabelskim kazał iść do dworu swojego. A Potapij przez ten czas najmował mocnych i dzikich parobków, co stada na zimę przyganiałi do miasta, do wielkich obór miejskich, i kupował dla nich prażone w ogniu łuki tatarskie i topory ciężkie żelazne. Zappełniły się izby zbójckiego dworzyszczą rojem mołodyc i czamobrewych żonek, nocami hulał z nimi po tatarsku Daniłło, całując i bijąc biczem na przemiany ich białe ciała młode. Szalał zbój z tęsknoty i rozpacz. Aż zebrali się mieszczenie na schodkę wielką i uradzili śmierć obu gościom swoim. Bies pomógł jednak druhom. Kiedy wszyscy staniczanie spali w nocy, przygotowawszy na rano swoją zemstę, podpaliłi parobcy Potapija miasto od strony wiatru, co zerwał się wtedy na pomoc zbrodni. Paliły się przez trzy dni dwory wielkie i półziemne chaty, straszny wichur ratować nie pozwolił, a wśród szerokiego ognia uwijali się parobcy chutorników, mordując wszystko, co żyło. Nikt nie ocalał z niewinnych, uciekające gromady wystrzelał łuk, kładł na białą ziemię zimową topór nielitosny. I kiedy wiosną bujny step pokrył zgliszczą, a wrony i kruki siwodziobe wraz z wilkami ogryzły kości pomordowanych, dziwili się kupcy przejezdni i ludzie okoliczni, szukali daremnie Stanicy i roznosili po świecie wieść nieprawdopodobną, że miasto zapadło się w ziemię.

Poszedł Daniłło w bory ciemne z powrotem, ciągnąc za sobą tłum uzbrojonych parobków i młodych bab wybranych. Na wydnie Bożego Dębu zbudował przez jedno lato horodyszczce wielkie i mocne. Piechotę, po wilczych śladach, i na czółnach klonowych wysyłał wciąż szpiegów do osiedli i dworów pańskich, zwoływał czarownice z jarów i Bożych pustelników z wysp rzecznych, chcąc trafić na ślad Sońki. Dziwne i straszne było kochanie zbója. Teraz, rozigrawszy siły swoje młode z niewolnicami, już nie tylko chciał patrzeć w smutne i urocze oczy Sońki, ale zamęczyć ją całowaniem i rozkoszą nocną. I czym więcej chciał umniejszyć tęsknotę swoją w dzikim hulaniu z

niewolnicami, tym więcej rosła ona, tym boleśniej gnioła serce, w którym to tylko kochanie zostawił siwy starzec – orzeł, sługa straszego pana o pięciu twarzach.

Aż wróciła raz z wędrówki dalekiej wysłana przez Daniłłę czarownica, baba leśna, i naszeptła mu do ucha pożądaną wieść. W zamku koreckim, za wysoką ścianą dębową i rowem głębokim, pełnym wody, co rano wychodzi do ogrodu pomodlić się przed czyjąś mogiłą, czy krzyżem tylko kamiennym, młoda dziewczyna czamobrewa. Nikt nie może rozmawiać z nią, groźny pan Światopełk napal wbija każdego, kto spojrzy na modlącą się w ogrodzie, pod cieniem olbrzymich lip i dębów rosochatych. Nie żonka ona panu, ni córka, ni siostra, Sońką nazywa ją kniaź Korecki, słyszała to chłopka niewolnicą na usługi dziewczynie oddana.

Niedługo po tym na wielką wyprawę wyruszył Daniłło. Sam jeden tylko, dwóch parobków zabrawszy ze sobą a Potapij pozostał na wydmie w rozpacz, nie mogąc wstrzymać ani namówić kłamanego syna aby ochronę liczną wziął na drogę. Stary zbój kochał Daniłłę, nie ma widać ludzkiego serca, w którym nie byłoby choć pylinki kochania, jeżeli nie wmiesza się do tego serca jakaś moc nieziemską może biesowską może inna. Hospody, pomiluj nas grzesznych, nie daj w ręce wrogów swoich, którzy nie są czortami, a mocni są nieznani, nie bojący się cerkwi ni krzyża twojego, Zbawicielu! Po pańsku, bogato ubrał się Daniłło, na karym koniu pokrytym złotą siatką pojechał w gościnę do Korca. Straszną moc czuł w sobie i wiedział, że nie trzeba mu łuku ni topora, żeby zemścić się na Sońce i na kniaziu Koreckim.

Szeroko otworzyły się przed gościem wrota zamku nad Słuczą. „Kniaź prosi szlachetnego rycerza pokornie do izb swoich niegodnych!” zawołał bogato ubrany sługa na widok Daniłły, błyszczącego od złota i kamieni drogich, zamorskich. Wjechał chutornik, konia oddał sługom i wszedł do choromów. W sieni spotkał pana Światopełka, który wyszedł go witać.

– Przyjechał ja – odezwał się Daniłło – sąsiada odwiedzić, o zdrowie – szczęście zapytać. I zapytać jeszcze o donię jedną żonkę moją co ukradli mi złodzieje podli w dalekim mieście stepowym. U was, pan kniaź, chowa się ona; odbiliście pewnie ją zbójom na jakim leśnym gościńcu, a może i wykupiła nieszczęsną łaska wielka wasza...

Poznał chutornika kniaź Korecki, chciał go uderzyć szablą ostrą i zwołać wierne sługi, ale zeszywniały mu ręce i język skamieniał pod mocą złotego blasku oczów Daniłły. Poszedł jakby we śnie za strasznym gościem swoim do izby, gdzie na ucztę zbierali się co dzień domownicy jego, do wielkiej komnaty z rzeźbionymi ławami, całej jak namiot, pod suknem czerwonym w złote gwiazdy. Usiadł Daniłło na najwyższym miejscu i rozkazuje:

– Zawołajcie, gospodarzu miły, sługi i niewolniki wasze. Niech postawią na stół dzbany wina greckiego i kubki szczerozłote. Wypijemy za zdrowie znalezionej żonki mojej i za wasze kniaziowskie. I misę z wodą każcie przynieść, umyjecie mi nogi kniaziowską ręką białą.

Spełniał rozkazy gościa pan Światopełk. A oczy Daniłły coraz goręcej rozżarzały

się żółtością i cała komnata w końcu napełniła się tym gryzącym światłem, jakby zamiast powietrza pył złoty wdzierał się przez otwarte okna. Słudzy wchodzili i wychodzili zgięci we dwoje ze strachu, nie mogąc spojrzeć na twarz chutornika. Postawił wreszcie przed gościem srebrną misę kniaź Korecki, ściągnął mu buty i myć chciał, ale Daniłło kopnięciem nogi przewrócił naczynie z wodą i rzekł:

– Nie wodą umyjecie mi nogi, potężny kniaziu... Gładko ścieka woda, a nogi moje strudzone i brudne. Jadowitej trzeba im kąpieli. Wasz język kniaziowski jadu jest pełen, dobrym słowem pożegnał mnie we dworze moim staniczańskim, a chytrą zdradę ukrył głęboko, dziękując za szczerą gościnę. Przebaczenie, kniaziu, że wyrwę wam język wasz żmijowski i krwią, co z niego spłynie, każę wam umyć moje nogi. Słyszał ja, że wasza wiara za grzech liczy słodkie tajemne rozmowy z cudzymi żonkami. Ot, potem grzechu unikniecie, nigdy już z Sońką nie będziecie gwarzyć o nocnym całowaniu ani o biednym chutorniku z wydmy dalekiej...

Po strasznym tym obrzędzie – nie będę wam mówić nawet o nim – kazał Daniłło gospodarzowi znosić wszystko, co ma najdroższe w domu, i rzucać do ogromnego komina w kącie izby, gdzie przez rok cały palił się zawsze ogień. Znosił pan Korecki bogate ubrania ze złotymi zapinkami, jaszczyki pełne pereł i pierścieni cudnej niemieckiej roboty, szable złociste, pamiątki drogie po dziadach, kubki z białej gliny wyrabiane całymi latami w Korcu przez niewolników z nadśluczańskiej ziemi siwej... Rzucili słudzy do komina stos smolnych pni sosnowych, a kiedy rozpałił się wielki ogień, układał na nim kniaź swoje skarby jakby na przechowanie troskliwe i gorzko, gorzko płakał.

– Kniaziu – zawołał Daniłło, kiedy już w kominie zostały tylko głownie czerwone – masz jeszcze jeden skarb bezcenny, żywy. Przynieś mi go, niech oczy moje ucieszą się, a usta nacałują... I każ przyjść tej wiedźmie starej, co wtedy z tobą gościem moim była.

Dawno już stała pod drzwiami staruchą niania Sońki, i czekała na wezwanie. Nie bała się lutej śmierci, myślała, biedna, że wyjawieniem tajemnicy swojej ocali kniazia i donię miłą... Sama weszła do komnaty i pokłoniła się nisko gościowi.

– Nie trzeba mnie ciągnąć za włosy przed siebie, Daniłło – rzekła. – Idę sama, po śmierć li, po życie, jedno mi. Wiek mój długi i tak się skończy wkrótce. A chcę ci powiedzieć wieść prawdziwą i srogą: Sońka to siostra twoja rodzona! Jakże brać ją będziesz? Nie jest twoim Bogiem Chrystus Zbawiciel, ale i Żyd, i Tatar boi się ręki Bożej za grzech taki niesłychany. Zostaw ją tutaj, Daniłło! Święty pustelnik zwiahelski obiecał jej przebaczenie Boże za straszne, poniewolne grzechy, a jak się to stanie, pan Światopełk na stolcu kniaziowskim chce ją posadzić koło siebie, siostrę swoją... Nigdy żonką nie była ona nikomu, a Tatara przekłętą Bóg jej wybaczy, niewinnej. Oczyści ją pokuta i modły pustelnika uproszą Ojca niebieskiego o powrót niewinności dziewiczej.

Daniłło słuchał uważnie, ale obcą mu była myśl, że siostra żonką być nie może. Nie zrozumiał, co to jest siostra. Więc wcale nie przestraszył się wieści dziwnej i śmie-

chem przerwał słowa staruchy.

– Ej, wiedźmo – zasyczał – o Bogu swoim mi mówisz, co rozkazuje ludziom na świecie. Widział ja go nie raz. Niestraszny, na czarnym krzyżu przybity, w ziemię patrzy smutno na rozstajach dróg za borami. I w cerkwi byłem, ikona złocista tam błyszczący się, a na niej ojciec twojego Boga, z siwą brodą, starzec dobry i cichy... Dureń będzie się bać takich bogów. Jest inny, prawdziwy, straszny. Dał mi się zobaczyć raz pod Bożym Dębem. Pięć twarzy ma on, w ręku posoch z kwitnącej lipy, a dokoła niego wiją się złote i czerwone węże. Kłaniają mu się kwiaty, dęby szumią radośnie, gdy przychodzi, woda twardnieje pod jego stopami, na śladach wyrastają dziewanny, żółtymi gwiazdami ubrane. Nie pop długowłosa mu służy, ale zmija mądra i siwy orzeł stepowy... Gniewny on na ludzi, żertw chce ciągłych, krwawych! Ten Bóg nie pogńiewa się na mnie, że poigram z siostrą swoją, a z ciebie skórę zwłóczyć każe i z pana twojego pochodnię zrobię ognistą.

Ogromna łuna oświecała powrotną drogę Daniły. Paliło się dworzyszczce koreckie, a kniaź szedł przed koniem chutornika, niosąc na rękach Sońkę i jęcząc głucho pod uderzeniami bicia. Z tyłu szła gromada dworzan i sług kniaziowskich, spętanych biesowską mocą oczów zbója mściwego.

Uradował się Potapij powrotem synka, ale i jego sumienie podłe ruszyło się na wieść, że Sońka jest mu córką.

– Rzuć ją – radził Danille. – Nie boję się ja sądu popiego, ale wiem z dawna, że potwory rodzą się od takich żonek. A tobie potrzeba zdrowych parobków, synków wiernych... każdy sługa obcy zdradzi ciebie, kiedy zobaczy niemoc twoją w starości. Czort ocalił dziewczynę wtedy, niechże na sławę mu chowa się u nas. A ty baw się z innymi... nagonieś stado całe swarliwe, ledwie kijem sękatym uciszyć można...

Nie słuchał Daniłło dobrej rady. W świetlicy jasnej kazał przybić kniazia za ręce i nogi do ściany i na oczach jego tulił bezwstydnie Sońkę, męczył i bił, aż skonowała bez jęku, jak ptak w kocich pazurach. Kazał chutornik wyłożyć kamieniami dół głęboki i ułożyć na dnie ciało zabitej, a sam odbił pana Koreckiego od ściany i wrzucił do tego dołu, na trupa swojej siostry. Żywy był kniaź, więc dla większej męki dano mu wór chleba i zawalono okropną mogiłę wielkim kamieniem.

Wszystkich domowników koreckich wbito na pal, wszystkie baby i dziewczęta Daniły poszły pod nóż na ofiarnym kamieniu przy Bożym Dębie. Przyglądał się straszny parobek swojemu dziełu w odświętnej swojej czapie z pękiem orlich piór siwych i spokojną, jasną żółtością paliły się jego oczy na okrutną groźbę dla ludzkiego świata...

Nie minęło i sto lat po ostatniej zbrodni Daniły, a już ciemny bór pokrył miejsce, gdzie na wydnie Bożego Dębu stały choremy bogate. Niedźwiedź zimował wśród gnijących belek dębowych, wilczyca igrała z wilczętami w pół rozwalonych komnatach. Każdy człowiek mijał z dala przekłete ruiny... i po wielu latach rozsypały się w proch bez śladu, bez wieści nawet, że tam mieszkał człowiek. Aż kiedyś, dawno, przyszli tu nowi osadnicy, wieś zbudowali piękną, bogatą. I dobrze by żyło się tu ludziom: ziemia

bujna, rodząca, las gęsty, woda czysta w rzece Słuczy, cerkiew Boża blisko. Ale oto zbudził moc straszną, uśpioną od wielu sotni lat, Ihnatij nieszczęsny... Nieszczęściem ludzkim oddycha ta ziemia, skrwawiona żertwami! Otworzyły się na nowo zielone oczy widma – Daniły i horę temu, na kogo spojrzą żółtym blaskiem złości. Zapatrzyła się w nie Pełagija, patrzy i dziś w zieloność ich przepastną młoda Ksenia sierota... I żadna modlitwa, żaden pop z ikoną świętą nie pomoże: nie chce Zbawiciel spojrzeć na dawną wydmę Bożego Dębu, a może – zmiłuj się, Ojczy nasz niebieski! – może mocniejszy jest w tym miejscu tamten o pięciu twarzach, nieznan, we snach tylko zjawiający się, druh kwiatów i zwierza dzikiego, a groźny wróg człowieka. Z nami siła krzyża! Stare moje serce drży z trwogi przez tamtym nienazwanym – a przecież chciałbym przed śmiercią zobaczyć go – zbawienia wiecznego tylko nie stracić. Może i ja, głupiec stary, służę poniewolnie nie Hospodu Bohu, ratując od zdeptania liszki na drogach i karmiąc lutą zimą sarenki i zające, które pop, sługa Boży, strzela w tajemnicy przed strażnikami? Może szczygły, zimujące w izbie mojej, nie Zbawicielowi na chwałę czirikają radośnie o wschodzie słońca?

Oświeć mnie, Hospody, rozumem prawdziwym, serce moje uspokój, bo chłodnieje krew moja starcza i jak stuletni kruk szukam już ziemi ukrytej, gdzie na sen wieczny ułożyć się mi trzeba. Ból każdy znieść mogę, ale niepokój targa mną, jak wichur zimowy bezlistną koroną samotnego dębu, i nieznośny ciężar kładzie na duszę moją... Sięga widać i do mnie przekleństwo, co mgłą niewidzialną pokrywa ziemię Ihnatij a pokojnika, spój rżały i na mnie uroczne oczy widma – Daniły, żreca czyjegoś strasznego. Raduje się czart w podziemiach swoich ognistych, czy też smuci się nad nieswój a ofiarą?

Rozigrały się myśli moje, wzburzyły, jak Horyń w czasie zalewów wiosennych, od starego wspomnienia jednego. Ale przyjdzie po nocy dzisiejszej słoneczny dzień jasny i znów spokojnie spojrzę na świat i na ludzi – stary ja, znam własne serce, jak pop nasz żonę starosty Aleksieja – wiem, kiedy i co zapłacze, kiedy uraduje się spokojem cichym i kiedy tumanem tęsknoty zasłoni się przed ludzką ciekawością głupią. Ustąpi niepokój. Bóg mi dał na życie moje długie równo smutku i radości, a nie opłaci się diabłu utrudzać dla schwywania starca w łapy swoje pazurzaste... Ale wy, młodzi, pilnujcie się, nie wiercie uczonym z miasta, co książki mądre czytać wam dają, bo od nieszczęścia nikt przez mądrość nie uciekł, a dziwne ono jest – jakby śmiało się z ludzi – przychodzi zawsze nie oczekiwane, nie wyrachowane przez żadną mądrość ludzką i wali twardym kułakiem w drzwi chaty... Nie pisały żadne książki o Bożym Dębie, a wielu i z was pomyśli: „Bresze, chrzan stary!” Ot wam i brechnia: są przecież turmy i strażniki i prawo twarde, pisane, a gdzie zbrodniarz, co zabił Ihnatija, udusił Pełagiję, spalił kiedyś ich pierwszą chatę? Za kim Pełagija biegła z oczami zamkniętymi po polach i lasach, w kogo wpatruje się Ksenia przez cały dzień w oknie chaty od strony lasu? Ech, wy, niedowiarki! Są miejsca i rzeczy przeklęte, co trwają wiecznie, lat tysiąc przejdzie, a one jednako nieszczęście sprowadzać będą na ludzi, nawet na ich zwierzęta. A nad tymi przeklętymi miejscami wisi w powietrzu niewidzialna zbrodnia i krwawy

grzech. Jak ostre promienie słoneczne zbiegają się o wschodzie słońca do swojej ognistej, czerwonej kuli, tak wszelki grzech i zbrodnia zbiegły się do oczów Daniły chutornika. I rozświecają się czasem teraz, zbudzone życiem na mogile swojej zapomnianej. Rozświecają się czerwienią grzesznego kochania nad lasem, szarzejącym niebiesko o zmroku, i czekana ich gorącą, lubą czerwień Ksenia przy otwartym okienku. Ocal ją, Hospody Boże, a nas grzesznych ukryj przed oczami straszego gościa, krwawego źreca Daniły!

Zdradliwe żonki

Ogromnie dużo niepojętych rzeczy jest na świecie, a jak przypatrzysz się samemu sobie, na pewno zobaczysz, że nawet w twojej głowie własnej ktoś inny gospodaruje, nie ty sam, jak by należało. Dlatego tyle zła robią ludzie na świecie, zła i dla innych, i dla siebie, bo poddają się tej nieznannej sile, co kieruje naszymi czynami. Mówię: nieznannej sile, a to dlatego, że mało kiedy słaby nasz rozum może poznać, diabelska to siła, czy Boska, czy wprost ani ta, ani owa – ot, jak powiadają – kraknął dureń, a mądry zagania kurczęta do izby, myśląc, że to chytra wrona piechotą podchodzi do rodziny kokoszej. Wam, młodym, nie w głowie takie sprawy, każdemu się zdaje, że jak co pomysli albo zrobi, to z własnej woli i ochoty. A tylko jeden Bóg ma wolę, a my jesteśmy w sprawach życia naszego jak ta biała mgła wieczorna, którą zmienny wiatr letni toczy po polach i łąkach. Przygonił ją na suche ścierniska, i oto kurczy się ona, rzednie, rozplywa... Kiedy uderzy o ścianę wysokiego lasu, czyni się siną i gęstą, jak prawdziwa chmura albo wał wodny. Nad zaroślami leszczyny i młodych sosenek przybiera dziwne postacie, ludzkie i zwierzęce, kłębi się i tańczy, aż strach może przejąć każdego, kto nie zna obyczajów wieczornej mgły. A kiedy stanie nad szerokimi moczarami, na brzegach wielkiej rzeki, wtedy napatrzeć się nie można jej życiu tajemniczemu. Tam zgęści się i wyciąga do góry słupem szerokim, sinym, tam znów wygina się jak hołobla i dnem dotyka do oczeretów i czarnej wody płynącej, gdzie indziej zasłania wąziutkimi pasmami, jakby siatką niebieską, wybujałe szczytki trzciniowego kwiatu... Tak się dzieje i z nami: dokąd zanieś nas przypadek nieznan, jak wiatr zanoszą mgłę, tam i robimy to, co musi się robić, czasem z ochotą, a najczęściej bez ochoty i woli własnej. Ba, z nami nawet gorzej niż z tumanem białym. Wystarczy dla nas nie tylko wiatr, ale proste jedno słowo, jedno mrugnięcie oka, a czasem i nie dopatrzysz się nawet przyczyny swojego postępu, za mała...

Tak i ze mną się dzieje. Ot i dziś na przykład, kiedyście jedno po drugim włązili do izby i poszeptywali między sobą, nie namyślałem się wcale, o czym opowiadać wam będę. Mróz na dworze, księżyc jasny wschodzi nad Storożysko, ogień w piecu chlebowym trzaska i szumi... Wesoło byłoby w starej chacie mojej, gdyby zapalić ze dwie lampy naftowe i postawić na stół pół sztofa wódki, a gdyby jeszcze zawołać Wańkę dudziarza, albo popadiankę z gitarą, już by wesołość weszła aż do pięt i musielibyście dobrze walić nimi o podłogę aż do rana, żeby pozbyć się swędzenia. Ale nieduże jest światło od ognia w piecu i przy tym migotliwe, żyjące, tajemnicze, więc lepiej przy

nim szeptać niż krzyżeć, i siedzieć w zadumie lepiej niż kręcić się od stołu do ławy i z powrotem. Lubo przy takim świetle siedzieć obok dziewczyny i nic nie mówić – wtedy w marzeniu cudnym dusza zasypia i smutno ci i wesoło, tęskno i radośnie – już nie patrzysz na ten ogień i na świat cały jak gość, co przyszedł do obcej wsi i nie wie, jak go tam przyjmą, i dziwi się nowym twarzom i rzeczom; ale czujesz się tak, jakbyś był już tutaj od niepamiętnych czasów, kiedy las rósł w tym miejscu, gdzie płynie dzisiaj Horyń, i pamięć o troskach ginie w twoim sercu, jak ziarnko piasku w rzece, a szczęście wydaje się bez początku i bez końca, jak głębina niebios w mroźny, pogodny wieczór zimowy. Ale nie do dziewczyny mnie staremu szeptać a tulić się, tylko do myśli swojej, do dum swoich starych, serdecznych. Więc mówię do was, ale więcej do siebie: słuchajcie, komu wola.

Dziś o zachodzie słońca słyszałem, jak śpiewaliście o niewiernej żonce. Wesoły był wasz śpiew, bo dziewczęta lubią wspominać oszukaństwo babskie, a każdy parobek myśli, że jego nigdy baba nie oszuka, durnia nadętego. Stara to i ładna piosenka:

*I szumi, i hude,
dribnyj doszczyk ide...
A chto ż mene mołoduju
do domoczku otwide?*

*Napowałsia Kozak
na sołodkom medu:
Hulaj, hulaj, czornobrewa,
ja do domu otwidu!*

*Ne wędy ż ty mene,
oj, proszu ż ja tebe,
bo ja złocho muza maju,
bude bity mene!*

*Na bok, chłopci, na bok,
bo czort muza nese!
Jak zobaczy mene z wami,
trastia johu zatrase!*

Widzicie, pamiętam tę piosnkę, sam ją nie raz śpiewałem za młodych lat moich. Głos mi tylko zachrypiał od wiatrów północnych, a może i od starości, albo od wódki: dużo w życiu wypilem przekłetej.

Dlatego wcale nie trudno mi było znaleźć opowiadanie na wieczór dzisiejszy. Od razu przypomniało mi się niedawne zdarzenie z Wasylem... ale nie powiem gdzie, bo

języki babskie zadziorne są jak oście na ryby, kiedy zaczepią o co: i wołami nie wyciągniesz, a roznosić będą po białym świecie, jak sojki roznoszą skorupki swoich jaj z dala od gniazda, żeby nie odszukał piskląt kot wędrowny.

A nazwę tę wioskę Hapunów, bo tam mieszka dużo złodziei, wiecie dlaczego? Oto za czasów ruskich tamte okolice wyznaczono na pobyt różnym złodziejaszkom, co odsiedzieli karę w turmie. Wiadomo, złodziej sztuka sprytna, miejska, a wszyscy prawie młodzi jeszcze, bo co starszy, to już w kandałach woził taczki w katordze, albo karczował lasy sybirskie na osiedlu. Toteż chłopci nie mogli doliczyć się swoich dzieci, a każde bywało, jak to mówią, niepodobne ani do matki, ani do ojca, ale do przechodzącego mołojca. I chłopcy z góry brali spadek po tych wędrownych ojciech swoich: co drugi już od szóstego roku życia kradnie lepiej niż obaj pisarze komisarscy. Mocna dusza złodziej ska, ani kij em, ani modlitwą nie poprawisz, a trzyma się do dziesiątego pokolenia. Dziewczęta znów nie kradły, ale za to lubiły nad miarę oszukiwać każdego, kto zbliżał się do nich. Ale żonka Wasyla była nie tamtejsza, z naszych okolic, a mogła tylko łatwiej czynić to, co u nas trudniej się daje, bo miała dużo pomocnic miejscowych. Jak zawsze, jednej babie nie poradzi mniej jak pięć diabłów, ale dwom babom w spółce... to i sam Stworzyciel nie dałby rady bez podrapania się w swoją świętą, najmądrzejszą głowę!

Mocno i tkliwie kochał Wasyl swoją żonkę młodą, Naścię, a i sam był młody, ognisty, po najcięższej nocy nie siniało mu pod oczami.

I on nie był rodem z Hapunowa, przyszedł już po wojnie w nasze strony, z daleka, z ogromnych lasów, co rosną na niedostępnych moczarach nad rzeką Stochodem. W czasie wojny Niemcy i Awstryjcy wygnali z jego wioski i z całej okolicy wszystkich chłopów, baby i dzieci do swoich dalekich krajów, żeby – mówili – uchronić się od szpiegów ruskich. Ale Wasyl ukrył się w lasach z rodziną kuma swojego, Antona i przeczekał parę lat. Umarliby tam z głodu na małej wydmie niedostępnej, gdyby nie żonka i siostry Antona, które wychodziły tajemnie do wiosek okolicznych, gdzie mieszkało wojsko i tam dostawały chleb i mięso, nawet wódkę i papierosy. Niby to za pranie bielezny, ale po prawdzie to one prały tylko swoje koszule i pończochy, też darowane, żeby – jak mówiły – ichnim oficerom nie pokazywać się w brudzie, naród niemiecki – mówiły – nie lubi brudnych praczek. Wzdychał ciężko Anton, groźnie poszeptywał ze swoim ojcem, ale cóż było robić? Jeść trzeba, a gdyby który chłop wysunął nos z lasu, zaraz powiesiliby go. Stały wtedy w Kowlu trzy szubienice, pod samą stacją żelaznej drogi, a na każdej co dzień po kilku chłopów, nawet bab wisiało. Gubili bez liczby poganie naród nasz niewinny, prawosławny! Wygodę mieli w Leszniewce i Czerewasze, i Maniewiczach oficerzy i żołdacy: przychodzi wieczorem młoda baba i prosi o chleb. Z miłosierdzia dawali, podlecy, ale wypuszczali z domu przed świtem dopiero...

Nie ukryło się to na zawsze! Kiedy już naród popowracał do swoich chat z wygnania, wrócił i Anton do Jabłonki. Ale złość ludzka nie dawała mu żyć w rodzinnej wiosce. Nikt nie nazywał inaczej jego żonki i młodych sióstr, jak tylko „frau”, to znaczy po

niemiecku niemiecka „żona”. A że Wasyl też nie miał do czego wracać, bo spalili mu chatę i stodołę, więc umyślili obaj przenieść się w świat. W Hapunowie kupili sobie domki i ziemię, dużo zapłacili samym złotem i srebrem. Bóg jeden wie, skąd wzięli takie bogactwo. Już jedna siostra Antona wyszła za męża, a do drugiej zachodzi sam żandarm, ale katolik, nie wiadomo, jak tam będzie dalej.

Znam ja dobrze i Wasyla, i Antona, znałem ich dziadów i ojców, królestwo im niebieskie, bo wozilem przez rok żydowskie drzewo z lasów pod Małą Jabłonką do Czaratorska. Wiecie, że z ochoty własnej wziąłem za młodych lat trójkę dobrych koni i mocny wóz i pojechałem zobaczyć świat daleki. Najmowałem się do przewożenia drzewa, smoły, węgla i tak przez dziesięć lat przejechałem ziemię ruską i nawet polską, od Kiszyniowa do Chełma, gdzie jest cudowny obraz i klasztor, i od miasta Mińska aż pod sam Kijów. Och, dużo widziałem i słyszałem, ale najbardziej podobały mi się ogromne, nieskończone lasy nad wielką rzeką Styrem. Tylko przy dobrym mrozie albo suchym latem przejechać można tamtędy. Gdy zabłądzisz, a chwyci cię w borze deszcz albo lepki śnieg, przepadłeś na wieki! Wsie ogromne, ale jedna od drugiej daleko, daleko! Cmentarze na wydmach urządzają, czasem o milę od wsi. Naród mocny, nie biedny, krów i koni bez liku, wiadomo, łąki mają niezmierne, pszczoły chowają po lasach, smołę i dziegieć pędzą, węgle palą... Innym razem opowiem wam o ich życiu, ciekawe ono, inne niż nasze.

W Małej Jabłonce, co jak mrowisko leży w gęstym lesie, przesiedziałem raz blisko pół roku. Jesień była słotna, a po niej przyszła zima ciepła i śnieżysta: ani kołami, ani saniami nie przejedziesz! Więc musiałem czekać na mróz i mieszkałem u dziadka Wasylowego, bogaty i mądry był stary. Tam właśnie poznałem i Wasyla, miał wtedy chyba piętnaście lat, a przynosił już półroczne źrebię na plecach. Opowiadałem wszystkim o bujnej, bogatej naszej ziemi i może wspomnienia moich opowiadań stały się przyczyną, że po wojnie przyjechał Wasyl z Antonem w nasze strony. Obaj pamiętają mnie dobrze, przychodzą radzić się w ciężkich chwilach: i stąd wiem o biedzie, jaka ich obu spotkała niedawno.

Pojechał Wasyl do Jabłonki, żeby pogodzić się z sąsiadem dawnym, któremu sprzedał tam swoją ziemię. Droga daleka, niebezpieczna z przyczyny strażników, co wciąż zatrzymują w drodze, ale mimo to uparła się Naścia jechać z mężem.

– Zobaczę – mówi – twój kraj i miasta po drodze, kupię sobie, co mi potrzeba, a tu, w domu, uschnę z tęsknoty bez ciebie!

Taka to chytrość babska, mierzy w okno, a chce trafić w piec. Uwierzył dumy Wasyl w słowa żonki miłej, wziął na wóz skrzynię z żywnością i świątecznym ubraniem babskim i wyjechał zaraz po Janie Kupale w drogę daleką. Po drodze wstąpił do mnie i prosi:

– Jedźcie ze mną, Kostia, odwiedzić by wam trzeba dobrych znajomych, zobaczyć, czy żyją jeszcze. Lubicie – mówi – po świecie się włóczyć, ot, nadarzyła się okazja dobra, i pomożecie mi pogodzić się z tym rozbójnikiem Mitrofanem, co nie odsyła mi

pieniędzy za łąkę sprzedaną. Inaczej oszuka mnie, dusza cygańska.

Wiedziałem dobrze, że Wasyl mocny w pięści, ale słaby we łbie i dziecko oszuka go, cóż dopiero stary dusigrosz Mitrofan, co w spółce z Żydami wybudował nawet wiatrak w Podchaciu. Więc pojechałem. Lato było piękne, suche, a mnie nikt przecież nie zatrzymuje w chacie, sam jestem jak szary dzik, co już niepotrzebny dla stada, ani mu stado niepotrzebne. Koty moje i psy karmić może i stara Parasia, a ptakom Bożym, samom i zającom potrzebny jestem tylko w zimie, kiedy mróz zamienia ziemię w kamień, a śnieg przykryje wysoko uschłe trawy.

Przyjechaliśmy do Mitrofana, do drewnianego dużego domu, pokrytego zieloną blachą, jak to bywa u bogatych ludzi. Mieszkał Mitrofan już nie w Jabłonce, ale w Leszniewce, wielkiej wsi przy trakcie do Maniewicz i do Czartoryska. Rad był stary z mojego przyjazdu, bo w tamtych stronach mają mnie za uzdrowiacza zwierząt, nawet i ludzi; przez pół roku, kiedy tam mieszkałem, pomagałem im naprawdę leczyć chore zwierzęta. Za to złym okiem spoglądał na Wasyla, ale roztajał stary rozpusznik, kiedy Naścia pogłaskała go po ramieniu i pisnęła cieniutko:

– Ach, darujcie, że jak Tatarzy najechaliśmy na dom wasz! Przyjmijcie podróżnych na nocleg, nie zamącimy wam wody, dobry gospodarzu, dajcie kącik, choćby w stodole...

Umiała gadzina ostrojęzyczna przemówić, ale więcej umiała przymilić się, otrzeć niby niechcący o chłopca, ukłuć oczyma: i sami święty Matwij nie wytrzymałby! Dałże Bóg rodzajowi babskiemu siłę taką, jakby komu dobremu! Patrząc na nią: cud chyba, serce ci mięknie, jak kartofel upieczony, zdaje ci się, że to coś jak nie człowiek, jakby święty anioł, przed którym choć na kolana padaj, to znów jakby przysmak jakiś nadziemski, a w nim samo najwyższe szczęście twoje siedzi i rozkosz tajemnicza, niezmierna. A w rzeczy samej: baba! Napycha brzuch kapuśniakiem, jak i ty, w nocy chrapie przez nos, wódkę pije i jak upije się, to śpiewa nieprzyzwoite piosenki. Tylko że włosy ma długie, głowę bez wąsów i ciało według tej potrzeby, na co ją Bóg stworzył z żebra Adamowego. Wszystkie baby są przecież jednakie, a nam durniom wydaje się, że ta właśnie, co otrze się o nas, choćby plecami, a przypatrzy się jakimś wyuczonym babskim sposobem, jest jedyna na świecie, najmilsza. Prawda, że prędzej czy później wraca człowiekowi rozum, zwłaszcza kiedy poznasz tę babę jak należy. Ale z początku przysiągłbyś, że ona jest inna, i ani spojrzysz na drugą, póki ci we łbie nie rozjaśni się, po jednej nocy, czy po latach całych, a znałem nawet takich, co na starość dopiero przychodzą do rozumu...

Dał Mitrofan osobną izbę Wasylowi z żoną, a mnie kazał posłać w swoim pokoju, wielkim i zastawionym drogimi szafami dębowymi. W kącie izby stał jakby cały ołtarz złocisty. Lampa paliła się tam dniem i nocą, a światło odbijało się pięknie w złotych szatach Zbawiciela i świętych Pańskich i mieniło się różnymi kolorami w barwnych szkiełkach koron. Łóżko miał Mitrofan niemieckie, szerokie, i trzech chłopów wygodnie by spać mogło. Pytam go więc, na co mu taka stodoła z przodem pod sam sufit, a on

na to:

– Nie żonaty jesteś, to i nie wiesz. Moja baba ma pięćdziesiąt pięć lat, a wciąż skarży się, że już za mojego życia jest wdową. Z taką lepiej z daleka, zwłaszcza w nocy. Jak przypomni sobie dawne czasy... przepadł twój miły spokój i dobry sen. Rad bym ja i w stodole spać; nie puszcza chytróść babska! Na wszelki wypadek – mówi – miej przy sobie własny kozuch, lepiej – mówi – niżbyś miał grzeć się cudzą baranicą...

Dwa dni targowaliśmy się z Mitrofanem, mierzyliśmy łąkę i pole orne w Jabłonce, aż dopiero trzeciego dnia stary zgodził się na wszystko, czego chciał Wasyl, a po prawdzie to słuszość nie była po jego stronie. Zdziwiłem się trochę, ale dopiero jak zobaczyłem złość żonki Mitrofana i złoty pierścionek u Naści, którym cieszyła się w ukryciu, zrozumiałem wszystko. Nie jestem ja popem, sędzią grzechów ludzkich, a Wasyl ani mi brat, ani swat, więc nawet śmiałem się po cichu, tylko ciekawiło mnie, gdzie i kiedy porozumiał się stary chrzan z żonką Wasyla? A Wasyl, rad ze sprawy, ściska żonkę, całuje i mówi:

– Pojadę ja na jeden albo dwa dni do Wielkiej Jabłonki, odwiedzę krewnych i przyjaciół dawnych. Jedź, Naściu, ze mną, a może i wy, Kostia, wybierzecie się też z nami?

– Nie mogę jechać – odpowiada Naścia – głowa mnie boli... Ale ty jedź, miły, i zabierz Kostię, on też ma tam przyjaciół dobrych.

Ech, myślę sobie, nie wyprawisz ty mnie stąd! Niemiły mi twój grzech, ale wesoło jest patrzeć, jak baba oszukuje głupców, a najweselej, jak dokucza drugiej babie, takiemu samemu podlecowi. Więc powiedziałem, że bolą mnie stare kości, zostałem dla odpoczynku niby. A Wasyl zaraz z rana pojechał.

Po południu poszliśmy z Mitrofanem do węglarza Aleksieja, który od dawna już nie palił węgla, ale za to robił spirytus i słodką wódkę lepiej niż Żydzi w Korcu. Choć droga nie była bardzo bliska, pięć dobrych wiorst, nie pojechaliśmy wozem, bo do domu węglarza nie można dojechać, a i piechotą dojść może tylko swój człowiek. Nie może być inaczej, bo rzemiosło zakazane, a strażnicy wszędzie zachodzą i ciągną nosem, chcą zwąchać samogonkę bez podatku. Jest tam w lesie mała wydma, a dokoła niej moczary bezdenne, usiane kępami, na których rosną niewysokie sosny, jedna lub dwie na każdej kępie. Ledwie jest gdzie nogę postawić przy pniu drzewa, a strasznie tam, szaro iw dzień słoneczny, idziesz, skaczesz nad topielami... i wciąż dookoła ciebie gęsta ściana równych pni sosnowych, na dwadzieścia kroków już zasłania ci drogę. I nie możesz iść prosto, ale musisz zakręcać ciągle, jak wypadną kępy dobre do postawienia nogi. To znów zobaczysz nagle, że ani naprzód, ani w tył nie można się ruszyć, a pod nogami wszędzie niby spokojne dołki, zarośnięte jakąś wpół zgnitą trawą. Kto osunie się w taki dołek, już mu nikt na świecie nie pomoże! Uchwyci lepka zgnilizna mocno, jak paszcza niedźwiedzia, i ciągnie w dół, a za co zaczepią się rozpaczliwe ręce, wszystko wyłazi z ziemi jak nitka ze starej koszuli. Straszna to śmierć, powolna, zimna... Drogę tam zna tylko ten, co wiele razy musiał przechodzić z miejscowym, swoim człowiekiem. W jednym miejscu Mitrofan gwizdnał parę razy, widać sposobem umó-

wionym, bo pochyliła się ku nam spora sosna i położyła, jakby zapraszając: „Przejdźcie, dobrzy ludzie!” Przeszliśmy po tej sośnie na czworakach, modląc się o szczęśliwą drogę, na sam brzeg kępy, a tam stał już Aleksiej i pociągnął drzewo sznurkiem na dawne miejsce, na którym, jak na zawiasach, przylepione było korzeniami do głębokiej, grząskiej murawy. Pozdrowiliśmy się imieniem Zbawiciela, a Mitrofan od razu niby do interesu przystępuje:

– Wujku Aleksieju – mówi – wyrzućcie mi na jutro dziesięć sztofów spirytusu i dwa sztofy miodnej z czerwieni.

– Znajdzie się – odpowiada węglarz – chyba żeby syn mój Waśka nie wrócił dziś ze wsi. Nie spotkaliście go tam?

– Nie.

– Bieda z tym podlecem! Wie, że pomoc potrzebna, i goni gdzieś światem, jak pies na wesele sobacze! Wyszedł rano: „Buty – mówi – mam podarte, gwoździ u kowala kupić mi trzeba.” Anie lataj, wrono wypierzona, za dziewczynami, oszczędzisz i buty, i zdrowie! Wiem ja, do jakiego kowala on poszedł... Będzie on, rozbójnik, młotem w tej kuźni, a kowadło miękkie i ciepłe znajdzie sobie... Ale chodźcie do chaty, odpocząć wam trzeba.

Miał Aleksiej na wydmie cztery małe i biedne domki, pokryte czarnym smolistym papierem, którym pokrywali Niemcy swoje ziemianki w czasie wojny. W jednym z nich mieszkał sam, inne pewnie służyły za fabrykę i składy, a może i dla innego celu, nie wiem, bo nie pokazywał mi ich. W izbie bieda piszcziała z każdego kąta, brudno, duszno, ciemno, okna w połowie pozatykane szmatami, ot! nędzarza poznać można było od razu. Ale wiedzieli wszyscy, że Aleksiej jest największym bogaczem w okolicy, maszynę do robienia spirytusu sprowadził przez Żydów aż z Żytomierza, a oprócz handlu wódką zajmował się sprzedażą wełny, którą przynosili mu z ruskiej Ukrainy jacyś nieznanymi ludźmi.

– Dajcie, wujku, szklaneczkę gorzkiej – prosi Mitrofan – i zakąsić trochę.

Aleksiej nie odpowiedział nawet, tylko usiadł na tapczanie i dalej żalił się na syna.

– Ech, ty, zamazany czorcie! – krzyknął gniewnie Mitrofan. – Mówię do ciebie o czym innym, a ty swoją piosenkę śpiewasz.

Węglarz znów swoje, zdawało się, że ogłuchł. Roześmiał się Mitrofan, splunął i mówi do mnie głośno:

– Widzicie, Kostia, ta pogańska dusza nigdy nie zmienia się i zdechnie podlecem, jakim się urodziła. Gość osoba święta, i religia nasza prawosławna, i stary zwyczaj dobry każą przyjąć i ugościć, czym Bóg dał. On nie chce, świnią nieczesana, wziąć grzechu na duszę swoją plugawą i dlatego nic nie słyszy. Ale ja wiem, jakiego lekarstwa mu potrzeba.

Wstał, wyjął z kieszeni srebrnego rubla i rzucił go pod tapczan. Aleksiej ani spojrział w tę stronę i żalił się dalej na syna i na nędzę swoją. Dopiero po dłuższej chwili niby przypomniał coś sobie:

– A wy, dobrzy ludzie – zapytał – może napijecie się wódki i przekąsicie co? Biedny ja człowiek, opuszczony, ale jeść muszę, to i dla was znajdzie się i chleb czarny, i słonina czujna.

– Prosimy, gospodarzu dobry! – odrzekł Mitrofan.

Była wódka, był chleb, kiełbasa, ryba wędzona, groch gorący, nawet herbata słodka. Zakręciło mi się trochę w głowie od wódki, położyłem się na tapczanie i chciałem zasnąć, ale że to nie w swoją porę, więc nie mogłem. Leżę i udaję, że śpię, a spoglądam i słucham, co też robić będą te dwa pająki. A oni rozmawiają o wódce, trzeźwi zupełnie, niby to tylko o tym mieli mówić. Poznałem ja przecież, że udają i jeszcze więcej naostrzyłem ucho. Wtem otwierają się drzwi i wpada do izby młoda dziewczyna, ubrana po miejsku, jak panienka, a za nią – ot, nie uwierzylibyście! – wchodzi Naścia! Nie wytrzymałem i ze zdziwienia siadłem na łóżku, a Mitrofan zbłądł i zerwał się z ławy, chcąc zasłonić żonkę Wasyla. Ale było już za późno, obie baby weszły do izby, a ta w miejskim ubraniu, w spódnicy ledwie za kolana, jak nie zacznie obracać językiem!

– Wy, Aleksieju – krzyczy – albo głupiec jesteście, albo łotr bezduszny. Kogoście mi przysłali? Ona i czytać nie umie, ona nigdy nie słyszała o ojczyźnie swojej ani o niewoli... Koza głupia! Ja mam jej dawać książki nasze, żeby czytała w swojej wsi ludziom ruskim? Szafę sobie oklei papierem albo spali ze strachu przed Lachem, wrogiem! Jeszcze wyda może i mnie, i was, stary durniu siwy! Po co przysłaliście ją do mnie?

Tymczasem Mitrofan szeptał o czymś do ucha Naści, wskazując na mnie, ale ta roześmiała się i odpowiedziała głośno:

– Nie bój się, nie powie nikomu!

Skąd tyle chytryści bierze się w duszy babskiej? Bo naprawdę nie powiedziałbym nikomu, że wędruje sobie za obcym chłopem żonka czyjaś miła. Nie mój grzech, a mój śmiech! Przejrzała mnie Naścia, aż ze strachem spojrzałem na nią.

Zakotłowało się w izbie, jak w garnku z kapustą na dobrym ogniu, wszyscy od razu zaczęli mówić i kłócić się. Mnie nie trzeba wiele usłyszeć, żebym zrozumiał jakąś ludzką sprawę, dlatego od razu pojąłem, o co tam chodziło. Mitrofan był za stary, żeby mu wystarczyła godzinka całowania gdzieś w gąszczu leśnym. Wiadomo, z wiekiem przychodzi potrzeba wygody i większego czasu na załatwianie różnych spraw, które w jednej minucie załatwi młody człowiek! Więc poszukał sobie dobrego miejsca stary zdrajca: na wydnie niedostępnej kupił od Aleksieja na kilka godzin izbę samotną, gdzie mieszkała nauczycielka tajna, jakich dużo ukrywa się teraz przed strażnikami po wsiach naszych. Miał ją po południu wyprowadzić do wsi na nauczanie dzieci młody Waśka węglarz i nie wyprowadził widocznie. Ale nikt nie mógł zrozumieć, jak trafiła tu sama Naścia, bo miała właśnie przyjść z Waśką wracającym ze wsi. Na ciekawe i ostre zapytania odpowiadała ze śmiechem:

– Sama trafiłam. To wcale nie trudno!

I cóż poradzisz z taką? Ani ona była kiedy w tych stronach, ani słyszała, którądy się

idzie... i trafiła! Może i uwierzył jej kto, ale nie ja.

Aleksiej był przestraszony naprawdę i tłumaczył się, że wcale nie przysyłał Naści, prosił nas o tajemnicę przed strażnikami, że to zgubą mu grozi, gorszą niż odkrycie fabryki jego spirytusowej. Zupełnie stracił rozum ze strachu i to przeze mnie, bo wiedział, że człowiek bywały i lubię spokój, do żadnych kłótni z panami nie mieszam się, więc pomyślał pewnie, że trzymam stronę Polaków. Aleja trzymam stronę Zbawiciela i prawdy, a nauczycielki mają kłamstwo na ustach, śmieją się z prawdziwej wiary Chrystusa, który sam przecież Boskimi słowami swoimi walczył z czortem, wrogiem rodzaju ludzkiego. Może i zły jest Polak a pan, orły swoje maluje na domach gminnych, w sołdaty zabiera, podatki ściąga, ale i Moskal to robił: i co po nim zostało? Bo ciało gnębił, ale nie dostał się do duszy naszej z jadem swojej niewiary we wszystko, w co wierzyli ojcowie nasi. Zbawienie im wieczne! Nauczycielki chcą duszy naszej, a dla kogo i na co, bies jeden wie, któremu prędzej niż Bogu służą!

Trochę zły byłem, że Mitrofan durnia ze mnie chciał zrobić i zakryć się mną przed podejrzeniem żonki swojej. Toteż cieszyłem się, że wszystko poszło na marne, a Mitrofan miał taką minę, jakby wypił miskę barszczu niesolonego.

Kiedy już skończyli się kłócić i tłumaczyć jedno przed drugim, nauczycielka zaczęła wypytywać mnie o ludzi z naszych stron, czy gromadzą się przeciw Lachom, czy uczą dzieci po ukraińsku, kto uczy parobków i dziewczęta w tajnej szkole, i o inne podobne sprawy. Nie lubię ja tych Ukraińców, co przychodzą z dawniejszej Awstrii i mówią na psa „pis”, na kota „kit”, na konia „kiń”, a na trzy słowa to jedno powie po niemiecku: gwer – wintówka, szlag – cholera, szlus – koniec, a najgorzej, jak zaczniesz dziwić się, wtedy ciągnie bez końca: „joj, joj, joj!” Spluniesz tylko i odejdiesz. I książki ich pisane inaczej, czytać trudno, a w każdej piszą o ichniej Galicji, Haliczynie, kraj to nieznanym u nas, niemiecki był dawniej, a teraz jest pański. Ukraina to ziemia nasza rodzona, ale każdy, kto żyje na niej, nazywać się musi Ukraińcem. I chłop ruski, i Czech kolonista, i Żyd, i Polak i Moskal. Nas chłopów na Ukrainie najwięcej, więc to kraj ruski, nie ukraiński powinien być i jest, choćby na każdej chacie był namalowany orzeł, z jedną głową czy z dwoma. Daleko i za Ukrainę sięga chłop ruski: w litewskich stronach północnych, na błotach Stochodu i Prypeci, rzeki wielkiej, na brzegach niebieskiego Dniepru od tego miejsca, gdzie płynie małym korytem, jak Słucz, aż do morza, które gnie się i usuwa pod trzywiorstową falą dniewową, wszędzie spotkasz chłopca ruskiego i religię prawosławną. A ci Ukraińcy to przecież zawsze prawie katolicy, uniaty papieskie, w głowie u takiego uczoność wielka; jak zaczniesz mówić o prawach narodu i o głosowaniu, niczym przy takim Ukraińcu wydaje się Żyd na jarmarku, kiedy zachwala czapkę barankową. Niech ich tam słuchają młodzi ludzie i osądzą, ja wolę patrzeć na ich teatry, co urządzają po miasteczkach i dużych wsiach, niż słuchać ich rad o poprawieniu doli chłopskiej. Znam tą dolę naszą i wiem, że nie naprawi jej ani nie popsuje żadne gadanie ludzkie: twarda ona, jak skały dniewowego brzegu, a trzyma się mocno ziemi ruskiej, jak stary dąb graniczny. Było, co musiało być i będzie, co Bóg da, nie to, co na-

bajdurzy Ukrainiec.

Tak i mówiłem z nauczycielką, a ona aż podskakiwała z gniewu i łzy napłynęły jej do oczów.

– Ciemnota mówi w waszych ustach – powiada. – Duszę wam zatrzał Moskal ździerca, a teraz zaturwa Lach, wróg zaklęty Ukrainy. Śpicie po wsiach waszych jak borsuki zimą w jamach, bajkami się karmicie jak małe dzieci, szukacie wrogów i przyjaciół po borach i jarach, w powietrzu i wodzie, a nie widzicie, jak ginie Ukraina pod ciężką łapą polską i batem srogim żydowskim za granicą. Czorta wy znacie z rogami i krowim ogonem, a ten czort przeklęty, to Lach i Moskal, chrzczony, z krzyżykiem na piersi chodzi i chwali Chrystusa!

– Kłamiesz, matuszka – przerwał Mitrofan – nie znalazł się jeszcze na ziemi naszej pop, co ochrzciłby czorta. A i to nieprawda, że zawsze ma on rogi i ogon. Bywa i bies inny, piękny, wymyty, jak dziewczyna przed ślubem...

– Prawdę mówi! – pisnęła Naścia.

Słyszałem i ja o pięknych czortach, ale nie wierzyłem. Gdzież takiemu podlecowi pozwoliłby Bóg przywdziać piękne ciało, gdzie i jak ukryłby, przeklęty, rogi swoje i ogon zagnojony, który musi nosić na znak swojego świńskiego pochodzenia? Więc słucham ciekawie, a Mitrofan mówi dalej:

– Mądrzejszy dzisiaj naród, to i bies mądrzejszy. Jak mu potrzeba, zrobi się mołojcem czarnowąsym, osobliwie gdy chodzi o cnotę dziewczęcą albo o wierność żonki młodej. Widziałem takich... Nie tylko umieją szeptać a obejmować mocno, ale potrafią przeprowadzać przez błota młodą babę niewierną...

Spojrzał surowo na Naścię, ale ta roześmiała się wesoło. A ja pomyślałem: coś tam ukrywają między sobą oboje, może i bies wlaźł między nich, może i parobek jaki młodszy i ładniejszy od Mitrofana.

– Och, Mitrońku! – jęknął Aleksiej – nie wspominaj wieczór o czorcie. W tej głuszy na wydmie lubi on często przebywać i gzić się, jak młody byk: wygodna dla niego, nie przeszkadza dzwon cerkiewny ani modlitwa niewinnej duszy. Najgorzej bywa w zimie. Lubi on, zbój napastliwy, burzę śnieżystą i potężny wichur północny! Widać na dalekiej północy, może aż na Białym Morzu ma swój dom rodzinny, gdzie wychowała go ciotka diabła, ryba z głową ludzką. Tego roku w zimie widziałem go dwa razy. Panie, przebac mi grzechy moje! Jakieś prawo czortowe nie pozwoliło mu zbyć na czas ludzkiego ciała i przyszedł zmarznięty do mnie, w kozuchu chłopskim, ale ręce miał pańskie, białe, i mówił nie tak, jak u nas mówią; poznałem łatwo, że przedtem bratał się z Moskalami. Zamiast „dobre!” mówił „choroszo!”, zamiast „chołodno” – „chałodno”, zamiast „sinioho” – „siniawo”. Myślałem, że to mój Waśka wraca nocą ze wsi i nawet nie pytam się, kto wlaźł do izby, a on zapalił zapałkę i woła: „Ojczy Aleksieju, śpicie?” Przeżegnałem się ze strachu i patrzę, co też to za gość, który trafił tu nocą, kiedy nawet ja nie zdołałam w ciemności, a jeszcze białą zimą, przejść przez moczary, co nigdy nie zamarzają. Na wszelki wypadek szepnąłem dość głośno: „Wybaw, Matko Boża, duszę

od zaguby wiecznej!” A ten zapalił papierosa, potem lampkę na stole i zaczyna rozmawiać jak ze starym znajomym. Grzeczność dla gościa – obowiązek święty, chrześcijański, więc i nie pytam go nawet, skąd się tu wziął. Aż tu coś zaczyna do drzwi skrobać i piszczeć. Podróżny zerwał się i otworzył. Wpada do izby wielki czarny pies, bez uszów i ogona, i rzuca się na podróżnego, szczeka radośnie i liże go, a ten ściska psa, całuje i mówi: „Marfuszka moja, nie utopiłaś się, serdeczna! Och, jak to dobrze!” A pies odpowiada: „Hau, hau!” Żeby psa nazywać chrześcijańskim imieniem, na to trzeba Turka, a nawet Żyd boi się świętokradztwa takiego. Nie wytrzymałem i pytam: „Darujcie, dobry człowieku, że pytaniem was utrudzę, ale ciekawość to rzecz ludzka, nie karana: czort wy jesteście we własnej szanownej osobie, czy chrześcijanin?” A ten ani zmarszczył się i odpowiada: „Czort!” Spojrzałem na obrazy święte: wszyscy męczennicy pozamykali oczy, a Zbawiciel w kącie izby odwrócił głowę i nawet – zdawało mi się – splunął za siebie. Zakryłem więc głowę kożuchem i leżę a modłę się, nieszczęsny! Tymczasem czort gospodaruje w izbie jak u siebie w domu: słyszę, ogień rozpała, choć ciepło było w chacie. „Duszę moją – myślałem – przypiekać będzie!” Chodzi, stuka, wodę przelewa, aż wychyliłem jedno oko spod kożucha i patrzę ciekawie na diabelską robotę. I co też zobaczyłem? Grzech wspomnieć! Ponalewał bies gorącej wody do większych naczyń, a sam stanął między nimi nagi, bez koszuli nawet i myje się pachnącym mydłem! Mężczyzna piękny, ciało białe, twarde, młode, przegina się i błyszczący, no – widok dla babskich oczu piękniejszy niż dla lisa tłusta gęś na pastwisku. Wymył się, nawet zęby małeńką szczotką wyszorował, ogolił brodę bez lusterka, wyczyścił ubranie i buty – i poszedł, powiedziawszy do mnie: „Dziękuję, gospodarzu, za gościnę, nie wspominajcie źle podróżnego!” Został po nim tylko piękny zapach pańskiego mydła i pusty garnek po kaszy ze słoniną, którą zjadł jego pies diabelski – a ja nie miałem co jeść rano! Na drugi dzień opowiedziałem pani nauczycielce o całym zdarzeniu, a ona śmiała się i mówiła: „Śniło się wam, Aleksieju, wódki za dużo wypiliście na kolację!” Ładny sen! garnek kaszy, więcej jak pół garnca, zjadł mi pies ze snu! a mydło czuć było chyba przez dwa tygodnie.

– Głupstwa pleciecie! – przerwała nauczycielka. – I sam wasz czort nie wyszedłby wtedy nocą z chaty! Pamiętam, burza była straszna, przez parę dni bez przerwy – nawet Waśka nie mógł wrócić, póki nie ustał ostry śnieg. Cóż dopiero w nocy! I na drugi dzień szukaliście tego urojonego czorta po całej wydmie: ani śladu nie było!

– Był ślad! – warknął jak pies stary węglarz.

– Gdzie?

– Wódkę braliście ode mnie, niby na ból zęba, i chleba trzy funty, kiełbasę i ryb suszonych za dwa ruble srebrne, że to koty wam miały zjeść waszą żywność codzienną. A wieczorem słuchałem koło okna... grała cichutko bałabajka i cicho śpiewał ktoś, nie wy:

*U susida chatka biła,
u susida zinka miła,*

*a u mene ni chatynki,
ani szczastia, ani žinki...*

i prędko gasiliście światło u siebie, nie czytaliście długo w noc, jak zawsze, widać spać się więcej chciało – albo tylko położyć się może w lubym mroku zimowym, kiedy od białego śniegu prawie widno w izbie i tajemniczo, a grzech miłszy i bielsze a gorętsze piersi, choćby czortowskie!

Zapaliła się krwawą czerwienią twarz nauczycielki. Bez słowa odpowiedzi na te i straszne, i śmieszne słowa Aleksieja wybiegła z izby. A my nie wiedzieliśmy, czy śmiać się, czy gniewać, dopiero pierwsza Naścia oburzyła się i zwymyślała węglarza:

– Ach, wy, plotkarzu stary! Włosy siwe nosicie, a o szacunek dbacie mniej niż koza o czystość. Wam to, badyłowi zgniłemu, podsłuchiwać pod oknem, zawstydząć młode dziewczyny niewinne? Upił się, podły, pociągnął za dużo gorzkiej i hajda na świat z jęzorem grzesznym, ludzi dobrych krzywdzić!

Aleksiej znowu, biedny, ogłuchł i zaczął dalej opowiadać, spokojnie, jakby naprawdę nic nie usłyszał złego.

– A drugim razem przyszedł do mnie prawie o świcie. Inny był, starszy, z tłumokiem książek...

– Ukróć swój język jadowity! – przerwała Naścia i jak nie zacznie sypać wymyślania! Moskal nie powstydziliby się.

Taka to jedność babska na świcie! Między sobą nie pożałują i matki rodzonej, ale z chłopami inaczej: czym gorsza która, tym lepiej broni cudzego babskiego grzechu, choćby grzech ten popełniła i nieprzyjaciółka jej zakłęta.

Nie słuchaliśmy już opowiadań Aleksieja, bo trzeba było wracać do wsi; droga choć niedaleka, ale trudna, przy tym z babą kłopot. Mitrofan był z początku zły bardzo; nie rozmawiał z Naścią; jednak porozumieli się widać po drodze, nawet nie widziałem kiedy, bo do wsi przyszedliśmy wszystko troje w dobrej zgodzie.

Już pewnie koło północy, kiedy mocno spałem pierwszym dobrym snem, zbudziło mnie ciche wołanie nad samym uchem:

– Wujku, wstańcie, Chrysta radi!

– Kto woła? – pytam.

– Ja, Wasyl – odpowiada w ciemności głos.

– To ty wróciłeś nocą?

– Wróciłem... Chodźcie, wujku, prędzej, dziwne rzeczy się dzieją!

Noc była ciepła, okryłem się tylko kożuchem i boso wychodzę przed dom. Ciemno choć oko wykol, nie wiesz komu! Wasyl w samej bieliźnie, przestraszony, rozczochrany, ledwie słowa znaleźć umie:

– Wóz wpadł mi w błoto – mówi – wypilem za dużo przed drogą... Spałem w lesie do wieczora, zmokłem trochę w wodzie i znów trochę łyknąłem z butelki, zimno było. Konie przyprowadziłem do stodoły Mitrofana i idę na górę spać. Nie zapalałem światła, niespodziankę – myślałem – zrobię Naści... W głowie trochę kręciło się, ale tym

więcej ochoty miałem do całowania. A ona nie spała; coś cichutko szepce i dokazuje, jak nigdy... Aż zmęczyła dobrze! Chcę już spać i głaszczę ją na dobranoc, jak zawsze, po głowie... włosy jakieś suche, sztywne, a Naścia miała główkę pokrytą jakby lnem najmięszym! Ocuciłem się i uważnie obejmuję ją, a tu pod rękami grube babsko, rozłazi się jak ciasto w korycie... strach! Uciekłem w koszuli. Czary jakieś okropne! Chodźcie, wujku, zobaczcie sami i pomóżcie nieszczęsnemu... Może ja jeszcze pijany jestem?

Nie śpieszyło mi się do izby Wasyla, przeczuwałem niedobłą sprawę, więc chciałem poczekać, aż sama Naścia przeobrazi się.

– Poczekaj – mówię – tu trzeba ostrożnie robić swoje. Powiedz no mi, jak ty wszedłeś do izby Mitrofanowej, gdzie spałem? Drzwi były przecież zamknięte?

– Otwarte – szepce Wasyl – i to na oścież. Myślałem, że kto wyszedł dopiero co na dwór i nie zamknął drzwi.

O! pomyślałem, rzecz coraz gorsza... Kazałem ukryć się pod schodami biednemu Wasylowi i wróciłem do izby. Zapaliwszy zapałkę, spojrzałem z dala na szerokie łóżko Mitrofana: jego samego nie ma, a pośrodku leży, przykryta z głową, jakaś baba, ani połowy tej objętości, co żonka gospodarza naszego. I mnie zakręciło się w głowie, a przed snem nic nie piłem! Czort, czy co takiego, zamroczył duszę? Przypomniałem sobie, że Mitrofan po kolacji miał pójść na łąkę sprawdzić, czy pastuchy nie śpią, bo wilki pokazały się w okolicy. Poczekamy – myślę – aż wróci, to wszystko jasnym się stanie. W cudzym domu lepiej nic nie zaczynać bez gospodarza.

Poszliśmy do stodoły, ale patrzymy wciąż na drzwi domu, czy kto nie wchodzi albo wychodzi. Noc letnia krótka. O świcie zdawało się nam, że ktoś wyskoczył z okna i jak kot przełaził przez wrota, cichutko, a potem jakby się rozwiął w tumanie białym, przedświtowym. Dreszcz nas przejął, ale czekamy dalej. Już było widno, kiedy nagle rozległy się głosy w domu, pędzimy więc do sieni i widzimy, jak schodzi z góry Mitrofan z żonką swoją.

– Co to? – pyta nasz gospodarz. – Nie śpicie, ojczy? A, to i Wasyl wrócił? Jakim losem?

Wściekły był stary, syczał jak źmija, a zza jego pleców śmiała się chytrze i wesoło czerwona, szeroka twarz jego żonki.

– My wstaliśmy razem – mówi dalej Mitrofan – bo szczury widać hałasowały na strychu i myśleliśmy, że złodziej przyszedł... Idźcie, Wasylu, do izby waszej, żonka wasza czeka pewnie na was.

Pociągnął mnie do swojej izby Wasyl, bał się sam wejść. A już na progu słyszemy miły głosik zaspanej Wasylowej żonki:

– Kiedy przyjechałeś, miły? Dlaczego chodzisz nieubrany? Ranek chłodny, rosa, zaźiebisz się, serdeczny mój! Chodź, ogrzeję cię, sokoliku...

Poszedłem i ja ubrać się do izby Mitrofana. Nie było go tam, oboje kłócili się w kuchni, po drugiej stronie sieni. Patrząc: po łóżku jakby koń przebiegł, a okno niedo-

mknięte. Przeżegnałem się i pomyślałem, że jeśli tu nie był bies, to na pewno Waśka z wydmny leśnej. Tylko nie mogłem zrozumieć wszystkiego, co stało się tej nocy w domu Mitrofana, i do tej pory dobrze nie rozumiem.

Wasył ogłupiał zupełnie i był pewny, że stumaniły go leśne czorty za karę za pijaństwo. Co myśleli Mitrofan i jego żonka, nie wiem, ale teraz odwróciła się u nich ochota i kiedy baba zapraszała nas, żebyśmy jeszcze zostali, stary dusigrosz mruczał, że potrzebna mu izba na górce dla swojaka, który ma zaraz przyjechać. Więc wyjechaliśmy tegoż dnia w swoje strony, a po drodze zabraliśmy na wóz młodego parobka, którego spotkaliśmy niedaleko za wsią. Mówił, że idzie piechotą aż pod Kamienicę i prosi o podwiezienie. Miał przy sobie tłumoczek tylko, a nazywać się kazał Waśką Zinczenko z miasta Samy. Patrzyłem uważnie na niego i na Naścię, ale nie dojrzałem w ich postępkach nic podejrzanego... obcy sobie, nie tylko nie znają się, ale i Naścia niechęć okazuje, że koniom za ciężko, aż Wasył się ujął za biednym parobkiem.

– Rzecz chrześcijańska – mówił – podwieźć biedaka bezdomnego. Koń zwierzę mocne, a droga nie najgorsza... Nie dokuczaj dobremu człowiekowi, krzywdy nam nie zrobi.

Wysiadłem przed swoją chatą, a Wasył z żonką i obcym parobkiem pojechali dalej. Już w drodze dopytywał się Waśka, czy w naszych stronach nie dostanie gdzie roboty przy młynie albo tartaku. Usłużny był, cichy, wyręczał Wasyła w robocie koło wozu i koni, i ciągle go nazywał: „Dobrodiju!” Bardzo podobał mi się, ale najwięcej Wasyłowi.

Żniwa kończyły się już, kiedy nagle wieczorem przyjechał do mnie Wasył z kumem swoim Antonem. Bardzo byli smutni, mało mówili z początku, jeden drogiego namawiał, żeby pierwszy zaczął opowiadać o biedzie, jaka ich spotkała. Czekałem spokojnie, aż w końcu obaj postanowili, że opowie rzecz całą Anton, który był starszy, ale jeszcze powolniejszy od Wasyła. O nim to ludzie bajali, choć podobno i prawdę szczerą, że kiedy w czasie wojny Polaków z Moskalami wszedł raz w południe do swojej izby, zobaczył polskiego oficera, co miał u niego kwaterę, jak całował się – żeby nie powiedzieć nieprzyzwoicie – z jego żonką na łóżku. Nie usłyszeli oni, ten oficer i żonka Antona, że ktoś wszedł do izby, zajęci byli mocno rzeczą swoją, a Anton stał długo i patrzył, aż w końcu podrapał się w głowę i powiedział:

– Och, pane, pane! Jak ja toho nie lublu!

Później, kiedy oficer wyszedł, pyta ze złością żonkę:

– Ty jak śmiesz bez pytania? Karmiciel twój jestem, mąż prawowity!

– Na drugi raz zapytam się ciebie, nie gniewaj się, serdeczny – odpowiada żonka.

– Smotri! Prybju! – pogroził na zgodę Anton po moskiewsku, bo służył w Moskalach carowi byłemu i zawsze w złości grozi i wymyśla żołdackim sposobem.

I teraz zaczął mówić wolno, a co parę słów, to wpakuje wyrażenie moskiewskie, aż w uszy skrobie, dureń wodnisty.

– Nawiedziła nas zaraza jakaś przekłeta. Wy, Kostia, poradźcie co nieszczęśli-

wym... Inie wypowiesz nawet! Baby biją się. Czysta wojna turecka, libo miatież podstępny. Pojeżdżajcie do nas na dzionek czy na dwa. Nie poradzicie, to uciekniemy w świat, do surgientów przystaniemy, napadać na panów, albo do Muchy...

– A mówże, bałwanie, o co wam, głupim, chodzi! – krzyknąłem.

Anton wybałuszył małe swoje oczka, zląkł się, a taka jest u niego sołdacka dusza, że bez nastraszenia i pomyśleć nie potrafi. Więc mówi już trochę prędzej:

– Jak każecie, to i powiem. Moja Paraska pobiła się z Naścią, a Naścia podrapała siostrę moją Senię, a Senia z Naścią pobiły Walerię Symeonową, a Paraska ma podbite obydwie oczy z przyczyny bójki z Hańdzą, co siedzi u Andrzeja, a Naścia...

Nie mogę spamiętać, ile tam bab wyliczył Anton. I to było dziwne, że nie ze śmiechem opowiadał o babskiej wojnie, ale z taką miną, jakby mu wczoraj spaliła się cha-ta.

– Skąd ta wojna? – pytam, ściskając zęby, żeby nie roześmiać się.

– Skąd? Z diabła, z czorta jakiegoś przekłętogo, albo z deszczem spadła na głowy babskie, albo z ziemi wyrosła trawą trującą, bieleną gorzką... Pytaliśmy, prosili i grozili, niektórzy i kij dobry połamał na plecach babskich. „Ona – mówi jedna o drugiej – plunęła na mnie.” Inna bresze: „Ta ukradła mi kurę,” a znów inna skarży się, podła taka: „Za włosy mnie pociągnęła w cerkwi!” We wsi spokoju nie ma, przejść nie da-dzą, sucze baby. A która spokojna nawet, to takie rzeczy opowiada, że wstyd nam wszystkim.

– Cóż te baby mówią?

– Och, Kostia, grzech wspomnieć! Jest u Wasyla parobek, Waśka nazywa się prze-kłęty... Na bandurci, podlec, gra wieczorami, śpiewa, a koło niego dziewcząt i bab, i parobków zgraja cała się gromadzi, słuchają i zęby białe szczerzą, jak psy na zająca... Mówią baby, że chodzi on do dziewcząt i żonek naszych, zgorszenie czyni sodomskie. Najgłośniej krzyczą, że z Naścią bawi się więcej niż sam Wasyl...

– Łżą, wiedzmy zabrudzone! – przerwał Wasyl. – Naścia przykładna żonka, a ja nie ślepy.

Aż mi dziwno było, że radę mam taką prostą na ich biedę i że sami nie poradzili so-bie.

– Weźcie – mówię – za łeb tego Waśkę, wyprowadźcie za wieś i psami poszczujcie! Mocny on taki, że nie potraficie zębów mu wybić trochę, żeby nie śpiewał, albo bandu-rę spalić pod garnkiem z kaszą? Winny czy niewinny, nie zaszkodzi choćby spróbować.

Ale obaj chłopi machnęli rękami, a Wasyl odpowiedział twardo:

– Próbował ja wyrzucić go i Naścia radziła dobra! Nie można. On wódkę umie ro-bić, cała gromada za nim stoi, a i mnie wygodna wielka. Pójdzie ode mnie, to każdy go przyjmie do roboty, bo i robotnik – złoto czyste! To wszystko jeszcze nic, dałoby się włóczęgę wygonić ze wsi dla spokoju, choćby ze stratą... Może by i chłopi zgodzili się, zawsze najmiłsze spokojne życie. Ale on od Ukraińców, może i sam bolszewik na-wet. Ze strażnikami wódkę pije, Judasz taki mądry, a wintówki ma schowane w lesie,

papierki zakazane nalepia na stodołach, czytać uczy... Nieraz nocą przychodzą do niego gromady nieznanych ludzi, każdy ma albo wintówkę, albo dubinę dobrą: pomyślisz – zbóje! Gdzie z takim zaczynać? Stodołę spali, życia zbawi miłego... Jeszcze dogadzaj mu a udawaj, że nie widzisz rzemiosła jego. Ściągnie on biedę na głowę moją niewinną! Och, bies mnie skusił, zem przywiózł go do wsi! A może on właśnie jest i czort jaki przebrany?

Nigdy grzeszny człowiek nie powinien być pewny w sprawach, gdzie chodzi o zbawienie wieczne. A choć ten Waśka wydał mi się bardzo podobny ze słyszenia do Waśki, syna węglarza z Leszniewki, przecież pomyślałem, że może i naprawdę bies jaki przebrał się i wziął imię chrześcijańskie, aby łatwiej prowadzić ludzi do zguby. Bo i jaka korzyść byłaby prawdziwemu Waśce robić tyle zamętu we wsi? To nawet szkodzi jego tajemnej robocie ukraińskiej, władza dowie się! Tylko czort cieszy się, gdy zasieje niepokój w duszach prawosławnych, za to nagrodę bierze, złoto piekielne, od cara swojego Satany. I głosem swoim tęsknym, graniem i wódką, co kto lubi, wciąga w sieci swoje żelazne człowieka, a najłatwiej babę, jak rak czarny małą żabkę do nory swej podwodnej. Pomyślałem, że może ten stary Aleksiej naprawdę widział dwa razy na wydmie samego czorta w pięknej postaci, bez rogów i ogona. Przecie i u ludzi różne są stany: pan zawsze wymyty, kapeluch jedwabny, futro niedźwiedzie, na palcach pierścienie złote; a prosty chłop z tarakanem mieszka, nie czesany, w baranicy, na głowie czapa: sok i w lecie wyciśniesz! Może i rogi u czorta to tylko ubiór chłopski? Może i w piekle u nich urządzili rewolucję, jak Moskale, i swoich diabelskich panów wygonili w świat: a pokosztuj i ty, pan bies, ciężkiej naszej pracy, a oparz się modlitwą i krzyżem Bożym! I siedzą może dawne nasze czorty nad stołem czarnym piekielnym, piją i jedzą, weselą się, a na świecie ich dawni panowie włóczą się i pocą, żeby piekłu chwały przysporzyć. Jeżeli tak jest, to i sposoby diabelskie muszą być inne, delikatne – wiadomo – pańskie! Z ciekawości więc samej wybrałem się do Hapunowa, obejrzeć owego Waśkę i jego robotę niedobłą. Ale nie zaraz, bo zawsze lepiej poczekać, aż sprawy złe ustoją się same, jak moskiewski kwas, co dawniej wyciskany był z chleba przez wydrwigroszów Moskali w Równem i Zviahlu. Dopiero jesienią późną, kiedy osiwiiał las sosnowy od pierwszych śniegów, przyjechałem do Wasyla, niby tylko odwiedzić znajomego, o szczęście – zdrowie zapytać.

W ciemną już noc zdarzyło mi się przyjechać do Hapunowa. Wyszedł do mnie Wasyl, ucieszył się, przywitał, ale nie mogliśmy rozmówić się od razu, bo i ten Waśka był przy nas, konie i wóz pomagał zamknąć w stodole. Potem posłał mi świeżą słomę na przypiecku, gdzie sam też sypiał, i buty pomógł ściągnąć. Widziałem, że Wasyl wzdychał i rad byłby porozmawiać, ale bał się widać parobka, bo prędko pożegnał się i poszedł do drugiej izby, do żonki na noc. A ja przy lampie naftowej przyglądam się parobkowi: nic ciekawego! Chyba tyle tylko, że młody i inny trochę niż nasze chłopcy: oczy ma mądre, duże, włosy ni jasne, ni czarne, pod nosem rzadkie żółte wąsy: aż dziwnie mi się zdawało, dlaczego baby szaleją za nim. Odpowiada mądrze, nie tak, jak

nasi parobcy, widać, że człowiek bywały, choć mówi po naszemu, jakby nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Kiedy już nagadaliśmy się o gospodarstwie Wasylowym i o różnych postronnych rzeczach, pytam go nagle:

– Czyś ty czasem nie syn węglarza Aleksieja z Leszniewki?

– Nie – odpowiada śmiało.

– A byłeś na wydmie u niego, wódkę robiłeś tam?

– Byłem i robiłem. Ale ja mu nie syn ani żaden krewny. Na chleb pracowałem, jak i tutaj. Ja nie tamtejszy.

– Prawda! – mówię. – I imię twoje Moskałem pachnie: Waśka! Dlaczego Aleksiej nazywał cię synem swoim?

Waśka przyjrzał mi się uważnie i kiwnął wesoło głową, jak młody żreback przy płocie.

– Ciekawiście bardzo, dziadziu! – powiada – a czasem niedobrze jest dużo wiedzieć. Ale znam was ze słyszenia i wiem, że dobra dusza w was mieszka, choć nie wiadomo, czy rozumu w waszej głowie więcej, czy w sercu marzenia... Mogę wam to powiedzieć, że syn Aleksieja zabity był na wojnie, a ja mam jego paszport. Nie jestem Moskałem, ale bratem waszym, chłopem, ścigają mnie Lachy – wrogi za winy nieopłacone, to i muszę ukrywać nazwisko moje prawdziwe. Stary Aleksiej nie chciał mnie nazywać Iwasiem, że to syna tak nazywał, serce go bolało, więc nazwał Waśką... Odszedłem stamtąd, nudziło się na wydmie. Nie wydacie mnie Polakom, dziadziu, prawda?

– Nie szpion ja polski – mówię – i nie lube mi sprawy, co spokój wyganiają z duszy, jak sowa wygania nocą szare i miłe ptaki ze stodoły na noc czarną, która zasłania im oczy, przywykłe do dnia słonecznego, i rzuca nieszczęsne w strachu i bóleści na twarde ściany chat wiejskich. Nie wiem, kto jest taką sową, ale wiem, że ty i Lach nie lubicie słońca. On katolik, a ty, choć i prawosławny, wiary też nie masz Chrystusowej. Znam ja twoje papierki, co roznosisz po wsiach naszych. Wojna i pożar! Nie Chrystusowa to nauka. Brzydzi się Zbawiciel podstępny katolikiem, ale i ciebie nie pobłogosławi! Uda ci się wygonić Polaków i zaraz przyjdzie inny żołdat i urzędnik, mówić będzie po naszemu może, ale nie będzie od tego cieplejsze słońce ani lepszy deszcz wiosenny. Nie zmieni się dusza nasza chłopska. Inny wróg zaklęty czyha na nas wszędzie, płacze nad głowami, jak pająk, sieci swoje niewidoczne. Ale spokojni byliśmy, bo czuwała nad nami moc Zbawiciela i jego świętych, a znaliśmy go, wroga, lepiej niż sam pop. Teraz nową przybiera postać, lis chytry, mąci serca nasze, odbiera spokój, bo człowiek niespokojny to wielki grzech ziemi naszej, to smutek świętych męczenników, a radość w piekle, co błyszczący boleścią wszelkiego stworzenia jaśniej niż ogniem swoim czerwonym...

– Spijcie, dziadziu – smutnie powiedział Waśka na dobranoc. – Dużo prawdy jest w tym, co mówicie, jednak i to jest prawda, że jak kogo ząb boli, to choć z większym bólem, ale wyrwać każe, żeby potem nie bolało. Widzę, że więcej marzyć lubicie niż my-

śleć po męsku.

Rano mówię modlitwę – i Waśka też! Chłop on – pomyślałem – chrześcijanin dobry, tylko uczoności ma dużo w głowie i stąd zaślepiły się jego oczy na prawdę jedyną.

Wyszła i Naścia przywitać się. W koszuli tylko wyszywanej i w spódnicy była taka ładna, że ledwie poznałem ją. Zawsze mówili ludzie i sam widziałem, że nie jest brzydka, ale wtedy i oczy miała jarzące się dziwnie, gorąco, usta czerwieniejące i głos miłszy, jakby ją kto napełnił lubością wielką, szczęściem ogromnym. Wiem ja, co to znaczy takie babskie przeobrażenie; westchnąłem tylko nad dolą Wasyla.

Po śniadaniu poszliśmy obaj do Antona na rozmowę, bo tak chciał, nie wiem dlaczego, Wasyl. Po drodze już pytam:

– Jakże tam na wsi? Spokojnie?

– Nie bardzo – szepnął Wasyl, oglądając się z trwogą. – Czterech chłopów strażnicy wywieźli. Baby spokojniejsze, przestraszyły się, podłe! A wtedy u was, to po prawdzie nie o baby nam chodziło, tylko jakoś inaczej wyszło z rozmowy... Baliśmy się czego innego...

– Wiem! – odpowiedziałem.

– Myśmy tak i zrozumieli... Rady żadnej nie mamy do tej pory. Niechby do innej wsi poszedł, poganin! I wiecie, ojczu, coś zdaje mi się, że on z moją Naścią naprawdę oszukuje mnie. Obudziłem się raz w nocy, a Naści nie ma koło mnie! Kolnęło mnie w sercu... Wstaję, wdziewam buty, bo było chłodno, a tu skrzypnęły drzwi od sieni i wraca Naścia. Widzieliście: żeby wyjść do sieni, trzeba przejść przez izbę z piecem, gdzie sypia Waśka. Pytam: „Gdzie byłaś?” A ona skarży się, że chora, wyjść – mówi – musiałam. Co miałem robić? Może i prawda była...

U Antona zamknęliśmy się w izbie we trzech i rozmawialiśmy długo. Nie będę powtarzał tej rozmowy, nudna była. Dałem im dobrą radę, którą wykonali dobrze, a jaką, to zaraz się okaże.

Właśnie zdarzyło się, że bogaty gospodarz z Hapunowa, Andrzej, zenił się z Hanną, co u niego, wdowca, mieszkała lat parę i tak zadurzyła widać głowę staremu, że w końcu zaprowadził ją pod wieniec. Na wesele zaprosił Andrzej pół wsi, a przyjąć obiecał nie byle jak. Toteż zwała się do jego wielkiej chaty w wieczór weselny taka gromada, że okna musiał wyjąć, bo podusiliby się goście w izbach, przystrojonych sośniną, papierem kolorowym i wstążkami z jedwabiu. Ale nie było wesołości na tym weselu. Nie proszeni przyszli strażnicy, jedli, pili i uszami strzygli, a wypatrywali kogoś. A był między nimi jeden, co dał znać Andrzejowi, żeby się pilnował, bo mają jeszcze paru chłopów złapać i pogonić do turmy. Więc dopiero po dobrym wypiciu zaczęto tańczyć hopaka, a niektórzy nawet i inne, czeskie tańce. Baby i dziewczęta rade by puścić wolę nogom, ale parobcy ochoty nie mieli. A tymczasem Wasyl i Anton upili się niby tak, że położono ich bez duszy na deski za piecem, bo wyjść do domu za nic nie chcieli – wiadomo – upór pijacki.

Już po północy przyszedł Waśka z bandurą. Mało już teraz bandur u nas, wszystko

stare ginie powoli. Dziad na jarmarku pokaże się z nią czasem, ale jak zagra, to uszy zatyka: piszczy i chrapie, przekłeta, nie umie każdy dziad naprawić, jak się zepsuje. Dlatego wolą ludzie bałabajki, skrzypce, albo i harmoszki, skrobiące w uszy jak bek stada baraniego. A bandura Waśki była nowiuteńka, mówili, że sam ją zrobił, spekulant chytry. I grał też na niej pięknie! Od czasu, kiedy w wielkim teatrze w Kijowie byłem na śpiewanym i granym widowisku, a to już będzie chyba czterdzieści lat, nie słyszałem tak pięknej muzyki. Grał Waśka i do tańca, i do śpiewu, ale najpiękniej do śpiewu. Wszyscy od razu zakrzyczeli go: „Wasiu miły, drogi, złoty, zaśpiewaj co nam, czekali my na ciebie, serdeczny!” Usiadł Waśka na małym stołku na środku izby, wypił szklanekę wódki i zagrał cichutko, jakby szumem wiatru po strunach, a potem coraz głośniej i głośniej, aż nie wiadomo kiedy rozpoczął śpiewać i zdawało się, że to bandura śpiewa, tak oba głosy, człowieka i rzeczy martwej, zjednoczyły się cudnie:

*Lita oreł, lita sizyj
popid nebesami,
hula Maksym, hula bat'ko
stepami, lisami!*

*Oj, litaje oreł sizyj,
a za nim orlata,
oj, hulaje Maksym bat'ko,
a za nim chłopiata!*

Spojrzeli niespokojnie wszyscy na strażników: wiadomo, o Żeleźniaku śpiewa, o wrogu, tępiciele Lachów... Ale strażnicy nie rozumieją naszych pieśni, im wszystko jedno, Żeleźniak czy Teodor pustelnik. Jednak Waśka nie śpiewał dłużej o Maksymie, mrugnął na Parasę, żonkę Antona, która najładniej we wsi śpiewała, i tęsknie zaciągnął:

*Diwczynońko myła,
szczo ty budeś robiła
na Ukraini dałekoj?*

A Parasia spuściła oczy, ręce obie położyła na krzyż na piersi i odpowiada:

*Budu szyty, praty,
tebe, miłyj, ciłowaty
na Ukraini toj dałekoj!*

– Diwczynońko myła – słodko pyta Waśka z głosem bandury – de ty budeś spała na Ukraini dałekoj?

*W stepi pid werboju,
ałe, myłyj, s toboju...*

I ja, stary, zasłuchałem się w tę cudną rozmowę śpiewaną. A dziewczętom i łyzy pokazały się w oczach. Siedziałem trochę z tyłu, na ławie niedaleko drzwi, i czuję, że mnie ktoś ciągnie za rękaw. Patrząc: Anton! Zlazł z pieca, który był w drugiej izbie, i podszedł do otwartych drzwi. Nikt go pewnie nie zauważył, wszyscy słuchali śpiewu i wpatrywali się w bandurzystę.

– Widzicie? – pyta szeptem Anton. – Przepiórka diabelska, samiczkę wabi! To nie pierwszy raz podlec tak wyciąga triu-lu z gardła, żeby mu sparszywiało!

– Widzę! – odrzekłem. – A buty zostawiłeś na piecu?

– Są i słomą wypchane, a pod kozuchem polana. Nie pozna, wiedźma chytra! Wasyl też gotów, ukrył się w sadzie.

– Idźże – mówię – i ty do sadu. Jak trzeba będzie, dam ci znać.

Tymczasem Waśka zaprzestał grania i zaczął śpiewać:

*Słońce nyżeńko, wieczor błyżeńko,
wyjdy do mene, moje serdeńko!*

a cały chór pochwyił ten śpiew. Zmięszali się goście, stłoczyli koło Waśki. Udaję, że drzemię, można przecież staremu, choć i przy śpiewie głośnym, a patrząc dobrze na drzwi. Niedługo czekałem: wymyka się Paraska, zajrzała do drugiej izby za piec i buch na dwór. Ja za nią, ostrożnie, żeby nie dojrzała; wywołałem cicho z sadu Antona i idziemy do jego chaty. Podeszliśmy pod zasłonięte okno i czekamy. W izbie błysnęło światło. A w zasłonie Anton już z wieczora zrobił dziurę, żeby było widać, co się dzieje w izbie. Spojrzał pierwszy Anton, podrapał się w głowę, aż skrzypnęło i mówi do mnie:

– Patrzcie sami!

Patrząc, stoi na środku izby Paraska, a przy niej – tyłem do okna – parobek Waśka, objęli się mocno, a on całuje ją w szyję, jakby zjeść chciał. W czapce był swojej barankowej, przechyliła mu się na tył głowy i w końcu spadła na ziemię. Suną się oboje do łóżka, a Parasia po drodze wyciągnęła rękę i zgasła światło.

– No – szepczę do Antona – rzecz teraz prawie wyraźna, nie wymówi się. Włazże teraz do izby, niech zobaczy, że wiesz o wstydzie jego... Tylko pamiętaj, bić na nic, sobie hańbę stworzysz na świat cały.

Myślałem, że Anton skoczy jak kot do izby swojej, ale on drapie się w plecy i prosi:

– Idźcie wy, ojczcie... A ja tu zostanę, żeby oknem nie uciekł. Nogi ma jelenie!

Złość mnie porwała na durnia.

– Cóż to – powiadam – ja z twoją żonką ślub brałem, mnie ona przysięgała? Nie będę ja, bałwanie, stróżem jej wierności, a twojej części nie dosmażonej. Sam wiesz, o co chodzi, więc idź... Twoja żonka i chata twoja.

– Zaraz – miamle baran bezrogi – namyślę się... Namysł zawsze potrzebny, a oni nie skończą prędko... Znam przecież Parasię...

Choć noc była, ale nie wytrzymałem: posłałem mu wszystkich czortów! I zawróciłem prędko do Andrzeja. Z tym – pomyślałem – głupcem, z tym łbem zakutym nie poradzi! Z daleka już słyszę głos bandury. Mrówki przeszły mi po plecach, ale wydało mi się, że może ktoś inny gra. Wchodzę do izby, przeciskam się do bandurzysty: siedzi sobie Waśka, jakby nie ruszał się wcale z miejsca! I gra, bestia, teraz do Naści znowu i śpiewa:

*Wiszczu ja sobi dumka smutnuju,
szczo ty, diwczyno, ne moja!
Ty ne moja i oczy czorny
kochaje winszyj, a ne ja!
I winszyj myłyj tebe pryhorne,
bo ty, diwczyno, ne moja!*

Przeżegnałem się. Nieczysta w tym wszystkim siła! Jakże to? dwóch ich jest na świecie, na białym? Bies tylko sztuki takie potrafi! Ale poczekaj, diable, mamy i na ciebie sposoby – myślę sobie – i za włosy cię złapiemy, modląc się do świętego Trofima cudotwórcy, i ręce zwiążemy sznurkiem poświęcanym, na którym noszę krzyżyk z Peczerskiego klasztoru! Chciałem już wołać Wasyla i pójść na pomoc Antonowi, a tu właśnie zagrał ktoś na skrzypcach, drugi na trąbie, inny znów na talerzu miedzianym i rozpoczęło się hulanie z tańcami. Poszła precz bandura, zginęła gdzieś w tłumie z muzykantem swoim, a za nią i Naścia wyniosła się cichaczem. W innej klatce złapiemy ptaszka diabłego – powiadam do siebie – i wyszedłem do sadu. Wywoławszy Wasyla, idę z nim do jego chaty i po drodze przygotowuję się do ciężkiej roboty naszej. Żeby pewniej ująć Waśkę dwuczłowieka, zabrałem z sieni Andrzejawej chaty zwój mocnego sznura, który wisiał w kącie. Tłumaczę Wasylowi rzecz całą, a on tylko zęby ściska:

– Jemu – mówi – albo mnie śmierć dzisiaj pisana. – Mocno kochał, nieszczęsny, żonkę swoją!

Niedaleko chaty Wasyla zobaczyliśmy biały kozuch Naści. Od razu poznaliśmy ją, choć noc była ciemna; widać niedługo przed nami wyszła do domu. Skradamy się za nią ostrożnie. Nikogo przy niej nie było, ale kiedy weszła do izby, usłyszeliśmy przeraźliwy jej krzyk:

– Hospodi! Isusie Chryste! Pomóżcie, ludzie dobrzy! Złodziej, rozbójnik!

Wpadliśmy co prędzej do izby. W ciemności ledwie można było dojrzeć, że Naścia trzyma za łeb jakiegoś chłopca, a czasu nie było zapalić światła. Zresztą i tak wiedzieliśmy, co to za ptak nocny. Więc związaliśmy go prędko sznurem, na głowę zarzuciliśmy worek i na dwór z nim! Ani słówka nie pisnął, ani bronił się, pomiot diabelski. Niedaleko od chaty Wasyla stał krzyż drewniany; przywiązałem Waśkę do krzyża tego sznur-

kiem poświęcanym i chciałem pójść po świadków, aby przygwoździć przed światem całą moc biesowską, aż tu patrzę: podchodzi Wasyl i zamierza się na leżącego ostrą siekierą! Z trudem zatrzymałem jego rękę.

– Wściekłeś się, czy co takiego? – mówię. – Zabić chcesz, jakby to był człowiek albo zwierzę! Obróci się żelazo na ciebie samego, a on rozwieje się w powietrzu, jeżeli grzechem własnym zechcesz go zgubić.

– Do Naści przyszedł, w ręce pogańskie chwycił! Leży teraz biedna, jęczy z trwogi okrutnej – ponuro odpowiada Wasyl – mówić ledwie może...

– Widzisz – uspokoiłem go – niewinna twoja Naścia, nie chciała i mówić po nocy z parobkiem, czortem sodomskim. Czegoś zawzięty? Śmiać by ci się z hańby jego biesowskiej! Pilnuj, żeby nie znikł gdzie, choć i krzyż go najlepiej pilnuje, a ja pójdę po ludzi dobrych, zaniesiemy Waśkę do starosty i tam sąd zrobimy nad nim. Strażnicy pijani już, wiedzieć nie będą.

A tu nagle zerwał się wichur mocny i spadł gęsty śnieg. Zakręciło się wszystko dookoła nas, rozległy się jakieś szумы i huki, zatrzeszczał stary, drewniany krzyż. Wasyl cisnął na ziemię topór i w nogi do chaty! Nie jestem ja bojaźliwy i znam sztuki biesowskie, ale wtedy zdjął mnie okrutny strach, bo wiatr uderzył mnie w oczy jakby mokrą płachtą i zalepił powieki śniegiem wilgotnym, białym. Tylko co odbiegłem, może z pięćdziesiąt kroków od krzyża, słyszę huk niezmierny za sobą, trzask ostry i ludzki jęk jakiś... Nie oglądając się pędzę dalej, choć wichur bije w twarz i puścić nie chce, ale pomogły modlitwy gorące! Pokryty śniegiem i zmęczony tak, że mówić nie mogłem, wbiegam do chaty Andrzeja i na progu spotyka mnie Waśka z bandurą!

– Gdzieżście, dziadziu, tak ubielili się? – mówi. – Z daleka widać wracacie...

Ze zmęczenia nie mogłem i głosu wydobyć z gardła, a Waśka wyszedł sobie z izby spokojny, śmiejący się chytrze. Kiedy odpocząłem trochę, wołam po kryjomu przed zebranym narodem najstarszych gospodarzy i opowiadam im cicho rzecz całą. Nie wspominałem tylko o tym drugim Waśce, żeśmy go widzieli z żonką Antona, ale że był tylko w jego chacie wtedy, gdy na weselu grał i śpiewał. Pokiwali głowami chłopci, widząc: nie wierzą!

– Chodźcie i zobaczcie sami – proszę – a niech i starosta idzie, niech zobaczy, kogo żywi we wsi swojej! Widzieliście, Waśka dopiero co wyszedł, a on tam, przywiązany do krzyża, leży dawno!

Dali się wreszcie uprosić. Wychodzimy na dwór: cud! ani wiatru, ani śniegu nie ma!

– Gdzież ten wichur diabelski? – pyta starosta. – Upił się stary i moroczy ludzi dobrych.

A sam, podlec, ledwie nogi stawiał i kolana mu się gięły, pijanicy! Podchodzimy do chaty Wasyla: nie widać krzyża! Pokazuję ludziom miejsce, gdzie zawsze stał, a oni żegnają się w przerażeniu.

– Panie, wybaw nas grzesznych... Hospodi, pomiłuj!

Wyrzeźwieli trochę ze strachu, a jeden wrzasnął: „Utikajte, dobre lude!” i uciekł.

Uciekliby może i wszyscy, ale zatrzymał ich ludzki proszący głos, zduszony, jakby spod ziemi:

– Och, pomóżcie duszy chrześcijańskiej! Nie zostawiajcie na zgubę nieszczęśliwego!

Ostrożnie podeszliśmy do miejsca, skąd głos było słychać. Widzimy, na ziemi leży krzyż, złamany u samej podstawy, a pod nim rusza się coś podobnego do człowieka i jęczy.

– Kto ty? – drżącym głosem zapytał starosta.

– Ja Anton – żałośnie piszczy. – Zdejmijcie worek ze łba, wyciągnijcie spod drzewa ciężkiego... Bóg wam nagrodi uczynek dobry, ludzie prawosławni!

Nie wierzyłem i oczom swoim, kiedy wydobyto z worka tego bałwana śmierdzącego! Anton, naprawdę Anton! Przywalił go złamany krzyż dolnym końcem i trochę tylko boki nadwyrężył, a nie mógł sam wydobyć się, bo był mocno związany. Na gwar ludzki wyszedł z chaty Wasyl. Pokazuję mu Antona, a że jeszcze nie byłem pewny, czy to nie nowa sztuka diabelska, więc mówię:

– Ot, kto niby jest ten wor, co złapaliśmy go w izbie twojej! Wiązaliśmy razem, czorta ciekawego, a on wtedy był na weselu, a teraz może podstawia nam za siebie dobrego człowieka! Krzyż złamał przecież! Nie chrześcijańska to rzecz krzyże przewracać... Do starosty z nim, zobaczymy, czy winny się nie znajdzie!

Prosił i błagał Anton, ale nic nie pomogło. Wsadziliśmy mu znowu worek na łeb i zanieśli do kancelarii, bo opierał się i krzyczał, że jest niewinny. Starosta mieszkał przy urzędzie, więc otworzył nam drzwi od kancelarii, do której wnieśliśmy Antona i rozwiązali.

– Tyś Anton? – groźnie zapytał starosta, choć i przyjrzał mu się dobrze przy zapalonej świecy.

– Och, ludzie dobrzy, a któż by był więcej czy mniej? – tłumaczy się Anton. – Zaślepiła was chyba moc diabelska!

– A cóż ty robiłeś w nocy w chacie Wasyla? Swojaka okraść chciałeś? Do żonki cudzej, baranie siwy, zachciało się podkraść nocą, cudzy miód zbierać?

Jak wszyscy poznali, że to naprawdę Anton, zaczęli drwić a śmiać się, ale nie do śmiechu było mnie i Wasylowi. Przecież – choć było wtedy ciemno – na pewno poznalibyśmy Antona przywiązaniu go. Chłop wyższy o pół głowy od Waśki, grubszy... Zamroczeni byliśmy widać siłą nieczystą! A Wasyl pyta dalej:

– Powiadaj, złodzieju, czemuś chwycił Naścię moją i całować chciałeś, bezbożniku? Przyjacielem się nazywał, z jednych stron przyjechaliśmy, swojacy, a ot družba z pogańskim synem!

– Wasylku miły – płacze Anton – nie ja złapałem Naścię, ale ona mnie za łeb złapała i krzyczeć zaczęła... A ja zląkłem się was obu, żebyście co złego nie pomyśleli, więc nie mówiłem nic. Ucieknę – myślałem – jak zostawię samego, nie poznawszy mnie... Rozum ciężki mój, bracia rodzeni! A przyszedł ja do chaty twojej, Wasylku, nie na kra-

dzień, ani żonkę swoją całować po nocy... Chłodno było na dworze, chciałem posiedzieć w izbie, póki nie wrócisz.

– Nie masz to swojego domu? – nieostrożnie przerwał Wasyl.

Anton zająknął się, ale musiał przecież odpowiedzieć.

– U mnie... tak, u mnie... widzisz... drzwi były zamknięte, żonki budzić nie chciałem... sen ma twardy baba...

– Ho, ho, ho! – zaśmieli się wszyscy, aż szyby zabrzęczały. Starosta, choć niezupełnie jeszcze trzeźwy, zrozumiał, że to jakieś żarty, więc posłał nas do czorta i wygonił z izby, klnąc okropnie i grożąc, że do sądu odda za złamanie krzyża.

Chłopi wrócili na wesele, bo słychać było z daleka muzykę i tańce hałaśliwe; ciągnął pijaków zapach gorzkiej. A my we trzech, to jest ja, Anton i Wasyl, uradziliśmy pójść do Antona i zobaczyć oczami własnymi drugiego Waśkę.

Przychodzimy: w oknach ciemno, a drzwi zamknięte. Stał Anton pod oknami, żeby nikt nie uciekł, a my do drzwi.

– Otwórz! – woła Wasyl i wali pięścią w deski.

– Poczekajże, pijaku – odpowiada babski głos – światło zapalę.

Aż tu słyszymy na dworze krzyk: „Łapaj złodzieja!” Wybiegam z sieni... krzyk ucichł nagle. Stoi Anton pod oknem, okno otwarte, a dokoła ni żywego ducha.

– Uciekł? – pytam.

– Uciekł! – szepcze Anton. – Szablą zamierzył się, zabić chciał.

– Kto?

– Żandarm przeklęty, po wąsach rudych poznałem zbója.

Zupełnie oglupiałem! Staliśmy tak obaj dość długo, patrząc w zdumieniu na siebie... wtem słyszymy na drodze głosy ludzkie i śmiech. Podchodzi do wrót Paraska z parobkami, śmieją się wesoło, żartują.

– To ty, Parasiu? – zapytał Anton.

– Ona, ona! – odpowiadają parobcy. – Odprowadzamy ją, żeby ci jej nie złapał po drodze bies jaki czarnobrewy.

– Wyspałeś się? – dziwiła się Paraska. – A ja myślałam, że jeszcze leżysz za piecem u Andrzeja. Nawet byłam niedawno w domu po pałkę twoją, żebyś miał się czym podpierać za powrotem. Leży tam ona przy polanach, pod twoim kożuchem.

Tymczasem w izbie ktoś zapalił lampkę naftową. Spojrzałem przez okno otwarte: baba jakaś młoda stoi przy stole i spódnice poprawia.

– Senia, siostra! – szepcze Anton, uradowany jak dureń przy czesaniu konopi.

Teraz już do reszty pokręciło się w głowie i mnie, i Wasylowi, który wyszedł z sieni do nas, bo o tym byku twardogłowym, Antonie, i mówić szkoda: nie myśli on dalej, niż cień mu od nosa padnie po południu. Splunąłem mocno i bez pożegnania poszliśmy z Wasylem do jego domu. Długo stukaliśmy, zanim otworzył nam Waśka w bieliźnie, zaspanego udawał, dusza sobacza!

– Dawno przyszedłeś? – pyta Wasyl.

– Dopiero co – odpowiada – ale wypilem za dużo, sen od razu zmorzył.

– A Naścia śpi?

– Nie wiem, czy wróciła już... Nie wchodzę przecież do izby waszej, bat'ku Wasylu. Przy mnie tu nie wracała.

Jak tylko rozedniało, siadłem na swój wóz i uciekłem z miejsca przeklętego. Nie moja siła mierzyć się z modnym czortem dzisiejszym. Pańskie ma on sposoby, delikatne, nie pojdziesz, gdzie i za co chwycić podleca. Gra i śpiewa, muzykant piekielny, łapą swoją białą nie boi się przeżegnać. A jak nakręci, namota, napłacze sprawy ludzkie: nie nasz chłopski, ani niczyj w świecie rozum, żeby rozplątać robotę diabelską!

Ale widzę jasno, że nie mógłby on szkody żadnej zrobić ludziom dobrym, żeby nie pomoc babska. Słyszałem ja od Polaków przysłowie ichnie, że gdzie bies nie może, tam posyła babę. Najlepszy to jego sposób czortowski. Nie tylko oszukają cię razem, baba z czortem; to jeszcze nic, zawsze zdarzało się, że zła moc oszukiwała ludzi prawosławnych. Ale najgorsze to, że na śmiech ludzki cię wystawia, obnoszą razem po świecie białym na pośmiewisko, jak chochoła grochowego! Nie bywało tak dawniej! I teraz nie bywa tak z tymi ludźmi, którzy znają dla baby miejsce jej prawdziwe w świecie. Bieda tylko, że my starzy tak myślimy, a póki który młody, już i gwiazdka ona dla niego, już cudo nienapatrzone, słoneczko jasne, ptaszek Boży śpiewający, choć w przepaść leć za nią, podłą! A tu przychodzi bies i łap za gwiazdkę, jak za łyżkę, i wyjada nie tylko słodkość żonki twojej, ale pasie się wstydem twoim i hańbą twoją weseli, a duszę niepokoi, aż zaprowadzi do zguby wiecznej.

Choć prawdę powiedziawszy, to i my starzy dlatego tylko patrzymy złym okiem na dziewczęta i młode baby, że one nie chcą niczego więcej od nas, jak od matek albo ojców swoich. A niech no która przyczepi się, z przyczyny majątku albo dla ukrycia grzechów swoich, do siwego starca, który nie ma dla obrony swojej szczerbatej i łysej żonki z młodych lat: ot, jakby wódka mocna, zamąci rozum we łbie i widzisz dziada, jak z tęsknoty okrutnej darmo drapie się po starych kościach i miamle, bezzębny, do wybranej: „Gołabeczek nienapatrzona!” Nie trzeba więc się dziwić, że zmądrzał nareszcie bies chytry i używa dla chwały piekielnej nie starych bab, jak dawniej robił, ale młode żonki i dziewczęta. Może i zbrzydził sobie kościste i krostowate wiedźmy, może i jemu dokuczyły językiem swoim nieujętym, duszą swoją ciemną? I tak chce czort, czy nie chce, będą mu one druzkami dobrymi, ale odstraszą tylko dobrych ludzi od jego sideł zdradzieckich. A młode liczko rumiane, ramionka białe, nóżki proste – ech, co i mówić, sami wiecie – wszystko to lepiej niż dudka w lipcu wabi do zguby przepiórki – rodzaj nasz chłopski, bezbronny. Ani modlitwa, ani pop tu nie pomoże! Chyba już odwrócił Bóg oblicze swoje od nas grzesznych, kiedy oddaje na ofiarę niechybną tej spółce przeklętej: młodej babie z czortem!

Zmora

1

*Hej tam sereď stawu,
u tychym młynoczku
porodyła mołoda diwczyna
kozaćkoho syna,
porodyła taj utopiła
sereď stawoczku.*

Słońce świeciło lipcowe, gorące, a nad głową młodej Hanny zawisała ciemna i mroźna noc. Szła między wysoką pszenicą ścieżkami ciepłymi, ale ostry chłód mroził jej bosc nogi, coraz ostrzejszy, boleśnieszzy. Szła coraz wolniej, jakby w obawie zbłądzenia, a może chciała zbłądzić? Bo straszny był koniec jej drogi, straszną była myśl, że ścieżka ta prowadzi do niskiego brzegu Horynia, gdzie stać się musi coś tak bolesnego, że na niewyraźne wspomnienie o tym dusza Hanny zwijała się i kurczyła jak wąż leśny, zraniony kamieniem.

Niosła na rękach dwuletnie może dziecko, w samej tylko koszulce, białe, śpiące, ciche jak trup. Drobnymi rękami obejmowało szyję dziewczyny, twarz zwróciło do słońca, ale nie było uśmiechu na tej twarzy, tylko skrzywienie jakieś bolesne, jak u starca ojca, którego syn wyrodny wygoni za próg w burzliwy zimowy wieczór, aby na mroźnym wichrze zasnął snem nieprzebudzonym.

Błysnęła rzeka Horyń... Już! Musi się stać, musi! Przekleństwo jakieś twardym kuliakiem pchało Hannę ku rzece.

Dusza wyrywała się w tył jak skazaniec, ciągnięty łańcuchem żelaznym pod szubienicę, a nogi szły wciąż bliżej i bliżej do straszego brzegu. Aż doszły bagnistą łąką do oczeretów przybrzeżnych, niskich, rozwichrzonych. Tuż za nimi bystro toczyły się fale niespokojne, szemrzące niecierpliwie, jakby oczekiwały na spełnienie się czynu okropnego.

Kiedy radość jasna, wielka, lub czarna rozpacz ogarną mocnym uściskiem duszę ludzką, dziwnie wyraźną wydaje się mowa martwych rzeczy. Żaden człowiek żywy, żadne zwierzę ani owad nie powie ci głosem żywym tego, co wykrzyczy omszały kamień na rozstaju, kurhan zielony, dąb rosochaty, głęбина ciemna rzeki lub prosty kwia-

tek na łące. Jeśli w dusznej rozpaczy wpatrzysz się w rzecz martwą, odwieczną, odezwij prędko oczy i uciekaj za bory – lasy, śpiewaj sobie głośno, aby nie słyszeć niczego więcej, tylko głos swój, szukaj człowieka, psa, wilka, kruka, motyla, byle tylko żywego stworzenia i mów z nim, krzycz, proś... Bo rzecz martwa zawołała na ciebie władnym głosem bezsłownym, jak pan twój najpierwszy i ostatni, i nie oprzesz się, nie uciekniesz, nie zmienisz rozkazu strasznego!

Wpatrzyła się Hanna w szumiące wody głębokie. A od nich przyszedł głos, rozkaz nieodparty, co w duszy dziewczyny zamienił się w twarde słowo:

– Musisz!

Zamarło serce do szczytu. Już teraz ręce zrobią, co każe ciemna głębina, co wyszumią oczerety przybrzeżne. Zsunęła Hanna dziecko na ziemię bagnistą i posadziła mocno, aż zanurzyło się po pas prawie w grząskie trawy. Ostra, już nawet nie bolesna myśl roziskrzyła się w głowie dziewczyny:

„Czekaj tu, Marusiu, gwiazdeczko jasna! Pójdę na drogę bitą, niedaleką, wrócę zaraz. Przyniosę kamień ciężki i gładki. Zerwę z szyi sznurek jedwabny, na którym wisi krzyżyk, co dał mi za ochronę przed złem stary diak z Konotopa. Przywiążę kamień do rączek twoich maleńkich... żebyś nie męczyła się długo, świecie mój nienapatrzone, żeby nie wyrzucił cię bies podwodny na niskie oczerety, na mękę twoją. Żeby cię wessał prędko muł rzeczny, żeby raki czarne nie rozerwały ciała twojego biednego. Nie matka rodzona zamknie ci siwe oczka, ale chłodne wody ciężkie... Nie ojciec położy na ustach twoich sineńskich ostatni pocałunek, ale łyły szare dna głębokiego... Nie płacz, kotyniatko biała, kurczątko moje serdeczne, bezbronne...”

Dziecko coś mówiło, wyciągało rączki do góry. Ale urzekła Hannę woda przeklęta, nie żyło już w niej serce. Poszła prędko ku gościńcowi i wróciła z kamieniem. Kiedy palce jej przywiązywały kamień do rączek Marusi, zsunęła się licha koszulka z maleńkich, chudych ramion i odsłoniła kościste plecki, całe w krwawych sińcach i ranach. Zadrzała Hanna, straszny ból ocucił ją na chwilę i zdawało się, że odrzuci precz od siebie kamień, chwyci dziecko w ramiona i ucieknie daleko od wody uroczej. Ale zaszemrała głośniejsze i gniewniejsze bystra rzeka, ściemniało znów słońce – co na chwilę, choć tylko bólem gorącym rozbłysło – i rozległ się słaby krzyk, głośny plusk wody, a potem spokój wrócił na gładkiej równinie wód niebieskich, w mokrych oczeretach, na łągach zielonych i żółtych pszenicznych polach, na świecie całym.

A w niedalekim chutorze, ukrytym w dolinie leśnej i sadach wiśniowych, czekał na powrót Hanny Iwan Chońka, olbrzymi chłop, młody, z czarnymi wąsami do pasa prawie. Siedział na wąskiej ławie pod okienkiem, na dobrą piędź szerokim i długim, rozłożył szeroko na stole łokcie i słuchał opowiadania starego dziada, który stał pod piecem i mówił tyleż słowami, co rozłożystym ruchem rąk i błyskiem zapadłych głęboko w zmarszczki, bystrych oczek starczych.

– I poszli ku Kaczorówce. Poszedł ja za nimi, niebezpieczna droga, ale kazali pany oficery, sam jenierał mówił: „Nie zapomni ci matuszka caryca usługi twojej.” Iwasiu!

Na cóż chcesz tych opowiadań moich? Mówił ci ja wczoraj – durniowi mówić się chciało, zwyczajnie, stary chrzan – a ty słuchał, a potem wzbiesił się i dzieciątko małe poranił. Wódki się napij, przepij dolę swoją, zapomnij o głupich słowach moich... Dobra dziewczyna Handzia, po cóż gonisz ją od siebie? Pocałuj ją w usta czerwone, gorące i daruj winę biednej. Nie budź Marusi twardym rzemieniem i pięścią twoją kozacką, lecz słowem dobrym, ojcowskim. Daruj im obojgu, niewinnym...

Słowa starego były łagodne, ale oczka błyszcząły okrutnie, a ręce jak u pajaka okręcały się w powietrzu, jakby chcąc chwycić jakąś ofiarę.

– Za późno! – odpowiedział Iwan. – Mów, Choma, mów wszystko. Ty nie wiesz, jaką mi robisz usługę. Wczoraj bies we mnie wstąpił, oczy czerwonym suknem zasłonił, w uszach zaszumił jak koło młyńskie. Nie słyszałem wszystkiego.

Choma zbliżył się do stołu i zaczął mówić przyciszonym głosem:

– W Kaczorówce u Ostapa stanął na mieszkanie ich ataman, w czerwonym kontuszu i z szablą z złotą rękojeścią. A koło niego było służby samej ze dwudziestu. Biorą wołu u Ostapa i mówią mu: „Zarznij!” A on płacze: „Nie będę sam gubił siebie, zostało mi to jedno bydło, czym będę orać jesienią?” Konfederaty w krzyk, a nie było przy nich żadnego chłopca, sami szlachcice, bo wszyscy kozacy a hajducy uciekli dawno. „Nie będziemy sami rżnąć – mówiąto sprawa twoja, chamska, a donia twoja ugotuje nam barszcz z tego wołu.” Ale twardy był Ostap, nie chciał słuchać! Głowę mu pocięli szablami, upadł, serdeczny, na progu stodoły i nie wstał więcej. Widziałem potem wszystko. Cicho robili, bo ataman spał, budzić nie było bezpiecznie, człowiek był sprawiedliwy. Poszedł wół, poszły gęsi pod szable, czerwono a pierzasto zrobiło się na podwórzu Ostapa. Handzia gotuje w kotle wielkim pod lipą, ani wie, że ojca zabili... Najedli się, wieczór zapadł. Biorą pochodnie i idą spać do stodoły na słomę. „Prowadź!” mówią do Hanki. Nie chciała! Powlekli za ręce, zanieśli prawie, a usta zatkali fartuchem. W stodole dwóch świeciło, a inni wszyscy po kolei... Śmiech, żarty, nawet bójki były przy niej, nieszczęsnej. Leżała w poszarpanej spódnicy, ani broniła się pół martwa z bólu i strachu...

– Widziałeś wszystko? – ponuro zapytał Iwan.

– Widziałem... W stodole były szpary szerokie... Uspokój się, Iwasiu, zwyczajnie to przecież, wojna! A potem huk, przyszli Moskale z fuzjami. Konfederaty bez strzelb, więc w nogi! Co ich pogoniło, to pogoniło, ale we wsi zostało trochę czortów przeklętych. Mówię do nich: „Ratujcie duszę chrześcijańską, choć i babską, tam konfederaty do pół śmierci umęczyli dziewczynę!” Poszli, ale nie na ratunek, zbóje brodate... Hej, patrzeć nie mogłem dłużej!

Migotały, jak iskry nocą na błotnych mogiłkach, rysie oczka starego. Patrzył w nie Iwan długo i spokojnie, nie gniewał się ani smucił, choć dostrzegł wyraźnie, że Choma przyszedł tu z opowiadaniem nie z miłości dla niego i nie po to, aby wygadać się. Wiedział Iwan, że stary lat parę szukał go po świecie, zanim znalazł w gęstym borze nad Horyniem, gdzie Iwan skrył się przed pościgiem zarówno konfederatów, których palił

śpiących po wsiach, jak i Moskali, tępionych przez niego pojedynczo na drogach leśnych dla zdobycia broni i prochu. Więc zapytał ostro:

– Czego ty, Choma, chcesz więcej? Nie prosił ja ciebie o opowiadania. Powiedzia-
łeś, dziękuję ci, ot i dosyć! A ty wierzysz się jak mysz w garnku, łypiesz ślepiami szary-
mi... Co ty masz za kołnierzem, czorcie stary? Ani cię ja złotem obsypię za wieść two-
ją czarną, ani ze złości nie zakopię żywcem do ziemi, jak zakopywał nieraz szlachci-
ców i Moskali, brodaczy wszawych.

Zwinął się Choma, jak żmija jadowita, gdy zobaczy czerwono nogiego króla węzów,
bociana. Poznał, że nie oszuka mołojeckiej duszy kozackiej. Ale poznał też, że serce
Chońki nie jest zranione jego słowem, kindziałem zabójczym, że w duszy kozaka zbudził
on więcej ponurej radości niż gniewu. I stary lis wiedział już, jak mówić dalej. Lep-
kim, ciekawym wzrokiem przesunął po ścianach izby, jakby szukając odpowiedzi na
utajone pytanie: „Co tu się stało?” Ściany milczały. Okrągłe, potężne pnie sosnowe,
świeżo poprzetkane mchem i grochowiłą, wiele musiały widzieć i słyszeć, ale nie
oczami widziały i słyszały nie uszami, a ust ni języka ludzkiego nie mają. Rozradują cię
lub zasmucą wtedy nawet, gdy wichur jesienny głuzyć będzie twoje uszy, a ciemna noc
zasłoni wszystko przed oczami, ale ukochać je musisz przez boleść wielką lub szczę-
ście wielkie, nienazwane. W oczach Chomy błyskała tylko chytrłość, a nie sięga chy-
trość ludzka dalej, jak tylko do ludzi... Odsunął się stary pod piec i czekał w milcze-
niu, nie odpowiadając na pytania Chońki.

Mocny wiatr szumił rozgłośnie w bliskim borze. Zasłuchali się w szum leśny obaj
Kozacy, obaj szukali odpowiedzi na ciężkie, gryzące pytania swoje. Aż otworzyły się
ze skrzypem niskie drzwi izby i weszła Hanna, blada jak widmo księżycowe. Bez sło-
wa podeszła do okutej dębowej skrzyni, otworzyła wieko i zaczęła wyjmować strojne
swoje suknie, zdobne korabliki na głowę, czerwone buty, wszystko zagrabione po dwor-
rach i klasztorach, u Żydów i wrogich Kozaków, kupione wreszcie w tajnych składach
rozbójniczych, wojennych, gdzie składał łup swój i Kozak zaporoski, i Moskal maru-
der, i szlachcic konfederat, gdy z duszą za ledwie i workiem pieniędzy uciekać musiał
w świat szeroki. Wyjęła Hanna naręcz całą brzęczących paciorków szklanych, czerw-
nych, zielonych, niebieskich, żółtych, błyszczących oślepiająco w słońcu. Odłożyła sta-
rannie na ławę zwoje szerokich wstęg kolorowych, którymi zdobią dziewczęta czarne
swoje kosy i okrywają, niby tęczą żywą, szerokie rękawy śnieżnej, wyszywanej u ra-
mion koszuli płóciennej. Patrzył na robotę jej Iwan, zimno i tępo, aż zapytał:

– Gdzie twoja Marusia?

Czekała widać Hanna na to pytanie, bo zaraz odrzekła cichym, spokojnym głosem:

– Kazaleś, Iwasiu, utopić. Utopiłam w głębinie rzecznej. Już nie pokrwasz pasem
nabijanym maleńkiego dziecka naszego.

– Czyjego? – warknął Iwan. – Ilu ich tam było w Kaczorówce, mężów twoich lu-
bnych? Który Lach przekłęty czy Moskal brodaty był ci najmilszy, żeś na ojca Marusi go
wybrała, suko plugawa? A ot, trzy lata jak siedzisz ze mną, i żebyś choć słowem jed-

nym wspomniała, że łapy lasze i żołdackie obrobiły cię, jak czumak glinę na garnek. Wlekł się za mną i za bratem twoim, zdrajcą, co druha serdecznego udawał, a wiedział o wszystkim, tylko ukrył głęboko w duszy swojej czarnej i podstępnej. Wczoraj jeszcze przy słońcu jasnym, świadku jego podłości, pytał mnie: „A kiedy jedziemy do Korca, czas by już w cerkwi uświęcić życie twoje z Handzią, ni panna ona, ni zamężna...” Od wczoraj on wróg mój śmiertelny, a ty włóczęga wieczna! Pies nie zechce mieszkać z tobą, sowa nocą omijać cię będzie! Szukaj sobie dida leśnego, czorta na strychu młyńskim, upiora na rozdrożu!

Głośno mówił Chońka, walił pięścią żelazną w stół, ale skurczony pod piecem Choma rozumiał dobrze, że udaje gniew Kozak prosty i młody jeszcze. Może rozumiała to i Handzia, bo ciszej jeszcze odezwała się, gdy Iwan umilknął na chwilę, krzykiem i udanym gniewem znużony:

– Iwasiu, nieprawdę mówisz, sokole, nie wzywaj słońca na świadka, bo spali cię karzącym ogniem. Twoja była Marusia utopiona. Sześć niedziel przeszło już od czasu, jak byłeś w Kaczorówce i tuliłeś mnie na pożegnanie noc całą w sadzie ojcowskim, zanim przyszli konfederaci, zanim sierotą zostałam. Była już wtedy Marusia. Strach mnie brał przed ojcem, ale złociło mi duszę szczęście, że noszę twoje dzieciątko, że kochasz mnie... Po cóż ci miałam mówić o tej strasznej nocy, kiedy mnie... Broniałam się... zmogli, przecież chłopcy mocne, zajadłe. Myślałam, że nigdy nie dowiesz się tutaj, w borach tych dalekich... Iwasiu!

– Won z chutoru! – wrzasnął Chońka. – Won za siódmą górę, za siódmą rzekę! Na pośmiewisko ludzkie mnie wydałaś... Mówią już pewnie w okolicy całej, że śmieć po szlachcicach i żołdatkach w domu swoim trzymam!

Placz ogromny wstrząsnął ciałem Handzi. Przywlekła się na kolanach do butów Chońki, całowała je i prosiła:

– Nie wyganiaj, Iwasiu, nie wyganiaj! Pójdę ja teraz sama do Korca, w cerkwi świętej pomodłę się, wypowiadam przed popem z winy swojej strasznej. Bóg dobry, w serce patrzy. A boli mnie tak bardzo, że i na krzyżu nie miał on większego bólu w godzinie śmierci swojej. Daruje, przebaczy na pewno. Ubiorę się jak dziewczyna i dziewczyną niewinną wrócę do ciebie, Iwasiu... Bóg dobry!

Chońka roześmiał się strasznie, głęboko:

– A wróc i dziewczyną, ale nie do mnie, zmijo kłamliwa... Ale ty nie wrócisz, bo będzie już tu Oksana, co cię przyjmie pałką sękatą, dębową. I każe jej, ażeby waliła w rozmachu a długo, bo skóra twoja, jak i sumienie sobacze, twardą być musi. Tarli ją w Kaczorówce... nie przetarli!

Pod piecem kurczył się coraz bardziej stary Kozak Choma. Przymknął szare oczka i nie można było dostrzec, raduje się, czy żal mu dzieła swojego. Aż nieznacznie przysunął się do otwartych drzwi i zniknął w sadzie wiśniowym, w szumiącym borze, w głębokich, cichych zawsze jarach wilgotnych.

*Czy w pole ne pszenyczka była?
Czy ja wisnoj ne zelena ćwiła?
Wziały mene taj pozały
taj w puczoczki powięzały,
horka ż dola moja!*

– Handziu, dziecię miłe – mówi stary Choma – siądź na wóz, podwiozę, gdzie zechcesz. Błada jesteś, chora. Szkoda nówek twoich małych, nie litują się nad nimi ani trawy ostre, ani twarde kamienie, ani kolący głóg przydrożny. Jadę w tę stronę, gdzie i ty idziesz, sierotenko biedna.

Ubrany był Choma jak do cerkwi na Wielkanoc. Wysoką barankową papachę zdobiła u góry wielka złota sprzączka z błyszczącym czerwonym kamieniem. Na białym kożuchu ponaczepiał mnóstwo złotych i srebrnych zapinek, bransolet, gwiazd perłowych, zerwanych z siodeł pańskich, łańcuszków, na których brzęczały nanizane pierścienie i sygnety szlacheckie. Gdyby Handzia miała jeszcze choć jeden uśmiech w swojej duszy, rozweseliłaby się na widok tego bogactwa. Długie, siwe miotły wąsów starego Kozaka zwisały ostrymi końcami na piersi, równo, gładko, widać wysmarowane starannie i uczesane. Siedział na wozie, wstrzymując ciągle parę wysokich, karych koni, które rwały się do szybszego biegu. Droga była stara, zapuszczona, miejscami rosły na niej białe brzoźki i czerniły się głębokie deszczowe wyrwy.

– Daleko idę, ojcie Choma – odrzekła Handzia – nie dojedziesz tam końmi swoimi. A drogę już pokazałeś mi, niech święta Matka Boża zapomni ci o tym w godzinę śmierci twojej. Nie mam żalu nawet do ciebie, musiało się tak stać. Dola moja winna sieroca...

Choma zsiadł z wozu i zatrzymał konie, uwiązawszy je do gałęzi sosny. W milczeniu szli obok siebie. Blisko podsuwał się Kozak do dziewczyny i wreszcie objął ją ramieniem. Nie broniła się, słaba była i zmęczona.

Przytulił stary Hannę mocno i zaczął szeptać:

– Dokąd ty pójdziesz, jagnię niewinne? Brat cię wygnał, nie zniósł sromoty, żeś dziecko własne utopiła. Iwan dziś może jeszcze sprowadzi Oksanę z Mielnicy – przecież on, gołąbko, dawno już chciał cię wygnać – sprzykrzyła się wilkowi owca, skosztuje tłustej gęsi. Chodź ze mną! Daleko, w kraju twoim rodzinnym mieszkam, jak dawniej, bogata i szeroka ziemia moja własna, biała chata i skrzynia pełna monistów a koraliki czekają na ciebie. Kochał ja ciebie lata całe, słoneczko moje jasne. Jak uciekłaś z Iwanem w świat, w kraje dalekie, nieznane, nie miałem dnia bez szukania ciebie ani nocy bez myśli o niedoli twojej, bez tęsknoty serdecznej... Ja jeden zostałem ci na świecie... Będę całował nóżki twoje bose, będę spał w stodole, z dala od pościeli twojej – nie dotknę ręką, nie skrzywdzę słowem, nie spojrzę na ciebie, gdy nie ze-

chcesz – tylko jedź ze mną, do mnie, na zawsze, Handziu, świecie mój, Handziu cudna...

Prosił Choma stary, miękkie słowa miłośne płynęły gładko z jego suchych, skrzywionych wiecznie ust. A oczy jego ponuro błyszczały, groziły prawie. Coś nieludzkiego taito się pod gęstwą siwych brwi, skręconych i długich, zwisających z wysokiego czoła nad same źrenice. Wpatrzyła się Hanna w pomarszczoną twarz Chomy i może by uległa jego prośbie, bo wielkie znużenie gniotło jej duszę i ciało młode. Ale nim wyrzekła słowo, krzyk żalсны, przeraźliwy, choć cichy rozległ się w pobliżu. Potężny jastrząb tuż nad głowami idących schwycił gołębia białego. Spod szponów drapieżnika trysnęła grubymi kroplami czerwona krew i ubarwiła bladą twarz Hanny. A stary Kozak roześmiał się cicho, strasznie. I śmiech ten, krótki i urwany, powiedział więcej i wyraźniej, niż spodziewała się usłyszeć i zrozumieć młoda Kozaczka. Odepchnęła starego i skoczyła pod pień najbliższej sosny. Oczy jej, zamglone dotychczas bólem niezmiernym, rozszerzyło przerażenie i była naprawdę cudną. Niebieski, złotem przetykany korablik zsunął się z jej głowy na ziemię wraz z dwoma pękami kolorowych, długich wstążek, dwa grube czarne warkocze zwisły z pochylonej główki do kolan i stała tak na stosie barwnych wstąg, obejmując jednym ramieniem sosnę, w trwodze okrutnej, w mękach strachu bezsilnego.

– Co ci się stało, Handziu? – zapytał zdumiony Choma, chcąc podejść do przerażonej dziewczyny.

– Stój tam, nie podchodź! – krzyknęła, a w głosie jej było coś tak groźnego, że zatrzymał się Kozak i obejrzał dookoła, jakby szukając przyczyny swojego posłuszeństwa.

– Wiem już, kto ty jesteś! – mówiła dalej Hanna, prędko, chcąc jednym tchem wypowiedzieć całą swoją trwozę. – Ty sprowadziłeś konfederatów do Kaczorówki, ty wydałeś ojca mojego na łutą śmierć! Chciałeś porwać mnie bez mojej woli, gdy nie stało obrońcy mojego. Na brata, na Iwasia zdradziecką pogoń Moskali nasłałeś... Ale wybawiła ich Matka Boża i mnie niegodną... A teraz odszukałeś w borach ciemnych moje szczęście i słowem zabójczym uderzyłeś – umarło – umarło na wieki! Jak pajak muchę, jak jastrząb gołębia trzymałeś los mój w szponach ostrych, krwawych... Przejrzałam cię teraz – widać Bóg nie chce zguby mojej ostatniej – dał mi wzrok sokoli w przedśmiernej godzinie! Tyś nie Choma, tyś diabeł, bies nasłany, czarownik przeklęty przez Boga i ludzi. Nie będę ja twoją! Nie pójdę z tobą! Zbrodnia straszna okuła duszę moją żelaznym łańcuchem, ale nikt mi za nią nie dał ani pieniędzy złotych, ani radości jasnej, ani ziarnka zboża, ani wody kropli. Nie sprzedałam dzieła straszego... Omyliłeś się, diable podstępny, ochroniła mnie siła niebieska. Myślałeś, że kupię za utopienie Marusi choćby jeden uśmiech Iwasia mojego... i wtedy już nic nie uratowałoby mnie z łap twoich żarłocznych. Myślałeś, że za zbrodnię moją wezmę bogactwa, co kupiłeś u Żydów za pieniądze, u Lachów i Moskali za zdradę, u czorta – pana twojego – za krew chrześcijańską, za dusze prawosławne! Ale nie wzięłam nagrody żadnej, karę tylko –

ale dla mnie, jak dlatego gołębia, co w jastrzębich pazurach skonał, już zgasło słońce – a z serca mojego nie radość ani spokój, ale krew płynie, jak ta krew ptaka białego, co mam ją na twarzy...

Zaśmiał się Choma po raz drugi, a śmiech jego był tak głośny, że pochyliły się do ziemi białe brzoźki na drodze, posypały z drzew rosochate szyszki sońniane i echo stokrotnie powtórzyło w głębi lasu okropne, dzikie: „Ha, ha, ha!” Z ciemnej gęstwiny równych pni sosnowych wyłaziły gromadkami pokraczne postacie złych duchów, na pajęczych, to znów grubych, pokręconych nogach, z głowami ptaków, zwierząt nieznanych, ludzi. Śmiech Kozaka wywołał śpiące na chłodnych mchach wiedźmy okrutne i przybiegły, jakby na ucztę upragnioną, rozwiewając w pędzie rzadkie kosmyki suchych, trzeszczących jak słoma włosów i kłapiąc szczerbatymi szczękami, czerwonymi jeszcze od krwi dziecięcej. Przybiegł w podrygach wesołych złośliwy did’ko leśny, a za nim zakłębiły się chmurą czarną kruki i wrony, kracząc przeciągle. Podsuwały się niepewnie, cicho, skręcone sznury zmij, wilk szperał nosem po ziemi, ryś czaił się w gałęziach leszczyny, świecąc okrągłymi ślepiami i warcząc głucho.

– Zbrodniarka! – zaszumiał groźnie las odwieczny. – Zbrodniarka! – zaszepotały przy drodze niebieskie dzwonki i żółte rumianki gwiazdziste.

– Dzieciobójczyni! – zawył tłum potworów leśnych.

Ciemna chmura nadbiegła i zasłoniła słońce. Pociemniało na leśnej drodze, a krzyk diabelski wzmógł się, rozszalał burzą północną. Jakiś chrapliwy, ptasi głos zawył z od-dali:

– Drogę dajcie! Niesiemy...

Dwóch czerwonych biesów z pyskami raka ciągnęło po wybojach drogi jakiś ciężar biały. Wpatrzyła się Hanna... Dziecko! Dwa sznury z zielonych oczeretów plecione, przywiązane do małych nóżek... Główka odrzucona w tył, rączki bezwładnie wleką się przy twarzy... twarz sina, sineńka, trupia.

– Marusia! – krzyknęła Hanna i rzuciła się na wleczone dziecko.

Ale prędzej dobiegły kosmate wiedźmy i kruki żarłoczne. Nim dotknęły Marusi ręce matczyne, krwawa kurzawa została po małym jej ciałku. Wirem bystrym zakręcił się świat w oczach Hanny i upadła na ziemię, zgasło światło w jej oczach karych. Usłyszała przecież ostatnie słowa Chomy, co ostrzem igły wkręciły się w jej gasnącą duszę:

– Będiesz ty moją, Handziu, sama przyjdiesz w ręce moje!

Okrągły, srebrny księżyc wysoko wzniosł się na ciemnym niebie, gdy Hanna powstała z ziemi i poszła nie drogą już, lecz czarnym borem nieznanym. Nie oczy ją prowadziły, lecz ręce wyciągnięte, przez bezmierne głębie pni sosnowych. Szła długo, prędko, uciekając od straszego miejsca, gdzie Choma wywołał przeciw niej okrutne moce leśne. Nie straszły już jej żadne głosy zwierząt dzikich, ptaków nocnych ani duchów złośliwych, gorszych od wszelkiego złego stworzenia. Uciekała, póki niosły ją nogi, póki znużone piersi oddychać mogły. Coraz wolniej i wolniej szła puszcza martwą, aż na małej polanie, srebrnej od promieni księżyca, uklękła i przycisnęła twarz do

zroszonej ziemi, szepcząc żałośnie, cicho:

– Nie będziesz miał, Iwasiu, trudu żadnego z pogrzebem moim. Nie wyniesie mnie woda na brzeg zielony, nie zapłacisz cieśli za trumnę klonową. Wilk szary rozwlecze mnie po lesie, kruki wydziobią oczy moje karę, z włosów moich więc gniazda będzie ptak leśny. Nie udusi mnie woda rzeczna, nie zgniecie mi głowy pięść twoja mocna, kozacka. Zabije mnie boleść moja, cięższa niż wszystkie wody morskie, mocniejsza od pioruna, większa niż świat cały, niż niebo i piekło... Zamrę tu cicho, jak trawka skoszona uschnę. Odchodzę, Iwasiu, odchodzę na zawsze, nie przeklinam ciebie ostatnią myślą, nie przeklinam nikogo...

Słuchała ziemia chłodna coraz cichszych słów Hanny. Słuchał Bóg wielki w niebiosach i czart, wróg jego, w czeluściach boru. Ale kamiennej ciszy nie przerwał żaden głos ziemski, Boski ni diabelski i nikt nie spłoszył strasznej, bolesnej śmierci młodej Kozaczki.

3

*Hej, nu wy, chłopci, hami mołojci,
czom wy smutny, ne wesety?
Chyba u szynkarci za mało wodki
pywa taj medu za mało?
Wypyły wodku, znów naliwajcie,
szczzo b czerez kraja liłosia,
szczzo b nasza dola nas ne curała,
szczzo b lipsze w świti żyłosia!*

Szumnie i gwarno w żydowskim szynku, co na rozstaju pięciu dróg, pod samym lasem, przysiadł jak chytry czynownik moskiewski, czyhając na ostatni grosz z ludzkiej kieszeni. Szeroko rozciągnęły się zanim niskie stajnie, izby kuchenne, gdzie służba przejezdnych panów warzyła w miedzianych kotłach nieznanne, pieprzne potrawy, dalej widać było oddzielne budki z nieociosanych kłoców, bez kominów i okien, nawet bez drzwi, jeden Bóg tylko wie, oprócz Żyda i czorta, na jaką potrzebę zbudowane. Szynk zajmował dwie ogromne izby po obu stronach sieni, wąskie okna we wszystkich ścianach świadczyły, że cały dom oddany jest dla gości. Gdzie mieszkał Żyd z rodziną, gdzie podziewał swoich częstych, tajemniczych współwierców i nieznanych w okolicy panów, chłopów, Kozaków, Moskali, diabłów, którzy zjawiali się w różnych porach dnia i nazajutrz znikali bez śladu, o tym nikt nie wiedział. Nieraz pijani Kozacy, co ukrywali się po chutorach leśnych przed szubienicą za dawne rozboje na dalekich stepach ukraińskich lub przed moskiewską branką do wojska, szukali po strychach i stajniach żony i córek Żyda szynkarza. Nieraz wpadali hurmem żołdacy z oficerami, ubranymi w trójkątne czarne kapelusze, i przetrząsali każdy kącik, każdą słomką na dachu,

każdy worek z owsem, szukając zbiegłego Lacha lub księdza, a może i zbója, co w gromadzie grabił i mordował po szerokich gościńcach leśnych. Nigdy przecież nikt nie znalazł tego, kogo szukał, ani żadnej rzeczy tajemniczego pochodzenia, ani śladu po żadnych zbrodniach. A przecież każde dziecko nawet w Pohrebyszczach, Mielnicy i Trojedubach wiedziało, że szynkarz ma żonę młodą jeszcze, córki dojrzałe dla łap kozackich i gromadą małych bachurków, a każdy parobek, gdy skradał się nocą z Pohrebyszcz do Trojedubów na miłe spotkanie z wybraną, widywał przy mijaniu karczmy tajemniczy ruch na rozstaju, konie zaprzężone w przedziwne chomąta, wozy nie tutejsze, ludzi w płaskich czapkach i kusych kozuchach, słowem dziwne dziwy, o których szeptało sobie z trwogą w okolicznych wioskach i chutorach.

Dziś jednak nie mógł wejść do szynku człowiek, co chciałby ukryć twarz lub czyny swoje obmierzłe przed światem.

Obie izby pełne były. Bogaci chłopci, samodzielni półdzicy chutornicy i Kozacy zajmowali wszystkie ławy w izbie z szynkwasem, w drugiej cieśnili się komornicy, włóczęgi bezdomne, dziady pokraczne i ci z młodych parobków, którzy nie chcieli na oczach swoich ojców szeptać z wdowami, co przychodziły tu, jakby na targ, z niecnotą swoją pożądliwą. Gdyby nawet zajechał dziś sam pan Korecki albo Iptychorski, nie ustąpiliby mu miejsca i trzeba by najmniej czterdziestu hajduków z rusznicami i nahajkami, żeby znaleźli jedną ławę dla pana swojego. Bo od czasu, kiedy z Ukrainy rozlaźło się wszędzie mrowie kozackie, jak tarakany po nowej chacie, chłop tutejszy potrafił nie ukłonić się córce ekonoma i nawet jawnie spluwał za siebie, gdy zobaczył na drodze Moskala brodatego.

Tęgi mróz zamalował wzorzyście okna karczmy, ale świeciły one czerwonym blaskiem i patrzyły bacznie w noc ciemną, mrugając od czasu do czasu cieniami ludzi, co gęsto snuli się po izbach szynkarskich. Nie było jednak wesołości wśród pijącego tłumu. Gwaru rozmów nie przerywały głośne wykrzykniki, ani pieśni nie mąciły.

Ludzie rozprawiali o czymś groźnym, co przytłaczało ich proste dusze chrześcijańskie. Radzili, wspominali rzeczy przeszłe, podobne, szukali środka na jakąś nową niedolę wspólną. Czas był świąteczny, niedziela, więc liczne było zebranie, nie zwoływane, a wierne na śmierć dobru gromad wiejskich. I pewnie rozeszłoby się bez żadnego postanowienia, jak bywało najczęściej, ale los okrutny zdarzył, że nie brakowało wśród zebranych Kozaka Kasjana, zwanego Dwunoseńko, bo miał czyjąś szablą czy nożem rozcięty nos, równo na połowę od góry do dołu, a obie połowy rozeszły się dość daleko od siebie i trzęsły się niesamowicie, gdy Kasjan poruszał głową. Mówiono o Kasjanie, że na Zaporozżu był atamanem koszowym, że Dnieprem jeździł do krajów tureckich na rozbój, że Lachy i Moskale cenę nałożyli na głowę jego za napady i mordy pod samym Kijowem nawet, ale nikt nie wiedział na pewno, skąd się tu wziął i dlaczego nie lubi często bywać w szynku, gdzie w każdej chwili można spodziewać się żołdatów lub komisarza z bandą uzbrojonych inwalidów.

Czerwony, rozpołowiony nos, a raczej dwa nosy, przedzielone siłą bruzdą, napęcz-

niałe, ogromne, dawały jego płaskiej, pół tatarskiej twarzy o skośnych oczach taki dziki i okrutny wyraz, że w całej okolicy lękano się go i posądzano o braterstwo z diabłem, ba, nawet z gołową Czudnowskim, przysłanym między innymi na wójta z dalekich moskiewskich krajów i nie umiejącym mówić po ludzku ani pańsku, o którym na pewno twierdzono, że miał czworo dzieci z własną burą świnią, a każde dziecko urodziło się w krymce żydowskiej, z dwoma rzędami zębów i krótkim, świńskim ogonkiem. Kasjan mieszkał w samotnym chutorze, niedaleko Trojedubów, u starej Pekcury, znanej czarownicy i lekarki. Oboje sprawiali w swoim pół rozwalonym chutorze takie czyny, że wszystkie włosy urwałyby się ze strachu z głowy człowieka, który odważyłby się podejrzeć ich przeklętą pracę nocną.

Kasjan nie lubił mówić po trzeźwemu, ale gdy wypił półtorej kwarty wódki, rozwiązywał mu się język i plótł bez końca byłe nie byłe historie, a każda na dzisiejszy użytek. Już taka była pogańska jego natura, że nigdy nie opowiadał tak sobie, dla ciekawości innych, jak to w zwyczaju u nas, ale zawsze miał jakiś cel, a cel ten nigdy nie był dobry, a nauka zawsze pogańska, przeciwna Bogu i cerkwi prawosławnej. Dzisiaj długo, dłużej niż zwykle milczał i pił więcej mocnej śliwowicy, którą za czyste tylko srebro sprzedawał szynkarz. A gdy zaczął mówić, ucichli wszyscy i wsłuchali się w jego mowę, płynną i piękną. Poważniejsi przeżegnali się ukradkiem, nikt przecież nie uciekł, choć wszyscy wiedzieli, że bluźnić będzie nieokiełznany język kozacki.

– Ja – rozpoczął Dwunoseńko, wymawiając jak rozkaz to słowo „ja” – ja opowiem wam rzecz podobną, co zdarzyła się dawno na Ukrainie, za czasów króla Batura. Słyszał ja tę historię od młodych i starych Kozaków, od bab, niańczących dzieci małe, od wiatru morskiego, od dniewprowych porohów, od orłów stuletnich, co w skalnych niedostępnych pieczarach kończą swój żywot bujny.

Żył wtedy na stepach dzikich i w gąszczach wiśniowych Kozak Podkowa. Nazwali go tak dlatego, że Tatarzy podkuli mu prawą nogę końską podkową, gdy dostał się do niewoli, i tak pędzili go do brudnych lepierek swoich na Krymie. I nie tylko szedł z siedmioma gwoździemi, wbitymi w nogę, ale uciekł bisurmanom i wrócił na Sicz dniewprową. Tylko okulał już na życie całe, a z siedmiu dziur w podeszwie ciekła wciąż rdzawa krew, co zdradzała go zawsze na noclegach, aż zdradziła na śmierć straszną z ręki groźnego króla Batura.

Atamanem był Podkowa. Wszystkie kosze kozackie, a nawet niektóre tatarskie, co najbliższe, uległy jego woli. Z Tatarami chodził na Ruś Czerwoną, z Lachami wycinał tatarskie osady. Bogaty był, władny, rozrzutny. Jest na Dnieprze wyspa maleńka, Niedrużką zwana, a na niej skała wąska i niedostępna dla nikogo. Podkowa jednak, choć kulawy, znalazł jakąś drogę na szczyt tej skały i założył sobie tam mieszkanie, szalas z suchych gałęzi dębowych i dywanów, zagrabionych Turkom i Tatarom. Może bał się samych Kozaków – druhów, którym łby ścinał po pijanemu, bez winy żadnej, a może dla czego innego? Bo na tej skale ukrył dziewczynę swoją ulubioną, panienkę szlachecką, porwaną wielkiemu panu z Potoka. Za sługę – strażnika jej dał starą czarownicę i

zaniknął na wieki w tym gnieździe orłowym, skąd wyjścia nie było dla nikogo, tylko dla Podkowy.

Nie mógł Podkowa siedzieć ciągle na skale swojej i patrzeć w niebieskie oczy szlachcianki. Musiał odchodzić z druhami na wyprawy dalekie, po złoto i wódkę dla siebie, po bakalie ormiańskie i turecką pachnącą wodę dla dziewczyny swojej. I kiedy powracał, zastawał ją coraz bledszą, gięła się jak samotny bławatek w polu, skarżyła się a prosiła:

– Puść mnie, Kozacze, do kraju mojego, utop w szumiącej głębinie rzecznej, albo nie odjeżdżaj nigdy ode mnie. Gorzki mój czas przy tobie, ale straszniej, gdy sama jestem i śpię bez ciebie na pachnącym sianie w noce pogodne, miesięczne i w noce czarne, deszczowe. Przychodzi do mnie zawsze o północy jakiś człowiek czy zwierz, wąż może jaki, zimną piersią kładzie się na piersi moje i ostre zęby wpija w gardło. Nie widzę go, ale czuję i ból, i rozkosz, i życie ucieka ze mnie; strasznie mi nocą, a dniem nieznośnie. Patrz, ślady mam na szyi po jego zębach, igłach ostrych...

Spojrzał Podkowa: na białej szyjce ranki małe, krwawiące. „Koszmar, upiór czy brukołak?” pomyślał w trwodze niezmiernej.

Wtedy z orszagami króla Batura przyjechało do Polzeczy wiele górskich, siemiogradzkich brukołaków i rozlazły się one po ziemi ruskiej, po dworach pańskich i kozackich pałankach. Ale ani upiór, ani nowy brukołak nie był i nie jest tak straszny jak koszmar, zmora krwiożercza, nienasycona nigdy, zawzięta, nie bojąca się nikogo. Zmora między złymi duchami jest jakby wolny Kozak stepowy między ludźmi, nie nastraszyz go niczym, nie złapiesz w stepie, nie podejdziesz chytrąścią. Znał dobrze zmorę Podkowa, więc zdjął go luty strach i za dziewczynę swoją ukochaną, i za siebie samego. Kopnął starą czarownicę, co cały dzień drzemała w szczelinie skalnej, i zaczął rozpytywać:

– Kto tu przychodzi nocą, gdy mnie nie ma na skale? Kazał ci ja pilnować doni, strzec przed złem i dobrem, a widzę – nie ustrzegłaś, więdźmo przekłeta! Podkuję ja ciebie dwoma podkowami, jak mnie Tatarzy podkuli, i pognam po zapalonym stepie! Mów...

– Widziałam go – skrzeczy czarownica – a ty wiesz, Kozacze głupi, że nie pytanemu nie wolno mówić, o nim, zemści się zemstą niesłyszana, niewidziana... Młody on, piękny a biały jak piana dniewprowa. Z wiatrem północnym przylata. Nagi, zimny... gdy przejdzie blisko, chłód nieznośny zostawia, mogilny wilgotny chłód. Nie upiór to błędzący po mogiłach, nie brukołak zamorski, ale zmora. Strzeż się Kozacze, nie uchroni cię przed nim sława twoja ani pomoc diabelska. Przeszkadzasz mu, burzysz nocami krew młodą dziewczynską, on nie lubi rozigranych serc, on spokojny, senny... Zemści się na tobie!

Rwał czarny osełdec z rozpaczy Kozak Podkowa. Zrzucił starą wiedźmę ze skały w fale rzeczne, już mu niepotrzebna była. Nie poszedł po radę do czarowników; nie pomogą, głupcy, gdy ze zmorą sprawa. Ale siadł na dobrego konia i pognał na ruski

brzeg, aż pod Białą Cerkiew. Wiadomo było, że mieszkał tam pustelnik w jarze głębokim, młody jeszcze, a z Bogiem i czortem w niezgodzie, sam samiuteńki z duszą swoją przepastną, dziwną, straszną, jak i jego oczy niebieskie, chłodne i nieruchome, prawie jak u trupa. Padł Podkowa na kolana przed pustelnikiem i prosi o radę-pomoc, obiecując złoto i bogactwa, dobre uczynki lub zbrodnie straszne, byle zmora odeszła od panienki jego i nie zemściła się na nim. Pustelnik słuchał a patrzył gdzieś przed siebie, daleko, nieruchomymi oczami i wreszcie odrzekł:

– Nie wykupisz się złotem, ani uprosisz Boga dobrym dziełem, ani diabeł ci pomoże za złe czyny. Wypije zmora krew panny twojej, wypije twoją i pójdzie pić krew druhów twoich. Póki żyć będzie, poty męki waszej, a zmora żyje dłużej niż dąb, niż las cały. Musiał on człowiek umrzeć w wielkiej miłości lub wielkiej nienawiści, przez ciebie lub pannę twoją. Nie puści już ofiar swoich. Odejdź w nieszczęściu, Kozacze!

Ale Podkowa czołgał się u nóg pustelnika i żebrał zmiłowania. Nie straszna była Kozakowi śmierć, nie straszne męki tatarskie ni pal łaszy, ale straszna, nieścierpiana była trwoga przed zmorą – koszmarem! Nie zmiłował się pustelnik nad Kozakiem, w sercu pustelnika żyła litość tylko dla drzew i kwiatów, dla ptaka i niemego zwierzęcia. Przecież poradził mu, chciał radą odegnąć Kozaka precz od siebie. A rada była taka:

– Musisz, człowieku, zrobić coś takiego, żeby Bóg odwrócił twarz swoją od ciebie i zapomniał o tobie nawet w karaniu, i żeby diabeł zląkł się twego dzieła i omijał cię ze strachem. Żywa krew tego, co dziś jest ofiarą zmory, musi być w tym dziele. Przyjdzie, wypije resztę żywej krwi i odejdzie na zawsze, zapomni o tobie jak Bóg, omijać cię będzie jak diabeł. Odejdzie daleko, za sto mil od miejsca tego, i wracać będzie nocą jedynie na mogiłę ostatniej swej ofiary, na jedną godzinę mściwego wycia.

Poszedł Podkowa na brzeg jaru, siadł na konia i wrócił do kosza druhów swoich. Powiedział im wszystko. Radzili dobrzy Kozacy dzień cały, radzili noc, aż uradzili. Słuchajcie, co uczynił Podkowa, czym zbawił siebie i Kozaków od okrutnej zmory.

Z wybranym druhem Kozakiem szczerem puścił się Podkowa w drogę daleką do miasta Żytomierza. Wracali wozem, na którym jechał wielki krzyż dębowy z rozpiętym Chrystusem i niemowlę w kolebce.

Krzyż ukradli w cerkwi, którą lud chrześcijański nazywał cudowną, niemowlę zagrabili w przydrożnej chacie. Podjechali do brzegu Dniepru, promem przewieźli krzyż i dziecko na wyspę Niedrużkę. Z pomocą drabin i sznura wyciągnęli na szczyt kolebkę i ciężkie drzewo krzyża. Odbili Chrystusa od drzewa i rzucili w Dniepr ze skały. Na miejsce Zbawiciela legła na krzyżu kochanka zmory, tymiż gwoździemi przybił ją sam Podkowa. Potem obaj Kozacy ustawili krzyż w wykutym dole, na dnie którego leżało płaczące niemowlę. I zarzucili dół kamieniami, a krzyż utrzymał się prosto i stoi do dziś dnia, choć ciało i kości panienki z Potoka rozniosły już dawno po świecie orły i kruki. Prawdę rzekł pustelnik, wypła zmora resztę krwi z ukrzyżowanej i odeszła na zawsze z tamtych stron, o których nawet Bóg zapomniał, a czort okrąża z daleka, gdy droga mu tamtędy wypadnie.

Skończył Dwunosenko i wyszedł, nie żegnając się z nikim.

Po jego wyjściu wybuchł w szynku gwar nie głosów, lecz szeptów przerażenia. I prawie równocześnie wszyscy wyszli, stąpając cicho i żegnając się bez przerwy. Nie radzono jeszcze dalej, jak zwykle, przed karczmą tłum rozszedł się prędko gromadkami po wszystkich pięciu drogach rozstaja – i cisza zapanowała w izbach szynkarskich. Pozostał w karczmie tylko Żyd szynkarz i Iwan Chońka z chutoru pod Mielnicą. Chońka nie był pijany, ale patrzył przed siebie szklanymi oczami, błędnie i strasznie. Jego to dotyczyła opowieść Kasjana, dla niego była rada okropna. Półtora już roku żył szczęśliwie i spokojnie z Oksaną, odkąd Hanna zginęła bez wieści, kilkomiesięczny synek bawił się w kolebce, rósł majątek i znaczenie Kozaka, aż nagle przyszła niedola, nie-szczęście wielkie. Bładła, wiedła piękna Oksana, nie pomagały leki Pekcury ani zamawiania węglarzy leśnych. Wreszcie prawda wyszła na jaw. Na karku Oksany zauważył Chońka maleńkie krwawe plamki, nie do zmycia wodą ani octem. „Upiór!” pomyślał Kozak i wezwał pomocy wiedźm za czerwone złoto ukryte w żelaznej skrzynce pod ścianą chaty. Były wiedźmy, wzywały roje poddanych sobie duchów – w dymie a ogniu diabelskim ukrywały Oksanę – nie pomogło. „Nie upiór to – mówiły – on posłuchałby się. To coś innego, przed czym moc nasza rozwiewa się jak tuman przed skałą, nie zwali, nie poruszy.”

Chodził Chońka do Korca kupić modły u popa starego. Modlili się za ruble srebrne, za złotówki polskie, za dukaty tureckie... nie pomogło!

Zrozumiał teraz Kozak, że ta zmora zawzięta przyleciała i pije krew Oksany. Zrozumiał i to, że i jego czeka zguba, i ludzi okolicznych, którzy zapewne zechcą się ratować i wygonią go w świat szeroki, a chutor spalą. Cóż go czeka w świecie, choć bogaty jest i młody? Pójdzie za nim zmora przeklęta, wszędzie gonić go będą, zginąć musi! Ale Chońka zginąłby i zaraz, gdyby wiedział, że uwolni się od zmory. Nie pomoże i śmierć; zmora przyłgnie do trupa i do duszy i na wieki wieczne dręczyć będzie strachem okrutnym i męką niezmierną. Jest jedno tylko wyjście: rada Kasjana.

Wzdrygnął się Kozak na myśl samą i nagle osłupiał w przerażeniu: przed nim zjawił się jak duch stary Choma.

Nie zauważył Iwan, że zaraz po wyjściu Kozaków i chłopów wyszedł również i Żyd z izby, a teraz wrócił, puściwszy przed sobą Chomę. Stary Kozak ubrany był dziwnie, z pańska trochę, w niebieskim żupanie i szlacheckiej czapce z piórem orlim. Patrzyli czas jakiś na siebie w milczeniu, aż Choma odezwał się pierwszy, głosem chrapliwym, cichym:

– Ja ci pomogę, Iwasiu. Sam nie wydołasz. Chodź, póki nie za późno.
Poszli!

*kozacze myłuj,
od toji strasznoji
biesowskoj syfy!*

Nie było już kilka dni Iwana w chutorze, przy żonce młodej. Zaprzągnął wóz parą dobrych koni i pojechał na jarmark, czy po sól do Hoszczy, czy po łańcuch nowy do brony. Oksana czeka i tęskni, pieści synka i śpiewa mu pieśni smutne, a sama blada i słaba; coraz więcej ranek małych, czerwonych, znaczy się na białej szyjce młodej. Nikt nie odwiedza chutoru, samotne jej dni i noce straszne. Psy nawet uciekły w las i wyją tylko z daleka, nie podchodząc do jadła, koty domowe nie wracają już dawno z nocnych wędrówek swoich. Żałośnie ryczą krowy uwiązane, nie pieje o północy kogut, nie grają w ścianach świerszcze. Moc jakaś okropna panuje nad chutorem Iwana.

Kiedy wrócił Kozak nocą mroźną, ciemną do domu, Oksana spała już, choć kaganiec palił się na kominie, trzeszcząc głośno. Wsunął się do izby Iwan, otworzywszy drzwi umówionym sposobem, a za nim wszedł na palcach Choma. Spojrzeli na Oksanę. Leżała na niskim drewnianym łożu, odkryta zupełnie, choć zimno było w izbie, koszulę zdartą miała z piersi, gęste włosy rozrzucone. Dyszała ciężko, ciężko, jakby każdy oddech miał być ostatni, na twarzy jej osiadł ból niezmierny, ale i rozkosz jakaś dzika i strach, i uśmiech dziwny, jak uśmiech skazańca, któremu w ostatniej chwili ogłoszą ułaskawienie, a on słyszy jeszcze dźwięk topora i nie wierzy, że nie na jego głowę dźwięczy żelazo ostre.

– Nie budź! – szepnął Choma. – Idź wyrąbać dół i czekaj, ja przyniosę dziecko.

Iwan wyszedł bez słowa, tylko twarz jego skurczyła się, szerniała i zwisała na piersi. Choma został sam.

Powoli zbliżył się do Oksany i nagłym ruchem rąk zarzucił jej na twarz poduszkę. Nie zdążyła nawet krzyknąć, ale zbudziła się i zaczęła rozpaczliwie bronić się przed Kozakiem, bijąc go rękami i nogami. Daremnie! Wydobył z zaskarby kożucha sznurem przywiązał ją do łóżka, zdjął poduszkę i wpakował do ust jakąś szmatę, aby nie krzyczała; po czym usiadł na łóżku i wydobył z pochwy za pasem długi kindżał turecki. Oczy Oksany nabiegły krwią, ostatkiem sił wypluła szmatę i prędko zawołała:

– Nie będę krzyczeć, nie kładź mi do ust gałgana, dusi mnie... Czego chcesz ode mnie? Nie znam ciebie, nie mam złota ni skarbów, dlaczego chcesz mnie zabić, nie-szczęsną? W twojej mocy jestem, rób ze mną, co chcesz, nie będę się bronić, tylko nie zarzynaj tym nożem błyszczącym, boję się... boję...

Choma uśmiechnął się ponuro i zaszeptał, jakby wstydzając się własnych słów:

– Nie po skarby twoje ja tu przyszedłem, ani mi luba młoda krasa twoja! Zły twój los sprowadził mnie tutaj, umrzesz niedługo, ale nie od noża mojego. Skaleczę cię tylko, żyłą krwawiącą przetnę na twojej szyi, nie bój się, lekko przetnę, żebyś nie umarła przed czasem. I wypiję powoli krew wszystką, a ty zaśniesz bez bólu, na wieki zaśniesz. Nie wiesz, co cię czekać miało dzisiaj, ani na myśl ci przyjdzie, jaką mękę ob-

myślił dla ciebie twój Iwaś kochany. A ja cię wybawię od niej, lekką będzie śmierć twoja.

– A syn mój? – wykrztusiła z trudem Oksana.

– Nie bój się. Lepiej mu będzie, niż tobie być miało. Cóż ci po wiadomości? Umrzesz za chwilę i wszystko się skończy dla ciebie... O, mówić już nie możesz ze strachu, a oczy twoje pytają: dlaczego? Powiem ci, cóż mi szkodzi? Wiesz, kto do tej pory wypijał nocami krew twoją? Wiesz, co to za upiór był, jaka to zmora okrutna? To młoda Handzia, kochanka dawna Iwasia twojego, który kazał jej własne dziecko utopić i wygnał z domu, dla ciebie, Oksano, i przez ciebie. Gniło jej ciało na dalekiej leśnej polanie, wilki i kruki pogrzeb jej sprawiali. Nie tknęli tylko serca, gorzkie było i dla zwierzęcia, i dla ptaka. Ale kiedy żar letni i mróz luty, zimowy, słońce ciepłe i biały śnieg przeżarły gorycz tego serca, w proch się rozsypało i zwolniło z więzów duszę Handzi. Upiorem, zmorą krew pijącą wróciła z zaświata na ziemię i wgrzyła się w ciebie! A ja wypiję ostatek twojej krwi i pójdę na krzyż za ciebie. Przyjdzie do mnie wtedy, musi przyjść po twoją krew, co we mnie żyć będzie. Przyjdzie w godzinę mojej śmierci, usta przytuli do starczej mojej szyi i moją będzie na zawsze, zmora nieodstępna – nad mogiłą, gdzie legnę, siadać będzie i dręczyć mnie umarłego – na szczęście moje nienazwane.

Błysnął nóż, trysnęła cienkim strumieniem krew Oksany, a stary Kozak przyłgnął ustami do otworu krwawego i pił, póki nie wypił ostatniej kropli. Świeciły radością jego oczy, gdy powstał znad trupa, wziął dziecko z kolebki, owinął w połę kozucha i wyszedł z izby.

Nad ciałem Oksany migotały cienie, światło kagańca chwiało się wciąż, wydłużało i skręcało w małą iskrę. Szumiał i świstał w kominie wiatr zimowy, północny. Po izbie błąkał się jakiś jęk bolesny; czy to były ostatnie westchnienia zamordowanej, czy żal upiora nad utraconą zemstą? Aż zagasło światło i wraz z ciemnością cisza głęboka zaległa w izbie. Ustał i wiatr, uciekł do świata lepszego, do ziemi bujnej, ukraińskiej, nie mogąc znieść okrutnej zbrodni, co odprawiała się w borze pobliskim, i niosąc stepom i falom dniewnym ostatnie pożegnanie starego Kozaka Chomy.

Kamienne krzyże

Słyszałem ja tę opowieść bardzo już dawno. Po prawdzie to była ona inna, zupełnie inna, ale o tych samych krzyżach. Miałem wtedy lat może piętnaście, może dwadzieścia, trudno staremu pamiętać, wiem tylko tyle na pewno, że byłem o wiele młodszy niż mój brat Siergiej, co go zabili w tureckiej wojnie, za którą to śmierć jego żona dostawała aż do końca życia jedenaście i pół kopiejki miesięcznie z kaznaczejstwa w Krzemieńcu. Czy to sam car wyznaczył taką zapłatę, czy też jaki Patiomkin albo gubernator, nie wiadomo, gdzie chłopu wszystko wiedzieć? Po bracie została córka jego, ni to baba, ni zwierzę bezrozumne, z głową małą jak makówka prawie, chodziło to po drogach i piszczalo a zawodziło, i myślicie o co? Nie o chleb ani o grosz wytarty, dziadowski, nie brakowało jej chleba w chacie matczynej, a na pieniądzach wcale się nie rozumiała. Prosto zobaczy chłopca, choćby małego pastuszka, albo i dziada siwego, leci z rękami wyciągniętymi i krzyczy: „Chody, chody!” Bieda z nią była okrutna. Bo żeby to nocą albo wieczorem, albo w lesie, ale nie, jak na złość przy słońcu jasnym i na drogach przejezdnych, ludnych. Uciekali od niej z daleka, ale jak którego złapała za kozuch – przepadło! Nie puściła, choćby ją do krwi bito po głowie, a mocna była, mocniejsza od chłopca! Jaki taki znajdował się i pociągał ją gdzie na ustronie, a z młodych to nawet naumyślnie wychodzili, żeby ją zamanić z daleka w las albo za wzgórze przydrożne. A tu wstyd, zgorszenie, matki się skarżą, że nie daruje nawet dwunastoletnim chłopcom, pop przeklina, starosta każe wziąć na łańcuch żelazny.

Brali na łańcuch, nie pomogło. Wyje, szarpie, dusi się, a jak – bywało – zwiążesz postronkami, nie wytrzyma matka, nie może patrzeć na mękę i rozwiąże nieszczęsną, choćby na obiad, a ta hyc przez okno i w pole, psami nie dopędzisz! Aż umarła matka, ziemię rozebraliśmy, rozdzielili całą między siebie, a sierocie nie zostało nic – wiadomo – na co wariatowi ziemia i gospodarstwo? Gdzie nie przyszła, gonili ją precz; komu tam potrzebny darmożjad i wstyd, jaki przynosiła? Myślę, żeby choć dawali jej z kaznaczejstwa te jedenaście i pół kopiejki – choć chleba parę funtów kupić jej można – i przy okazji idę do urzędnika w Krzemieńcu, przedstawiam mu rzecz całą; sierota – mówię – po żołdacie, co zginął za wiarę, cara i ojczyznę, a głupia dlatego, że urodziła się wcześniej o miesiąc, kiedy jej matce przynieśli papier z gminy, że męża Turcy wzięli do niewoli, ale nie całego, tylko bez głowy, bo mu ją urwała kula armatnia, czy też koło od wozu wojennego. A czynownik napadł na mnie ostro:

– Cóż ty – powiada – myślisz, durniu, że kazna opłacać będzie i dorosłe dzieci, i

wnuki sołdackie? A wiesz ty – powiada – ile przez trzydzieści lat wypłaciliśmy żonie twojego brata? Pięćdziesiąt dwa ruble! Ginać na wojnie to wasz chłopski obowiązek – powiada – i tak wiecznie nie będziesz żył, a twój brat już umarłby dawno, pisane mu było widać... Idźże – powiada – do czorta!

Myślę sobie – pięćdziesiąt dwa ruble to przecież naprawdę dużo. Tylko że trzydzieści lat... Żeby choć od razu dali, wtedy można by dwie dobre krowy kupić na jarmarku w Łucku. Ale zawsze prawda, nie zapomnieli o biednym sołdacie. Teraz, kiedy ruskich czynowników już nie ma, a wszędzie są pany a pany, pewnie jeszcze lepiej będzie, zawsze co pan, to nie taki oczajdusza z urzędu ruskiego, hołodraneć, co przyjmował i pięć kopiejek albo trzy jajka, a jak mu pokazałeś kurę, to nawet grzecznie zapytał się: „A wy, chaziain, po kakomu dziełu?” Kiedy parę lat temu zmarło w czasie jazdy koleją żelazną siedmiu rekrutów z naszej wsi, pisaliśmy do pańskiej gubernii w Łucku prośbę, żeby wspomogli dwie stare matki i trzy żony zamarniętych. Że to na służbie ichniej, pańskiej, życie zbyli, choć i nie na wojnie, ale z winy mrozu. No i nie odpowiedzieli wcale do tej pory – po staremu – pan nie lubi chłopskiej prośby. Aleja myślę, że przecież sprawiedliwie osądzą i zapłacą, tylko inaczej, jak za ruskich czasów – pewnie za trzydzieści lat, albo i więcej, od razu – trzeba tylko cierpliwie czekać, aż przeminą te lata, a potem i konia kupić będzie można i krowę, może i ziemi ze dwie dziesięciny...

Tę sierotę zabrali wreszcie strażnicy do gubernii, do szpitala, ale tylko dlatego, że uprosiłem panią Trypolską z Tajkur, żeby napisała do gubernatora proszenie. Stara to była już pani, dobra i mądra, tylko że z każdego chłopca chciała zrobić Polaka. Ani słowem nie odezwie się, bywało, po chłopsku, a wciąż mówi, że chłop a Polak to jedno. Bóg niech ją osądzi, czy prawdę mówiła. Nie widziałem ja w życiu swoim dawniejszym prawosławnego Polaka, a i teraz, za pańskich rządów polskich, tylko w wojsku albo między strażnikami spotkasz czasem duszę prawosławną. Mówi taki człowiek: „Polak jestem, służę ojczyźnie.” Ale ojczyzna to pańska rzecz albo urzędnicza, to samo mówili ruscy ludzie. Chłop służy ziemi swojej rodzonej, a wielcy mocarze przychodzą z boku i nakrywają go ojczyzną, jak wróbla czapką. A spierać się szkoda. Jak w tej piosence, gdzie żonka wciąż kłóci się z mężem o to, czy na polu rośnie pszenica, żyto czy hreczka, a on, mąż, nie lubi kłótni i po każdej zwrotce powtarza: „Nechaj budę hreczka!” Jedno tylko niedobrze się dzieje teraz na ziemi naszej: coraz więcej katolików, a księży wygolonych spotykasz wszędzie, kościoły budują, cerkwie przerabiają, mnichów sprowadzają do dawnych Bożych monastyrów, a dzieci sieroty w przyjutach chrzczą na katolicyzmo. Ale wszystko na świecie Bóg stworzył. Potrzebny i katolik widać na ziemi naszej, żeby wzmóc w nas wiarę prawosławną, jak to mówi przysłowie ruskie: „Na to jest szczupak w morzu, żeby karaś nie drzemał.”

A już źle się zaczynało dzieć w cerkwi naszej świętej. Gdzie – bywało – nie zajdziesz, wszędzie śmiech z popa, pijaczyna – mówią – po pysku bierze od popadii i spuchnięty odprawia obiednię, aż święci w ołtarzu śmieją się. Gdzie indziej znów za-

biera świeczki łożowe, co ludzie stawiają świętym męczennikom w cerkwi, i karmi tymi świeczkami prosięta i gęsi. Prawda, pop nie święty – grzesznik on, jak my wszyscy – ale żeby Świnia zjadała poświęcaną świeczkę, to już wielki grzech i bardzo nieprzyjemnie. Niech sobie pije rodzina popa – wódka dar Boży – ale może sobie przecież wyleczyć gębę pop brodaty, zanim stanie przed ołtarzem z siną dynią pod okiem, na pośmiewisko ludzkie i gniew świętych pańskich. Nie robi on wstydu wierze naszej świętej, bo ten czy inny pop – to wszystko jedno, był i nie będzie go, a cerkiew wieczna i jedna. Ale gniewać Boga i jego świętych, a radować obmierzłego czorta nie przystoi chrześcijaninowi prawosławnemu. Teraz już mniej będzie niegodnych popów: boją się, że to katolicki ksiądz nigdy nie pokazuje się ludziom w stanie nietrzeźwym, a choć nie żonaty, rzadko kiedy podpatrzeć go można, jak całuje siostrę cioteczną, a naszemu popu wystarczy i krzak jałowcu, żeby schować się z żoną na spacerze koło plebanii, kiedy w domu ma gości. Ludzka to sprawa, ale wstyd nie darmo dany jest ludziom.

Otóż pani Trypolska z Tajkur dawno mnie znała, kiedy byłem jeszcze chłopcem. W Tajkurach mieszkał mój dziadek po matce, wieczna im pamięć obojgu. Kochał mnie starzec bardzo, a nie miał więcej wnuków, tylko po mojej matce. Mnie lubił dlatego, że rad słuchałem jego opowiadań o cudach – dziwach i robiłem na jego ziemi za dwóch, choć byłem bardzo młody. Sześć lat mieszkałem u niego, póki nie umarł, a majątek zabrali synowie jego i matka moja. Często zdarzało się przychodzić do dworu, co bielał na wzgórzu nad wsią, niedaleko ruin wielkiego zamku przy wjeździe do wsi od strony wielkiego gościńca. Podobałem się widać pani Trypolskiej. Raz woła mnie do pokojów we dworze i mówi:

– Ty, Kostia, oczy masz takie, jakbyś już pół świata widział, a jesteś dziecko. Będzie z ciebie mądry człowiek. Ale trzeba się uczyć. Czytać nie umiesz, prawda?

– Ne umiju – odpowiadam – u nas nema szkoły ni uczytiela, a pop powiada, że do zbawienia duszy czytanie niepotrzebne. I czasu nie ma na zabawę.

– A chcesz się uczyć? – pyta pani.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jak zacznie pani Trypolska mówić a tłumaczyć, że czytanie konieczne jest w świecie, że z książek dowiedzieć się można, co naprawdę było dawniej, co potrzeba robić, żeby ziemia rodziła lepiej, jak hodować pszczoły i ryby, a na końcu powiedziała, że każdy Żyd umie czytać i dlatego jest mądrzejszy od chłopca. Zgodziłem się na naukę i codziennie przychodziłem do dworu. Pani dawała mi zawsze po nauce bułkę z miodem i głaskała po twarzy.

Ale nauczała mnie z początku polskiego czytania.

– W waszym chłopskim języku – mówiła – nie ma ani książek, ani żadnej nauki, a po rusku mówią i czytają sami złodzieje, co ukradli nam ojczyznę. Nie mów tylko nikomu, że uczysz się czytać, bo zaraz zabraliby mnie strażnicy i żandarmy do turmy i na Sybir odesłali.

Przecież ktoś doniósł, pewnie ze służby dworskiej, bo uczyło się nas trzech chłopaków i jedna dziewczyna i trudno było ukryć. Wzięli panią, nieszczęsną, do Równego,

potem do Żytomierza. Wróciła po roku i już więcej nie uczyła nikogo. Ale przez dwa lata nauki u niej nauczyłem się czytać i pisać, nie tylko po polsku, ale i po rusku, żeby to – mówiła pani Trypolska – nie dać się oszukać Moskałowi.

A mówiłem pańskim językiem jak dziś sam główny gubernator w Łucku.

I kto by pomyślał, że ta nauka na złe mi wyjdzie, że przez nią boleć mnie będą moje stare kości? Wszystkim dziwnie się zdaje, że tak dobrze mówię po polsku, ale ja wolałbym nie rozumieć ani słowa wyrazić inaczej, jak tylko po naszymu. Opowiem wam później, dlaczego tak jest.

Pamiętam, dała mi pani Trypolska do czytania małą książeczkę, w której była wierszami opisana powieść o trzech kamiennych krzyżach pod wsią Brykowem.

– Ty jesteś z tamtych stron – mówiła – znasz na pewno te krzyże. Z tej książeczki dowiesz się, dlaczego one tam stoją.

Krzyże znałem dobrze. Różnie mówili ludzie o nich, ale niechętnie, bali się tego miejsca, a może zapomnieli. W tej polskiej książeczce była smutna opowieść i pewnie nieprawdziwa, bo po przeczytaniu zdawało mi się wtedy, że zjadłem kawałek słoniny posmarowany miodem. Dopiero teraz – po tylu latach – nie tylko dowiedziałem się prawdy, ale sprawdziłem naocznie, że pasiecznik Mikołaj z Werby ma więcej wiadomości w głowie niż ten uczony pan, co wierszami pisał o tych krzyżach.

Było to tak. Jeszcze latem, w czasie żniwa, pojechałem do Krzemieńca koleją żelazną na chrzciny. Zaprosił mnie kowal, który jest wnukiem mojego stryja, a mnie krewny, nazwisko to samo i podobny do mnie, choć młody chłop. Głównie chodzi mu o majątek po mojej śmierci, ale przecież miło jest człowiekowi samemu na świecie, jak zobaczy krewnych, niechby i nie bliskich. Więc pojechałem. Wracam po pięciu dniach, na drogę wypiliśmy pół sztofa wódki i na stację, a tu za późno! Maszyna pojechała już do Dubna. Inny czekałby do drugiego dnia, aleja uparłem się, dureń stary, iść piechotą do Werby i tam dopiero" siąść do pociągu, co idzie od Poczajowskiej Ławry w nasze strony. Będzie mila drogi z chwostikom. Po drodze chciałem wstąpić i do Brykowa, choć to i nie bardzo po drodze mi wypadało. Ale mów pijanemu o krowie, czkawką ci odpowie! Chcieli dać wóz, nie wziąłem.

– Cóż to? – rozgniewałem się. – Myślicie, że taki stary dziad ze mnie? Nie przejdę do Brykowa na swoich nogach? Żniwa, koń w polu pracuje, rodzony, nie pora mu wozić pijanych po gościńcu twardym. Jak zmęczone się, w Brykowie dadzą mi wóz, znam taką kumoszkę jedną, jaskółkę bez ogona, przypomni sobie, serdeczna, dawne czasy i wygodzi, nie tylko wozem i końmi.

Poszedłem... Idę dołem – doliną, między lasami, uszedłem ze trzy wiorsty, a tu idzie kupa strażników i „Stój!” wołają. Nigdy nie bałem się ja strażnika. Zawsze w kieszeni miałem pokłotę od nieszczęśliwego wypadku spotkania się ze złodziejem albo strażnikiem po pijanemu. Więc idę sobie dalej i śpiewam:

*Zelenyj barwinoczku, stęlysia nyżeńko,
a ty myłyj czomobrewyjprysuńsia błyżeńko...*

Strażniki do mnie ze sztykami.

– A ty, sobaczy synu! – wołają. – Pijanego udajesz? Dawaj pasport!

– Szczur mi zjadł – żartuję – pieczętę zostawił z obrazkiem. Ot, weźcie, panowie!
– i podaję im papierek na polskie pięć rubli, bo była ich chmara cała.

A mówiłem po polsku, jak mnie jeszcze pani Trypolska nauczyła. Zamiast puścić, strażniki zakuli mnie zaraz w kajdany i pognali z sobą, ale nie do Krzemieńca, tylko do Czelówki, żeby podwodę wziąć. Wytrzeźwiałem i pytam ładnie po polsku:

– Co ja zawiniłem panom, że zakuli ręce, jak katorżnikowi sybirskiemu?

Strażniki poszeptali między sobą, a starszy, co koło mnie siedł, odpowiedział:

– Nie stumanisz wróbla starego, bandyto przeklęty, bolszewiku! Już my dowiemy się prawdy w kancelarii. Skąd siedłeś, zbroju?

– Nie zbroj jestem – mówię – ani bolszewik. A idę z Krzemieńca do Werby.

Starszy zaryczał ze śmiechu.

– Tędy do Werby się idzie? A może ty byłeś w Krywinie, z kolegami dobrymi na przemysł bandycki siedłeś i zabiłeś człowieka niewinnego?

Widzę, źle sprawa stoi. Biorą mnie za jakiegoś rozbójnika, trzeba wytłumaczyć się. Więc zaczynam opowiadać o kowalu z Krzemieńca, o chrzcinach, a wszystko pięknie, po pańsku. Słuchają strażniki i dziwią się:

– Powiedz no, bratku miły, skąd ty umiesz tak ładnie po polsku mówić?

Myślałem, że mi to pomoże, więc szczerą prawdę opowiedziałem, a oni znów śmieją się i wołają:

– Sprytny chłop z ciebie, żmijo pasiasta, wymyślił jak z książki! Ale my wiemy dobrze, że łiesz jak sroka na śmietniku. Żebyś był porządny człowiek, to nie umiałbyś po polsku.

– Dlaczego? – zdziwiłem się bardzo i spojrzałem na strażników, czy też nie są to ruskie żołdacy zza granicy niedalekiej? Może zbłądziłem i już jestem na ruskiej Ukrainie? Patrzą: orzełki polskie na czapkach.

– Każdy bandyta – objaśnił mnie starszy – każdy bolszewik, co przychodzi na naszą stronę, mówi zawsze po polsku dla zamydlenia oczów. A chłop prawdziwy nie umie po naszymu mówić. Ty już zamknij mordę i czekaj końca drogi, będzie ci ciepło, dziadzie stary, nie bój się!

W tym czasie, jak pamięta każdy z was, nie było jeszcze na pograniczu żołdatów, co dziś nazywają się kopisty.

1 był wielki nieporządek; przez granicę, na której i słupów jeszcze nie ustawili, przechodziły gromady całe w tę i tamtą stronę, a to ze szczecina i wełną do nas, a to znów z cukrem i mąką do krajów bolszewickich. Zarabiali dużo dobrzy ludzie na handlu i może do dziś trwałby ten zwyczaj, ale wmięsał się czort w spokojną sprawę targową. Od ruskiej granicy często przychodzili zbroje, mordowali panów i bogatych chłopów, grabili dobro ludzkie, a nawet odważali się zabijać strażników. A potem uciekali za granicę, gdzie przed pogonią bronił ich żołdat bolszewicki. Aż zrobił się wielki

krzyk. Że to – wołali – podatki płacimy, a tu zarzynają nas zbóje, jak kucharz kurczęta w restauracji w Równem dla delikatnych pańskich i żydowskich brzuchów. Więc zaprowadzili młode wojsko, znaczy kop. Spokój nastał dobry, ale i zarobki stracili dobrzy chrześcijanie. Już nie zapłacił ci Żyd pięciu rubli złotych za przechowanie dziesięciu pudów szczeciny, ani nie podwieszysz lasem do granicy wielkich worków z cukrem za żółty imperiał carski. Wszędzie patrule a patrule, chodzi młody żołdat, co myśli tylko o powrocie do domu swojego dalekiego, a nie rozumie głosu rubla. Wiadomo, jak młody, to i nie rozumie wszystkiego. A może i boi się srogości prawa żołdackiego? Ale od czasu, jak kopist pilnuje, już nie odważy się żaden zbój na robotę swoją pogańską. I można powiedzieć, że lubią ludzie tych żołdatów. Każdy ma pieniądze i płaci nawet za jajko kurze, a do dziewcząt podchodzi ostrożnie, jak lis do zająca, mizdrząc się tylko, nie tak jak dawniej: od razu na siano w stodole, albo i na ławę w sieni! Jak paliła się chata u Porfiria, to zleciało się ich chyba ze dwie rotę, wyratowali wszystko i ugasili ogień, a nie skradli nawet kury, choć każdy żołdat jak lis łakomy na tego ptaka. Co i mówić, dobre żołdaty, choć bardzo srogie dla rodzaju bandyckiego i bolszewików. Przecież nikt bez grzechu nie żyje na białym świecie Bożym.

Ale wtedy było inaczej. Różny naród służył za pograniczników. Ludzie starsi, mądrzy, za to podejrzliwi, zmiłuj się Boże! Każdego chłopca mieli za bandytę, a każdą babę za swoje posłanie nocne! I źle było i dobrze, z przyczyny zarobków. Nigdy dobrze nie jest bez złego, jak nie jest bez kataru najładniejszy nos babski. Całuje liczko białe wąsał parobek, a tu „Czich!” obcieraj, durniu! Tak i w życiu.

W jednej wsi niedaleko Brykowa wzięli podwodę, zrewidowali całą wieś, a pod wieczór dali mi trzech strażników do pilnowania, żebym nie uciekł, i powieźli do Krzemieńca. Jak czekałem na podwodę, zbiegła się cała wieś, poznali mnie starsi ludzie i płakali nad losem moim, może i radzili co, żeby pomóc.

Nie wiem, czy strażniki zmylili drogę, czy we wsi pokazali im inną, nie do Krzemieńca, bo dopiero koło północy przyjechaliśmy pod kamienne krzyże. Widać było z daleka, że pali się tam ognisko, ale nie było przy ogniu żadnego człowieka. Starszy, co jechał ze mną, zatrzymał podwodę, zszedł z wozu i obejrzał się dokoła:

– Jaki bies – powiada – zapalił tu ogień? Drzewo dopiero co podłożone, nie zdążyło się spalić, a tu ani żywego ducha nie ma!

I ot, jakby na zawołanie, wysuwa się z ciemności duch żywy, a może i człowiek. Starszy zamarł ze strachu... i było też czego się przestraszyć! Chłop wysoki chyba na trzy arszyny, wąsy cienkie i długie jak u suma, zwisają końcami na dół, żupan niebieski, przy szerokim rzemieniowym pasie szabla krzywa, kozacka. Widmo, szczerze widmo nieziemskie! A oczami łypie na prawo i lewo, śmieje się czy grozi, nie dojrzyysz! Podchodzi do starszego, wyciąga rękę z lulką i mówi basem:

– Proszu pana o ogień, fajka mi zgasła...

Dwaj strażnicy, którzy siedzieli przy mnie na wozie, zeskoczyli z wozu i ze sztykami na widmo chłopca z szabłą! A on spokojnie podciągnął kapciuch, wiszący na długim

łańcuszku u pasa, i zaczął nabijać lulkę, skarżąc się niby:

– Nie straszcie biednego człowieka sztykami stalowymi. Wy nabiliście wintówki, a ja nabijam lulkę. Za cóż taka napaść na niewinnego? Prosiłem o ogień, od tego ogniska czortowskiego zapalić nic nie można – grzech – a wy zaraz z ostrym żelazem do mnie!

– Ręce do góry! – wrzasnęli strażnicy.

Aż tu wyskoczyło może dziesięciu chłopów ze wszystkich stron i idą do ogniska z rękami podniesionymi do góry, a każdy trzyma w prawej ręce karabin. Zakotłowało się pod krzyżami. Wrzask, strzelanie, przekleństwa przestraszyły woźnicę, zaciął konie i w nogi. Ale na drodze było położone rosochate drzewo, wierzba czy sosna, nie mogłem dojrzeć, i konie zaplątały się w gałęzie. Nie widziałem, co stało się ze strażnikami, bo dopadł do mnie jakiś niby żołdat, rozerwał kajdanki i krzyczy po rusku:

– Biegi, towarzyszc, skoreje, w lesie mamy wozy...

Ot, myślę sobie, wpadłem że teraz spod wilczych zębów w paszczę niedźwiedzia! Wywieźć chcą teraz za granicę, na tułaczkę daleką! Włóczęgą bezdomnym chcą zrobić na lata moje stare! Więc nie ruszam się wcale, zapomną może – myślę – strażników zabiorą i na zdrowie! A może uda się uciec i ruskim?

– Ruszaj się! – woła żołdat. – Czego czekasz? Ty z Krywina?

– Nie był ja w Krywinie lat trzydzieści może – odpowiadam – a i to chodziłem tam tylko do Paraski, co teraz mieszka w Załwzu...

– To ty nie stary Ostapczuk?

– Podobniejszy on do łysego didka niż do mnie – mówię. – Wracam ja z chrzcin z Krzemieńca, po drodze chwycili poganie i niewinnego zakuli w kajdany.

Zeszli się inne żołdaty, oglądają mnie, a ja ich. Czorty nie czorty? Brudne, osmarowane dziegciem, klną okropnie, szepczą tajemniczo do siebie. Żeby mieli nie wintówki, tylko widły, od razu poznałbym nieczystą sprawę diabelską, bo kiedy woźnica zaczął się głośno żegnać ze strachu, wrzasnęli na niego, żeby przestał. A i tak pomyślałem sobie, że przecież nic nie szkodzi diabłu nosić wintówkę, moda taka teraz zaprowadziła się na świecie, wszędzie strzelby, puszki czarne, szable błyszczące, dlaczego i czort nie miałby porzucić staroświeckich wideł, choćby dla mody tylko? Nie dali mi jednak długo myśleć i kazali zleźć z wozu.

– Paszoł won! – rozkazał jeden z nich. – Umykaj, gdzie oczy poniosą, a my podwodę zabierzemy.

Za cztery godziny byłem już w Werbie. Bałem się pójść na stację, będą pewnie gonić, myślałem. I nie wiedziałem dobrze, kto i kogo będzie gonić? Może jaka wojna nowa? Masz teraz chrzciny, czuczeło ty grochowe, stare!

Świtało już, pogodny dzień się zaczynał, kiedy przyszedłem do pasieki pod lasem, z dala od wsi. Znałem pasiecznika, Mikołaj mu było na imię, ale nie wiedziałem, czy nie umarł do tej pory. Patrząc: chodzi koło uli, ponakrywanych żelaznymi czapkami żołdakimi, których pełno u nas po lasach leży po wojnie. Siwy, zgarbiony, ale ten sam.

– Sława Isusu Chrystu! – witam się. – Poznajesz mnie, Mikołka?

– Sława na wiki! – odpowiada. – A ja nie poznaję ciebie.

Dopieroż mu przypominam, jak swatałem go na jarmarku w Cudnowie, jak pobiliśmy po pijanemu Cyganów w lesie koło Staszewki... a on kręci głową, nie pamięta!

– Zaraz – mówi – zajrzę do książki swojej, to i przypomnę sobie.

Do książki! Widzę, uczony się zrobił na starość Mikołaj. Książki czyta a zapisuje! Nie umiał on dawniej czytać, pamiętam dobrze, listy mu pisywałem do brata w wojsku. Widać nudziło się samotnemu w lesie, baba mu wcześniej umarła – słyszałem o tym – a dzieci nie miał, to i nauczył się książkowej mądrości. Idę za nim do chaty, "a on wyciąga z kąta równe i ogładzone kawały kory sosnowej, których miał cały stos pod ścianą, jakby na podpałkę w piecu.

– Swatałeś mnie – powiada – a to było dawno, dawno. Zobaczymy, czy prawdą mówisz.

Pokazuje mi kawał kory, a na niej od brzegu do brzegu wycięte różne znaki, ale nie litery żadne, tylko figury ludzkie, psie, końskie, jakieś koła, krzyże, czort wie co takiego.

– Co to jest? – pytam.

– A ot – odpowiada – widzisz tę babę? To żonka moja, nogi ma krzywe, a zadek jak koło u wozu, wielki i okrągły. A tu cerkiew, a tu mój dom i pies przed domem. Widzisz, tam idą swaty... jeden Hołopuzko, ten ma goły brzuch, a drugi Kostia, przyjaciel, trzyma w ręku serce i kość, piszczel koński... Hołopuzko umarł – ot, krzyż na nim – a Kostia żyje. Pewnie jesteś Kostia!

– To, to! – dziwią się. – Dobrą ty masz książką, Kola miły! A o Cyganach też zapisałeś?

Poszukał... jest! Całą historią opowiedział z kory sosnowej. Tylko spojrzysz na kore, palcem powodzi po wyciętych obrazkach, pomyśli trochę i jak zacznie opowiadać! Ani słowa nie przepuści, a mówi tak, jakby to wczoraj było.

Zatrzymał mnie do wieczora i na noc, a ja rad byłem; uspokoi się tam na drodze, choć i żelaznej. Po wieczery palimy fajki i gwarzymy sobie o byłych czasach. Nie wytrzymałem, bo sami wiecie, jak lubię bałakać o wszystkim, i opowiedziałem Mikołajowi, co mnie spotkało pod Brykowem przy trzech kamiennych krzyżach. A on pyta:

– Pewny jesteś, że to byli ludzie, ruskie żołdacy?

– Zdaje mi się.

– Poczekaj, mam ja tu coś zapisane o Brykowie...

Znalazł wielki kawał kory i czyta po swojemu. Na wierzchu tego kawałka były wycięte trzy krzyże.

– Hej! – mówi po długim namyśle. – Stary ty już, a nie odróżnisz człowieka od czorta. Grzech ciężki wzięłeś na siebie! Wytarłeś się po świecie szerokim i dusza twoja tępą się stała, jak nóż, którym chłopak dwuletni chce krajać kamienie. Nie utniesz takim nożem ani róży polnej, ani zielonej gałęzi dębowej. Jesteś jak ci panowie inżynierzy, co mierzą chłopskie i rządowe lasy: widzą tacy tyczkę swoją i arszyny mają w kieszeni,

ale oczy ich zamknięte na wielki świat, a w duszy tylko troska o rubla. Rozumieją oni korzyść albo niekorzyść ludzką we wszystkim, co zobaczą a usłyszą. Dopatrują się wszędzie w świecie tajemniczym tego porządku, jaki zrobili sobie w miastach swoich kamiennych, a nie wiedzą głupcy, że Bóg myśli i robi inaczej niż gubernator w Łucku czy mechanik uczony. Zaślepił ich za karę Pan nasz na niebiosach, a może i czortowi pozwolił zaślepić, na śmiech i zabawę cudotwórcom naszym świętym. Mam ja zapisane wiernie na korze sosnowej, co tam się dzieje pod tymi krzyżami, ale nie wie o tym żaden pan, ani nie wiedział żaden ruski czynownik. Nikomu nie opowiedziałbym na pośmiewisko, a tobie opowiem, żebyś wiedział, kto wyrwał cię z łap strażnickich.

Surowe były słowa Mikołaja, ale to, co wyczytał w swojej książce, musiało nie być bardzo smutne, bo uśmiechał się pod siwymi wąsami, a oczy mu się śmiały jak u dziecka. Pokłonił się przed obrazem swojego patrona, który błyszczał blachami złocnymi w kącie izby, przeżegnał się trzy razy, raz splunął za siebie zamasyście i zaczął opowiadać:

– Nie wiem, kto zapisał tę historię, ale na pewno nie mój dziadek – pijanica był rozpaczliwy i za wódkę sprzedaby żonę własną i córkę – co udawało mu się czasem. Ojciec – królestwo niebieskie niech mu dogadza na tamtym świecie – był człowiek trzeźwy i rozumny. Raz dziadek chciał sprzedać szynkarzowi piękną skrzynię dębową, okutą mocno żelazem, i wyrzucił z niej cały stos dębowych desek małych z napisami. „Spal to – mówi do ojca. – Zostało po dawnych czasach śmiecie, ani pół kwarty siwuchy nie dostaniesz za ten drewniany majątek.” A ojciec nie spalił. Umiał to czytać lepiej ode mnie, ktoś go naliczył dawniej, może stryj, może jego dziadek albo babka. Leżały deski na strychu, robak się wdał i przeżarł, przekłęty, więcej niż połowę. Stary już był mój ojciec, kiedy objaśnił mi to pismo i kazał przepisać na korę sosnową, wykadzoną od robaków grochowinami i polewaną spirytusem albo mocnym octem. Co dało się, to przepisałem, a opowieść o kamiennych krzyżach sam ojciec jeszcze pomagał mi wycinać. Kiedy stawiano te krzyże, nie wiadomo, ale na pewno za czasów pańskich, bo o Moskalach nie wspominał pisarz, który o sobie tam pisze. Nazywał się on Stiepan, a przezywali go Kiciałupko albo Kotołupieóko, nie można dobrze wyrozumieć z pisma.

Lasy wtedy były wielkie koło Krzemieńca, a w Bojkowie stało tylko piętnaście chat. Za to na górze, gdzie dziś las rośnie, między gościńcem do Poczajowa i rzeką Ikwą, bielała wielka wioska Mazepin, a nad nią wznosił się odwieczny pałac pański. Dziś i śladu nie mapo tej wsi, widać spaliła się doszczętnie, a z pałacu zostały tylko piwnice, gdzie mieszka wąż jadowity i chytry lis, a i to zarośnięte są te piwnice głogiem i leszczyną, trudno odszukać wejścia. Kiciałupko mieszkał w Brykowie, a biedny był, niewiadomego ojca i matki niewiadomej. Wychował go jakiś chłop na pastucha, ekonom pański zapisał jako duszę pańszczyźnianą i byłby zapewne sierota przeżył wiek swój w nędzy a pracy krwawej, gdyby nie to, że pięknym na dziwo stworzyła go moc Boska, a oprócz tego rozumu ludzkiego nie poskąpiła mu i chytrości.

Wielki i bogaty pan mieszkał w pałacu mazepińskim. Stary był, nie żonaty, a miał

zawsze przy sobie straż z dwustu Kozaków, zaklętych jego druhów z wojen dawnych. Każdemu dziesiętnikowi dawał swobodę i ziemię w Mazepinie i Brykowie, a setnicy mieszkali w pałacu, jak panowie, ubrani po pańsku, z srebrnymi szablami, w sutozłoty kaftanach i szarawarach z niebieskiego jedwabnego półtabeńku.

W Brykowie jednak mieszkał jeden tylko dziesiętnik, widać najmniej ulubiony, bo na służbę musiał pięć wiorst co dzień jeździć, rano czy w nocy, jak się trafiło. A może ów dziesiętnik sam uprosił pana, aby mu dał ziemię w Brykowie, bo chowała mu się donia czamobrewa, a pan nie pytał się nikogo o pozwolenie, kiedy zobaczył dziewczynę piękną, choćby i pańską córkę. Siedemnaście lat miała donia, ale oczy jej były smutne, wielkie, jakby zamglone już dawną bolesną tęsknotą, wszelako nie z duszy płynął ten smutek, tylko z diabiego podszeptu, aby otumaniać młodych parobków i starych, choćby żonaty chłopów. Na imię jej było Hala. Z dziewczętami na grzybach w lesie albo przy wigilijnej koladzie dokazywała jak kotek młody, beztroski, ale niech tylko zbliży się chłop, od razu na oczy mgłę zapuszcza i spogląda tak, jakby wczoraj rodzony jej ojciec umarł. Wszyscy kochali się w niej, jednak nie dla chłopa ją przeznaczono, wolna była Kozaczka, córka pańskiego sługi i przyjaciela.

Wiadomo ci, Kostia, że gdzie we wsi mieszka piękny a sprytny młójec, niechby i najmita najbiedniejszy, tam ani wszyscy święci, ani najmądrzejszy bies nie ustrzeże ładnej dziewczyny. Nie poradzi nawet sam komisarz, który przecież wie na trzy dni naprzód, ile drzewa z rządowych lasów ukradnie każdy gajowy i któremu Żydowi sprzeda. Zauważył coś dziesiętnik kozacki i zaczął zamykać Halę w komorze okratowanej. Tak jakby chciał zamknąć wodę w sitach z łyka! Przed niecnotliwą babą czy dziewczyną rozciąga się żelazna krata, jak kalosz pani generalszy z Równego, a zamknięte kłódki nie otwierają się nawet, ale rozklejają, prędzej niż papierowe chari kolędników na deszczu zimowym. Wiedział o tym stary ojciec, Kozak ukraiński, i dlatego postarał się u pana, żeby zabrano pięknego Stiepkę do Mazepina, na służbę lokajską do starej czarownicy Tekli, co na łaskawym chlebie pańskim żyła w osobnym domku na końcu wsi. Ni to pani była, iii chłopka, a dworscy starzy Kozacy mówili, że kiedyś wybawiła pana od turmy i śmierci, którą grozili mu Szwedy, Lachy czy też Moskale. Nie mógł patrzeć na nią pan, taka była stara i brzydka, ale kiedyś służyła mu za żonę, i nie jemu jednemu tylko. Musiała być dawniej piękna, bo wszyscy wiedzieli, że z podarunków pańskich ma skarb uskładany, złote pierścienie, perły, dukaty polskie i tureckie, kamienie bezcenne, wszystko za grzech a lubość nocną zebrane od bogaczy. I wiedzieli też ludzie, że starość jej nie z wieku pochodzi, ale z życia rozpustnego i że łakoma jest na młodych młójców, jak kot na śmietanę.

Oddali Kiciałupkę Tekli, a stary Kozak myślał sobie:

„Nu, teraz wyciągnie z niego wiedźma całą siłę młodą, odechce mu się nie tylko dziewczęcych rozkoszy, ale i życia samego!”

Głupi! Na swoją to niedolę, a na radość diabłu sprowadził Stiepkę do Mazepina. Głupi był jak każdy Kozak, co dawał się w niewolę zaprzęgać i wyzbywał się stron ro-

dzinnych, stepów bezkresnych i woli swojej cudnej, co uczyła życia lepiej, niż uczy sto dworów pańskich, dawała wzrok sokoli i uszy sumaka stepowego, dawała myśl bujną, nieugiętą przez nikogo ze świata, ni z czeluści piekielnych, ni z wysokiego nieba.

Służy Stieпка pani Tekli – bo panią kazała się nazywać – służy i tęskni za Halą, ani widzi, że chcą tu od niego więcej niż palenia w piecu i skubania białych gęsi. Kazała mu pani sypiać w sąsiedniej izbie, że to niby boi się nocą sama. Raz w nocy z piątku na sobotę woła go do siebie:

– Stieпка, chodź tutaj! Kot po izbie chodzi, wyrzuć go na dwór.

Zbudził się Kiciałupko i już chciał wstać, ale przypomniał sobie, że pani Tekla ma nie jednego, ale pięć kotów czarnych, ogromnych, i zawsze śpią te koty w jej izbie. Więc domyślił się wreszcie, o co chodzi, i dreszcz go przejął ze strachu.

Udał, że nie słyszy, a pani coraz głośniejsze go wzywa! Aż zdziwił się Stieпка, że głos ma jakiś inny, dziewczęcy, jak srebrny dzwonek muzykantów, którzy dawniej grywali w kapelach na dworach pańskich bogatych. A zawsze głos miała chrapliwy, skrzypiący, zwyczajnie jak u starej baby. Nie było rady, wstał Stieпка, skrzesał ogień, zapalił kaganiec i wchodzi do izby, prosząc wszystkich świętych o pomoc, bo czuje, że choć toporem by go rąbano, nie wydoła temu, co go czekać powinno. Spojrzał na leżącą panią Teklę i upuścił ze strachu kaganiec na ziemię. Na łóżku leżała młoda, cudna dziewczyna, z włosami jak len rozpostartymi szeroko na poduszkach, nie przykryta niczym, nawet koszulą! Straszna myśl zaświtała w głowie młodego chłopca:

„Wiedźma! Przepadłem ja, nieszczęsny, na wieki wieczne!”

A tu kaganiec sam jedzie do góry i stawia się na stole. Z wysokiej szafy zlatuje ciicho szklana czerwona bańka i przykrywa światło kagańca. Czerwony blask powoli rozjaśniał się w złoto, zdawało się, że poranne słońce zajrzało ciekawie do łóża czarownicy. Czarne koty jeden po drugim podchodziły poważnie do okna i wysuwały się na dwór szparą, przez którą i komar nie przeleciałby. W kącie izby stała na białym pniu brzoźowym jakaś pogańska figurka, cała naga, z fujarką w ręce. Dzieło to diabelskie zaczęło się ruszać, kiwać wesoło głową, w końcu podniosło fujarkę do ust i zagrało ci-chutko, cudnie, ale zagrało jakby głosem ludzkim piosenkę tęskną, miłosną...

– Chodź, miły! – mówi wiedźma słodko. – Widzisz, piękna jestem i młoda!

Zawrócił Stieпка do drzwi, pchnął z całej siły: zamknięte! Skoczył do okna, a w oknie nie pęcherze cienkie, ale belki sosnowe! Włosy zjeżyły się na głowie parobka, padł na kolana przed czarownicą i błaga:

– Puść mnie stąd, dobra wiedźmo, nie zrobił ci ja żadnej krzywdy... Ani ojcu twojemu nie wspominałem piekła, ani matce twojej nie spaliłem miody, na której jeździła w noce księżycowe... Nie znałem i brata twojego, brodatego kozła, nie rzucałem kamieniami w twoich przyjaciół, kotów czarnych, żółtookich... Za cóż zgubić chcesz duszę moją chrześcijańską, niewinną?

Śmieje się wiedźma, pokazuje rzędy bielutkich ząbków i ciągnie ku sobie Stiepkę, mówiąc:

– Głupi jesteś, chłopcze! Cóż ci szkodzi, wiedźma jestem, czy nie wiedźma? Nie słodkie ci będą usta moje czerwone, nie gorące moje piersi, nie lube ręce i nogi białe, drżące miłośnie? Śpiesz się, miły, jedną krótką noc mam w tygodniu, kiedy piękna jestem i młoda... A nagrodzę cię tak, jak tylko zechcesz, byłeś nie odchodził ode mnie.

Może piękność czarownicy, a może i obietnica nagrody uspokoiła Stiepkę, bo posłuchał się, uspokoił i do białego świtu służył sumiennie pani Tekli. Gdy zrobiło się już widno, spojrział na nią i wstrząsnął się cały: koło niego leżała ohydna, pomarszczona starucha z dwoma żółtymi zębami, wystającymi za dolną wargę, łysa, skurczona, straszna. Zerwał się i uciekł, a drzwi były już otwarte.

Cały dzień splotował i modlił się; wiadomo, jeśli grzech spać z obcą babą, to już z czarownicą grzech niezgładzony, potępienie wieczne! Noc przeszła spokojnie, ale na trzeci dzień pod wieczór woła go pani do siebie.

– Stieпка! – powiada. – Ciężko mi czekać do piątku. Przyjdź dzisiaj.

Zgroza przejęła Kiciałupkę. I nie tyle bał się już grzechu – raz czy dziesięć razy, wszystko jedno – ale bał się tego, że nie młodą dziewczynę będzie musiał całować, ale starą, okropną babę. Zaczął się wymawiać:

– Chory jestem.

– Nieprawda! – skrzypi wiedźma. – Brzydzisz się starą, ja to wiem dobrze. Ale powiedz, czego żądasz za kochanie twoje? Wszystko ci dam, co zechcesz, dukatów złotych, pierścieni, sukna niebieskiego... Wolę ci dam nawet, ziemi dużo dobrej, konia... Byłeś nie odchodził ode mnie nigdy!

Pomyślał sobie Stieпка, że jak dostanie dużo złota, to ucieknie z Halą ukochaną daleko, tak daleko, że nie dogonią go Kozacy pańscy, ani znajdzie wiedźma zębata. I mówi do niej:

– Chciałbym ja dukatów polskich albo pierścieni mieć tyle, żebym mógł kupić taki pałac, jaki ma nasz pan stary.

– A co chcesz kupić i gdzie? – pyta pani Tekla. – Czy nie uciekniesz wtedy ode mnie na kraj świata? Jeżeli myślisz o zdradzie, to patrz, jakie moje skarby! Nie zwyczajne one, zaczarowane... służyć będą wiernemu, ale zdrajcę wydadzą na pośmiewisko ludzkie...

Otworzyła jedną ze skrzyń, pełną złotych pieniędzy, i daje dukata Stiepcie. Bierze Kiciałupko i chce schować do kieszeni, a tu pieniądz rusza się w garści... Patrzy: nie dukat to już, ale dwie maleńkie złote postacie ludzkie. Baba i parobek. Zupełnie podobni do pani Tekli i Stieпки. Bez żadnego ubrania, dokazują tak nieprzyzwoicie, że i księżyc zawstydziliby się nawet! Cisnął Stieпка dukat na ziemię i splunął z obrzydzeniem, bo było jeszcze widno – i przy starej babie – a to bardzo niemiło.

– Widzisz! – mówi wiedźma. – Zdradę masz w myśli swojej podstępnej. Źle będzie z tobą! Ale nie myśl, chłopcze głupi, że wieki trzymać cię będę. Znudzisz mi się, jak tyśiąc innych, lepszych od ciebie, i wtedy zrobisz, co ci się podoba, ze skarbem, który dam ci za służbę wierną w kochaniu.

Długo nie chciał się zgodzić Kiciałupko, targował się jak Cygan na jarmarku, i było przecież o co! Kto może przewidzieć, kiedy skończy się babska ochota do całowania? I cóż zostałyby dla Hali najmilejszej, gdyby żyły swoje młode postrzępił i krew gorącą ostudził na starczy lód w łożu nienasyconej czarownicy? Wreszcie narażał na potępienie duszę swoją, ale o to mniej się troszczył, bo wiedział dobrze, że kiedy będzie bogaty, rozgrzeszy go i pop wiejski, i święty mnich poczajowski, i sam archimandryta kijowskiej Ławry Peczerskiej. Nie trudno bogaczowi o zbawienie: sto świec woskowych kupi, sprowadzi szkła ormiańskiego w drewnianej klatce na wprawienie okien cerkiewnych i do plebanii, a jeżeli i to za mało, wystawi kaplicę murowaną przy drodze, albo parę wołów przygoni do popiej obory... Lubi Pan Bóg uczynki na chwałę swoją i na pożytek sług swoich; jak mu dogodzisz, przebaczy wszystko.

Stało na tym, że Stieпка będzie spał z czarownicą dwie noce w tygodniu, nie licząc piątkowej, za którą wiedźma nic nie chciała dać:

– Wtedy – mówiła – ładna i młoda jestem, jeszcze ty powinienesz mi zapłacić, nie ja tobie! – Po roku służby dopiero miał dostać tyle pieniędzy, ile udźwignie na plecach w worku parcianym.

– Ale służ dobrze! – ostrzegła pani Tekla – bo i przed rokiem znudzisz mi się.

Siłę miał wielką, młodzieńczą, Stieпка jasnowłosy, więc nie bał się trudu. A pani żąda jeszcze ślubu, przysięgi! Nie w cerkwi Bożej, bo nie wolno jej wejść za próg poświęcony, ale pod klonem zielonym w lesie, przy świadkach z rodu czortowskiego. Zgodził się Kiciałupko – przecież ślub taki jest nieważny wobec Boga, a że uznaje go moc diabelska – to jeszcze lepiej; nie może bies potępiony dręczyć człowieka za wykonanie prawa czortowskiego, a komu każe Pan Bóg przypiekać grzeszną duszę, jak nie diabłu? Przecież anioł nie weźmie łopaty rozpalonej i nie będzie skrobał nią duszy ludzkiej, choćby nie wiem jak zgrzeszyła!

Hej, ślub był to głośny, a wesele huczne! Ty, Kostia, widziałeś nie raz na pewno w życiu, jak wiedźma za mąż wychodzi, więc nie będę długo opowiadał. Pod klonem starym, rozłożystym, co rósł samotnie na wzgórzu otoczonym lasem i jarami, niedostępnym, zebrał się świat potępiony. Zjechały o północy czarownice na łopatach klonowych, na brzozowych miotłach, w stupach drażonych w dębie, jakby w karetach bez kół, ze stron bliskich i dalekich, z ziemi ruskiej, polskiej i tatarskiej. Rozniosły zaproszenia czarne kruki i sroki, plotkarki wrzaskliwe. Przyleciały na grzbiecie wiatru biesy maleńkie, jak ziarno prosa, i wielkie jak wieża cerkiewna w Zdołbunowie. Nagie, z brzuchami wyдутymi, na zajęczych nóżkach i ubrane w owcze tułupy, czerwone kontuszki lackie, złociste, wyszywane żupany... Twarze ludzkie, piękne, mieszały się z długimi pyskami świń czarnych i białych, z kudłatymi mordami psów, głowami gęsi na cienkich szyjach, wąsatymi łbami sumów... Wszystko to mówiło ludzką mową i cieszyło się a śpiewało pieśni. Ślub dawał diabelski starosta, brodaty czort, ubrany w długi sukienki kobeniak koloru tak czerwonego, że i diabłom nawet mrużyły się oczy. Ślubne korony złote niosły bociany w butach z ostrogami... A po ślubie las cały zahuczał

echem od krzyków radości diabelskiej: „Ha, ha, ha!” Było czego się cieszyć! W jarze ciemnym, zarośniętym tylko grzybami jak koła młyńskie wielkimi, zastawiono ucztę dla gości weselnych. Płynęła na dnie jaru wąskim strumyczkiem wódka chłodna, mocna, całe barany, cielęta i tłuste gęsi czarnomorskie piekły się nad ogniskami, małe czorcietta polewały pieczenie żółtym masłem solonym, aż zapach rozniósł się po okolicy i zwabił do jaru przejeżdżających w pobliżu szlachciców. Kiedy wiedźmy i biesy upiły się, zagrał im do tańca bandurzysta głośny – wicher – na suchych gałęziach sosnowych, na klonowych liściach gęstych, na próchnie dziupli, na dźwięcznych strunach trzcinki Ikwy... Zakotłował się tłum duchów nieczystych, zawył radośnie i rozpoczął długi, nocny taniec. Poleciały jak słomki w powietrze stuletnie dęby, pokłoniły się do ziemi wysokie sosny, zaszumiały w pędzie zerwane strzechy z chat chłopskich. Wirem szalonym zakręciły się po polach i drogach pary weselne, porywając w koła swojego tańca chmury liści, trawy wyrwane, a po wsiach nawet wozy na podwórzach, płoty i połamane wrota... Pamiętali ludzie okoliczni długo to wesele, a najdłużej pamiętał Stieпка, bo to był piątek i już może nie tylko po pijanemu, ale i z ochoty, trochę za sumiennie uczcił swoją żonę wiedźmę, która nocy tej była piękniejszą i rozkoszniejszą niż zwykle.

Może i pogodziłby się z losem młody Kiciałupko i zapomniał o Hali, bywa i taki koniec kochania. Ale w parę dni później zauważył jakiegoś małego, nieznanego garbuseka, który ciągle kręcił się koło domu. Pyta więc:

– Dokąd Bóg prowadzi, dobry człowiecze, nie znacie może drogi waszej?

– Nie prowadzi mnie ten, o którym wspominaleś! – odpowiada garbusek. – A nie poznasz mnie?

– Nie poznaję.

– Na weselu twoim byłem... Całowałeś się ze mną, ale wódka cię widać zamroczyła i nie pamiętasz, o czym mówiłem z tobą. Więc słuchaj teraz, a nie przepuść ani słowa z tego, co mówię. Twoja żonka luba, wiedźma, jest moją babą, kocham ją, a ona mnie porzuciła już dawno na żalność moją i smutek a ból! Oddaj mi ją, dobry człowiecze, nagrodzę, czym zechcesz.

Bardzo zdziwił się Stieпка. Trochę się jednak rozgniewał przy tym, że ktoś chce zabrać mu żonkę, wprawdzie czarownicę i po diabelskim ślubie, przez sześć nocy w tygodniu brzydką staruchę, ale zawsze żonkę! Taka już natura chłopska – choć ma babę potwora krostowatego, a starego jak zeszłoroczny kartofel – nie lubi, żeby ją kto bez pozwolenia ruszył.

– Kto ty jesteś, podlecuc? – pyta Kiciałupko – i jakże ja ci oddam swoją żonkę? Cóż to ona, dziecko bezbronne, kobyła gniada, czy pałka dębowa? Nie bój się, da ona sobie radę, mnie i ciebie pośle do jamy mysiej, pszenicę przebierać na zimę! Mocna wiedźma!

A garbusek śmieje się z cicha i odpowiada:

– Dumy ty jesteś, Stieпка! Nie ma takiej mocy na świecie, która nie da się powalić chytrością, bo każda moc posiada bolące miejsce, znajdź tylko, a uderz dobrze! Po-

wiem ci sekret, jak możesz oddać wiedźmę w ręce nasze, diabelskie, a tam ja już zabiorę ją sobie do druhów czortów na wieczną własność. I nie bój się stracić obiecanej nagrody! Jak mnie posłuchasz i zrobisz to, co ci poradzę, będziesz miał tyle złota, że i wolę sobie kupisz i ziemię, a dziesiętnik, ojciec Hali twojej, kłaniać ci się będzie.

Stieпка obejrzał się trwożliwie, czy wiedźma nie słyszy. Ale ona pod wieczór poleciała na spacer i tylko z daleka, nad lasami widać było jakby plamę czarną wśród gwiazd wschodzących; plama ta ruszała się i drygała, ciągnąc za sobą miotłę, jak nitkę czarną, a dookoła niej tańczyły usłużne biesy, nie większe z daleka od muchy.

– Nie bój się, nie usłyszysz! – ciągnął garbaty czort. – Ale spieszyć się trzeba. Więc zgodzisz się?

– Strach zaczynać z wiedźmą! – szepnął Kiciałupko. – Nie uda się, to przepadłem, jak zając w lisich pazurach! Nie chcę, wolę poczekać, aż sama mnie puści.

Czort przysunął się bliżej.

– A wiesz ty, cielu nierozumne, co ciebie czeka? – powiedział cichutko, z szatańskim uśmiechem. – Ot, szykuje ona nagrodę dla swoich mężów, patrz tylko...

Przysunęli się do drzwi i przez szparę między deskami zajrzeli do izby pani Tekli. Ciemno już było, ale w izbie były zamknięte koty i rozświecały mrok błyszczącymi żółtymi ślepiami. Diabelskie zwierzęta igrały na podłodze, toczyły kule srebrne i złote różnej wielkości, jedne jak jabłka zimowe, inne jak pięść chłopca, a były i wielkie jak głowa ludzka.

– Widzisz? – mówi czort. – To są nagrody. Każdy, co odchodzi stąd na zawsze, dostaje kulę złotą i srebrną, jakie tylko zdoła unieść. Ale odchodzą prawie na czworakach, słabi jak dwuletnie dziecko. I twoją siłę wygryzie wiedźma do szcztetu! Któryż odchodzących był mądrzejszy, brał małe kule i mógł choć dowlec się do cerkwi w Strakłowie.

Tam oddawał popu swoją nagrodę i umierał zaraz, a pop z wdzięczności obmywał grzeszną duszę swoimi modlitwami, a ciało grzebał na cmentarzu. Znalazło się jednak trzech durniów chciwych, którzy zabrali wielkie kule srebrne i złote, szli rakiem a jęczeli, nie doszli do wrót i padli nieżywi! Kazała ich wiedźma zakopać pod lasem koło Brykowa razem z ich nagrodą. Leżą tam na niepoświęconej ziemi i co noc wychodzą grać się w chłopskich i pańskich izbach, przy ogniu pod okapem dymnym. Car Satana nie pozwala im brać do ognia wiecznego, że to ludzi straszą na ziemi, jęczą a dzwonią kulami srebrnymi, które przykuła im wiedźma do nóg. A mnie z tym najgorzej, bo przeszkadzają, upiory zawistne, porwać ukochaną. „Nasza ona – mówią. – Człowiekowi ustąpić musimy i nie ma w nas zawiści do niego, bałwana, ale – mówią – czortowi nie damy, niech poczeka – mówią – aż księżycowi broda urośnie!” Tak żartują jeszcze, podlecą! Żebyś ty, Stieпка, postawił im krzyże, to już mogliby odejść od swoich mogił, tylko do tego miejsca, skąd można te krzyże zobaczyć. A ja omijać będę te strony.

– Hej, czorcie garbaty! – przerwał Stieпка. – Oszukać chcesz, jak Żyd w karczmie! Stawiaj mu krzyże, wronie starej, trudź się, nadstawiaj wiedźmę, żeby dogodzić bie-

sowskiej ochocie na babskie kolana! Sera widać dawno nie jadłeś, przeklęty, i żarty masz głupie jak szczenię wilcze na pastwisku.

– Chciałbym ja oszukać – przyznaje szczerze czort – ale nie mogę; od ciebie zależy koniec sprawy. Choć i tamci trzej nie przeszkodzą mi, to i tak wiedźma miła moja nie pozwoli przystąpić. Dobrze powiedziałaś, że mocna; służy jej plemię nasze biesowskie, upiory omijają z daleka, boją się. Ale cała moc jej ukryta jest w małej włochatej główce, co ma z tyłu na plecach, między łopatkami. Pilnuje jej bardzo! Próbowali już inni odciąć; nie udaje się; poczuje nóż czarownica. A ty spróbuj odgryźć; zęby masz zdrowe jak u psa rocznego. Jak to uczynisz, już ona będzie moja, moc jej pójdzie na lasy – bory, rozwieje się tumanem białym po moczarach... Ale przedtem postaw krzyże – i nie drewniane, bo zwieją je wichrem mocnym družki wiedźmy i zawistne diabły – tylko kamienne. Każdemu upiorowi jeden, a jest ich trzy. I odkopiesz sobie kule kosztowne z ich mogiły, a ja ci pomogę.

Myślał długo Stieпка i wymyślił mądrą rzecz:

– A jakże ja – powiada – wystawię krzyże, żeby wiedźma nie zauważyła? Trzymamnie wciąż przy sobie, a i tak by donieśli jej, że jakieś pomniki stawiam, wtedy i pop domyśliłby się, że to na jej zgubę, nie tylko mądra baba wiedźma.

Stuknął się czort pięścią w czoło i zafrasował. Jednak szeptali jeszcze długo ze sobą i rozstali się kontenci, widać znalazł radę bies chytry.

Od tego wieczoru zaczęły się dziać dziwne rzeczy przy drodze pod Brykowem. Pan czy chłop, kiedy przejeżdżał o zmierzchu koło mogiły, widział zapalone ognisko, a przy nim ani żywego ducha. Z początku zatrzymali się ludzie i dziwili, ale wtedy wychodziło z ciemności małe dziecko z lulką i prosiło o ogień. Jaki taki splunął i chciał jechać dalej, a tu wszystkie palące się główne i iskry gonią za wozem, dziecko też biegnie i prosi: „Daj ognia do fajki!” Aż dopiero we wsi ginęło widziadło przeklęte, a człowiek przejeżdżał z opalonymi włosami i wąsami, koniom nawet grzywy i ogony spalał ogień diabelski. Omijali później wszyscy to miejsce z daleka, ale – wiadomo – jak kto chciał, przez pole ome, pszeniczne, dniem czy nocą – tak że wygnietli do szczętu cały zasiew. A ziemia tam była kozacka, ojca Hali. Skarży się dziesiętnik panu, a ten w śmiech: „Weź – powiada – dobrego kija i dwóch Kozaków i przepędź strachy przydrożne.” Próbował stary Kozak, na śmiech ludzi, bo wrócił bez oseledca i wąsów. Poszedł po radę do popa, a ten kazał mu postawić krzyż na mogile. Nowa bieda, bo nikt nie chce postawić, ani żołdat Kozak pański, ani chłop najemny: boją się. Wziął się sam dziesiętnik do roboty – wystawił drewniany krzyż – i jednej nocy poniósł zbite belki za milę drogi wicher północny. „Postaw krzyż z kamienia!” radzi pop, a i pan się już gniewa, każe stawiać, bo i jemu dokuczył czort, wozy chłopskie i pańskie łamały się na zaoranych polach i rowach wilgotnych.

Leniwy był dziesiętnik, jak każdy Kozak zaporoski.

Bywało, leży na piecu, mucha mu siedzie na nos, a on nie ruszy ręką, żeby zgonić, tylko woła: „Halu, zwierz wlaź mi na głowę, pomóż, gołąbku, zgubić podłego!” I na

konia siadał śpiąc, a w przedsionku pałacu – na służbie – kazał sobie stawiać koryto z wodą i siadał przed nim na ziemi, żeby wpaść głową do wody zimnej, gdy zaśnie. Ale i to nie zawsze pomagało; potrafił z wody nos tylko wytknąć i chrapał w korycie. Takie- mu ciosać kamień... męka niewypowiedziana! Kiedy wyciosał jeden krzyż i postawił na mogile, zachorował na miesiąc. Strachy jednak tylko rzadziej męczyły, ale nie ustały w robocie pogańskiej swojej. „Stawiaj drugi krzyż!” rozkazuje pan. A po drugim Kozak chorował dwa miesiące. Kiedy znów na gniewny rozkaz pana postawił i trzeci krzyż, umarł z trudu Kozak niebożę... ale spokój wrócił pod mogiłami.

Poszedł Kiciałupko po kryjomu pod kamienne krzyże nocą jesienną jasną i kopie. Wykopał już dużą jamę, a tu wysuwa się z ziemi morda lisa, szczerzy zęby i pyta:

– A czego tu chcesz, dobry człowieku?

Przeżegnał się Stieпка i poszedł kopać z innej strony.

Nie przestraszył się lisa; zwierzę stworzenie Boskie, choć plugawe. Znów wysuwa się z wykopanej jamy wąsaty łeb suma, kłapie pyskiem i grzecznie mówi:

– Dobry wieczór, Stieпка, rad jestem z odwiedzin!

No – sum w ziemi – to już sztuka diabelska! Chwycił Stieпка za łopatę i jak nie trzepnie po długich wąsach potwora! Odciął, a tu z wąsów wyrastają żmije, kręcą się koło nóg i syczą ludzkim głosem:

– Zuch Stieпка, zuch! Bębnił jeszcze, będzie nas więcej.

Strach pochwycił parobka za włosy, ale chęć wykopania skarbu była mocniejsza. Depcze Stieпка po żmijach i kopie dalej, pot gradem spada na ziemię z jego czoła, żmij coraz więcej, wicher zerwał się nagle i zapiszczał w krzakach pobliskich, sto ogni zapłonęło dookoła i sypią mu iskry w oczy, a on ścisnął zęby i wali łopatą coraz głębiej, aż dokopał się do nóg jednego upiora, oderwał dwie kule, srebrną i złotą, i w nogi! Wyrzekł się na wieki reszty skarbu. A i tego by nie dokazał, żeby dokopać się nocą do upiora, gdyby nie pomoc czorta garbatego, co dla otuchy Kiciałupki wlaźł mu do kieszeni, przemieniwszy się w patyk klonowy.

Było to w piątek przed północą, bo ten dzień wybrał Stieпка na odgryzienie czarownicy jej główki włochatej na plecach. Wiadomo, gdyby chciał ugryźć starą babę, nie ładną dziewczynę, w jaką przemieniała się tej nocy pani Tekla, nie starczyłoby mu i odwagi i smaku, zęby ścierpłyby młodemu.

Schował swój skarb Stieпка dobrze i idzie do swojej żonki, boi się, czy nie ostrzeże jej kto. Ale bies garbaty strażuje, sprowadził deszcz siekący, ostry i zimny; na taką pogodę i wiedźma nie wyruszy jesienią, nawet na spotkanie dwóch czortów i samego komisarza. Pani Tekla spokojna była i radosna, jak zwykle nocą przy mężu, ani przeczuwała, co ją czeka. Tylko koty czarne miauczały żałośnie, nie chciały wyjść z izby, aż cisnął w nie butem Kiciałupko i zagroził, że zawoła psa Kaina, który każdemu kotu odgryzał kawałek ogona i puszczał z życiem, a wiadomo, że nie ma gorszej hańby dla rodu kociego, jak mieć krótki ogon. Poszły czarne koty i więcej nie wróciły.

Stieпка już był zmęczony trochę, pół roku przecież mieszkał z czarownicą! Nadrabia

miną, bardzo niespokojny, czy uda się podstęp, i całuje a całuje pachnące, świeże i młode usta wiedźmy. Rozebrała wreszcie mołojca piękność żonki, zapomniał o diable garbatym i całym świecie... Kiedy ochłonał, znów bierze się do całowania i stara się dostać pleców białych żoninych, ale sumienie go znów gryzie, żal mu tych włosów gęstych i miękkich, oczów czarnych, szyi okrągłej i giętkiej, twardych piersi... ba, wszystkiego mu żal oddać w obcą moc, a do tego diabelską! Bo – po prawdzie – Stieпка kochał swoją żonkę w każdą noc piątkową, tęsknił za nią więcej niż za Hala i żeby nie widywał jej w inne dni i noce tygodnia jako starą, obrzydliwą babę, rozkochałby się na śmierć i zapomniał zupełnie o biednej sierocie po dziesiętniku kozackim, a siebie zgubiłby na wieki. Targany i niepokojem, i żalem, całuje całe ciało piękne, a omija główkę włochatą; całuje pewnie za długo, bo pani Tekla, choć bardzo lubiła całowanie, zdziwiła się trochę i upomina go łagodnie swoim srebrnym głosem:

– Miły mój, czas leci prędko, dzień już niedaleki... Samym całowaniem nie nasycisz siebie ani mnie... i motyl nawet samym miodem nie żyje.

Już kiedy żonka wiedźma w noc piątkową zaczynała mówić, tajało młode serce Stieпки. Nie wytrzymał i wypowiedział się wiedźmie z zamiarów swoich, ze wszystkiego. Słuchała pani Tekla, zmarszczyła groźnie czarne brwi, zdawało się, że chwyci swój kindżał i pokłuje na sito mołojca głupiego. Ale inaczej się stało. W każdej babie większa jest chęć zemsty niż gniew, toteż pohamowała się wiedźma, myślała długo i rzecze:

– Daruję ci, Stieпка, zdradzieckie twoje myśli, boś głupi. Na głupiego nie można długo się gniewać. Oszukał cię bies garbaty, te kule nie są złote ani srebrne, po ciemku nie dojrzałeś. Ze szkła są zrobione przez Ormian berdyczowskich. Nie dla twojego to rozumu jest zmowa z diabłem, oszuka i wyśmieje, bies podstępny. Co by ci przyszło, durniu, ze szkła? A jeszcze nie wiesz, że twoja Hala już od miesiąca jest u pana w pałacu, łóżko ściele panu i ogrzewa... Widzisz, jaki głupiec jesteś!

Skoczył Kiciałupko – jak ukropem oblany – na wieść taką wróciły się dawne wspomnienia, wróciło kochanie, jakie miał dla smutnych oczów Hali i jej cudnej, dziewczęcej skromności. Poznał w jednej chwili, że wiedźma jak wódka oszałamiała go, ale w sercu swoim kochał tylko młodą Kozaczkę. Zdawało mu się, że Hala stracona już na zawsze, więc rozpaczliwie chwycił się za głowę i zatargał czupryną, krzycząc głośno:

– Hala miła! Zgubił ja ciebie, sierotkę, i siebie zgubił... Gołąbko moja biała, przepadłaś ty w łapach laszych, pańskich. Lepiej byłoby ci nie rodzić się na świat przeklęty w białej chacie kozackiej!

– Cicho, bałwanie! – przerwała czarownica. – Usłyszysz jeszcze czort garbaty i ucieknie przed zemstą moją. I nie bój się o dziewczynę, pało dębowa! Nic mi już po tobie, możesz brać każdą babę, więc ci mówię: twoja Hala jest taką samą, jaką zabrali z chaty ojcowskiej. Bawi się nią pan, jak z kotkiem – no, może i trochę inaczej – ale on jeszcze za moich młodych czasów nie mógł skrzywdzić żadnej dziewczyny – stary on już. Za to, żeś nie oddał mnie w ręce garbusa, pójdę do niej i powiem jej sekret, jak ma zrobić, żeby zniełubił ją pan... A teraz siedź spokojnie, zacznę krzyczeć, żeby zwabić

czorta natrętnego.

Okropnie zawyla wiedźma i w tejże chwili wpadł do izby diabeł, myśląc, że Stieпка zrobił już swoje. A pani Tekla za łeb go.

– Chodźże – mówi – kochanku mój miły, słodkość ci dam nienazwaną, niewidzianą!

Jak nie zaczniesz łupić czorta po garbie twardym, po głowie rogatej, po pysku żółtym ze strachu! Wywija się biedny, skamle, piszczy; nic nie pomaga, jeszcze mocniej wali rozzarta czarownica. Przywiązała go wreszcie łańcuchem miedzianym do haka w ścianie i drwić zaczęła:

– Chciałeś mnie dostać, ty straszaku bab i pijanych, ty Herodzie skrzywiony, ty wytarta czapko żydowska! Nie dla takich ja jestem wieprzów brudnych, śmierdzących. Będziesz tu siedział na łańcuchu, póki mnie się podoba; nie zerwiesz łańcucha, bo miedziany, dzwony cerkiewne z miedzi robią, więc nie starczy ci siły. A za to, żeś upiory ukrzywdził krzyżami, które z twojej poręki postawił nieboszczyk dziesiętnik kozacki, będziesz zapalał ognisko na ich mogile, kiedy tylko zziębna, nieszczęśni, i zawołają ciebie. Wydłuży ci się wtedy łańcuch, a potem ściągnie znów do tego kąta. Będą ci oni, upiory, dziękować za niedolę swoją, za utraconą swobodę, twardymi pięściami i okutymi butami! I ja ci dziękuję, żeś ostrzegł mnie a nauczył, żeby nikomu i bez noża nawet nie pozwalając się dotknąć pleców moich białych... Odejdę stąd daleko i inaczej już żyć będę, lepiej...

Poszła w świat pani Tekla, bo bała się, że jej tajemnicę rozniesie szeroko i czort sam, i Stieпка nawet. Mieszkała potem w Żytomierzu czas jakiś, ale ludzie mówili, że miała u siebie piękną i młodą córkę, do której zwabiała co piątek młodych ludzi, samych szlachciców i Kozaków. Przez sześć dni w tygodniu córkę tę niby ukrywała przed ludzkimi oczami, a sama nigdy nie prosiła o nic swoich gości, tylko o szczęście dla córeczki lubej... Później przeniosła się dalej, może do Kijowa samego. Może i dziś jeszcze żyje i nasycy się kochaniem, wiadomo, babie nigdy nie dość słodkości miłosnej...

A garbaty czort do dziś na pewno siedzi w tym samym miejscu. Przez jego to złość niszczała wieś Mazepin i śladu po niej już nie ma! Często wołają go upiory z mogiły pod Brykowem, ażeby ogień zapalił nocą, nawet i w lecie, bo zimno niebożętom pod ziemią. Tylko od diabelskiego ognia nie można zapalić lulki, więc proszą o ogień przejeżdżających czy przechodzących. Kto zapali im fajkę – podziękują pięknie, ale jak nie zechce zrobić im tej przysługi – zbiją, pokrwawią, zabiją nawet!

Kiciałupko musiał jednak długo jeszcze czekać na swoją Halę i być parobkiem u Kozaków pańskich. Choć wiedźma spełniła swoją obietnicę i powiedziała jakiś babski sekret dziewczynie, nic się nie zmieniło przez długi czas. Nie chciała młoda Kozaczka posłuchać rady dobrej.

– Nie mogę – mówiła do Stieпки, kiedy prosił ją, żeby zrobiła to, co trzeba było zrobić. – Ty jesteś chłop, nie rozumiesz, że są takie sprawy nasze dziewczęce, których żadna się nie chwyci, choćby nawet dla najwięcej nienawistnego chłopca. Wstyd mocniejszy, a podobanie się choćby wrogowi miłsze niż swoboda...

Aż znudziła się panu i puścił ją do ojcowskiej chaty, posag dał i pozwolił Stiepcę ożenić się z nią. Żyli długo. Często zabawiali się dukatami, których kilka ukradł Kiciałupko na pożegnanie u wiedźmy.

– Patrz, Kostia – zakończył pasiecznik – w tym kawałku kory jest dziura drążona, taka sama była w starej desce, a w dziurze schowany jeden z tych dukatów, na pamiątkę.

Wyjął dukata Mikołaj i okazuje mi. Wziąłem do ręki, oglądam: szczerę złoto. Zatarty trochę był, ale widać jeszcze było na jednej stronie babę i chłopca w takiej igraszce, że grzech wspomnieć. Na drugiej już nie było ludzkich postaci, tylko coś takiego, że długo przyglądałem się, zanim zrozumiałem, a później obaj z Mikołajem aż pokładaliśmy się ze śmiechu na ławę dębową! Dowód prawdziwy, że na korze była napisana szczerą prawdą i nic nie załgał Kiciałupko, który mądry był dla spraw ludzkich, ale z czortem i babą tylko przez głupotę dał sobie radę, i to przypadkiem.

– Ale – pytam Mikołaja starego – Stieпка pisze o trzech upiorach, a ja widziałem więcej niż dziesięciu. Skądże ich tyle zjawiło się na mogiłce?

– Och, święci pańscy! – jęknął pasiecznik. – Czy ty dziecko jesteś małe, a głupsze niż mniejsze? Upiory zawsze mnożą się w oczach ludzkich, dobrze, żeś nie zobaczył ich tysiąc i więcej...

Rano pojechałem na kołach żelaznych w stronę swoją. Może i gonili kogo, ale mnie, starego grzesznika, Bóg przeprowadził szczęśliwie przez gęstą sieć strażników i żandarmów, co roją się po ziemi naszej szerokiej jak mrówki koło opuszczonego ula leśnego.

Prawda, wiele razy zaczepiali mnie: „A skąd jedziesz? a dokąd? paszport masz?” Ale ja już mądrzejszy byłem i odpowiadałem tylko:

– Ne rozumiju, wielmożnyj pan!

Oni, Polaki, bardzo lubią, jak im powiedzieć: „Wielmożnyj pan”. Niektórzy pytali i po rusku: „Otkuda ty, staryj chrien, zaczem szlajeszsia?” A ja znów to samo: „Ne rozumiju!” Tak i puszczali mnie wszędzie.

Ot, macie tę opowieść o kamiennych krzyżach. Nie wymyślił jej żaden pan z miasta, żaden uczony człowiek, ale wyczytał ją z kory sosnowej prosty chłop, pasiecznik z Werby.

Widzieliście pewnie nieraz, jak w pochmurny dzień jesienny szara mgła drobnego deszczu zasłania ścianę lasów. Niebo jest brudne, jednakowo białawe od końca do końca, a na nim rysuje się ciemną wstęgą wysoki las, poszczerbiony u góry wierzchołkami najstarszych sosen i dębów wysmukłych, śródleśnych. Ale nie dojrzysz gałęzi, nie odróżnisz pni ani kolorów, jakimi maluje nasze lasy późna pogoda jesienna. Już żadna błyskawica nie rozświetli ci tej beznadziejnej szarzyzny, już nie pokaże się dziś słoneczko jasne i nie ozłoci ziemi Bożej i ludzkiej biednej duszy. Tak i starość zasłania mgłą szarą te cudne obrazy, które w lecie naszego życia jaśniały zielenią, błękitem i złotem w myślach i sercach naszych. I młodość ma swoje noce czarne, rozpaczne, ale

często rozjarzają się w jej mrokach ostre, bolesne choćby błyskawice, a sama noc jest krótka, ucieka prędko przed słońcem ciepłym. Zamglony dzień jesienny nie czeka burzy ani słońca, ani ciepła, szarzeje coraz ciemniej, zasłania coraz smutniej świat cały.

Dlatego wam, młodym, opowiadam te dawne i dzisiejsze zdarzenia na ziemi naszej. Zaćmiewa się już pamięć moja, gasną barwy w starych oczach, nie czuję już ani wielkiej ochoty żadnej, ani mnie nie drażni żadne zło na świecie oprócz obmierzłej mocy diabelskiej. Słuchajcie i opowiadajcie dzieciom waszym, bo tyle będzie szczęścia waszego, ile wiary a tęsknoty serdecznej zachowacie w duszy swojej. Rąbią nasze lasy siekiery pańskie i żydowskie, nielitościwe, niechajże nie wyrąbią serca z waszej piersi... Rad jestem, że mój stary, że nie doczekam czasów, które idą, ale miną i one, a nie minie ziemia, nasza matka. Przyjdzie mądrość ludzka fałszywa, co naprawiać i ulepszać chce życie, rozpuści po matce ziemi nie szumy lasów i borów ciemnych, nie gwary wysokich pszenicznych łąnów, ale zgrzyty przeklętych żelaznych maszyn, a niebo nasze pogodnie zasłoni czarnymi chmurami dymu z fabrycznych kominów. Zahula swobodnie między ludźmi bies chytry i nie dojrzą go niczyje oczy, bo oślepi każdego uczońść, co w miastach bezbożnych się rodzi na samą że niedolę ludzką. Nie usłyszą niczyje uszy tych cudnych pieśni, które śpiewa i trawa zroszona w poranek letni, i lśniące, ciężkie okiście śnieżne na szerokich gałęziach młodych świerków... Nie zobaczy nikt tych cudów nienazwanych, wiecznych, które dookoła każdego stworzenia i człowieka rozsiewa hojnie moc Boska, jak rozsiewa czerwoną jarzębinę wiatr pracowity na niedostępnych ruinach horodyskich. Gonić będą ludzie za korzyścią dzisiejszą, a stracą największą korzyść: słodką tęsknotę i wiarę, co z ziemi jest i z nieba, ale nie z uczońści ludzkiej, która przed mocą Boską jest mniejsza niż kropla błota przed słońcem. Szaro i smutno mi w starości, usycha ciało i dusza moja, a przecież lubą dla mnie jest tęsknota i uschnę na wieki spokojnie, jak usycha spróchniałe, stare drzewo. Nowi ludzie dręczyć się będą śmiercią, przeklinać starość swoją i życie całe, bo nie uczują, że zrosnięci są z ziemią i niebem, jak zrosnięta jest z ciałem ich głowa. Obce dla świata prawdziwego będzie ich życie, przestaną się dziwić w ślepotcie i głuchocie swojej.

Tylko w pieśniach i opowieściach naszych prawda zostanie, nie wytraci jej żadna siła ludzka. I przeminie uczońść, zwałą się miasta dumne i fabryki dymiące, olbrzymie, wyginie może ród ludzki, a ziemia i niebo zostanie! Wrócą się lasy, przyjdą stada wilków i saren płochliwych, niedźwiedź wybierać będzie miód z dziupli pszczelnych, polany leśne skopią czarne dziki... Ożyje, rozśpiewa się ukraińska ziemia bujna, wiatr roznosić będzie w borach i trzcinach jeziornych opowieści dziwne, tajemnicze a słodkie, prawdziwe. I może znów przyjdą tu ludzie i w słowa ludzkie, w melodie tęskne ujmą głosy i rzeczy ziemi żyjącej, wiecznej, jak ujmowali nasi ojcowie, co śpią już snem nieprzebudzonym pod ornym polem i zapomnianymi mogiłkami leśnymi.

Chydrość Marusi

Och, dokuczyci wy już mnie, zamęczyć chcecie starego! Ledwie z wozu ja zszedł przed chatą, a tu koło mnie ni to jarmark w Ostrogu, gdzie po sól i gwoździe zbiera się naród aż spod Żmerynki, ni to panichida po staroście mizoczańskim, czort wie – nie w porę powiedziawszy – co takiego! A każdy wyciąga szyję, jak bocian do żaby na mokrej łące, i miele, podlec, językiem prędko, jakby świderkiem kręcił w oba uszy. „A jak tam było? a co zrobili z Micią? a gdzie byliście?” Z jedną gębą stworzył Pan Bóg mnie grzesznego, nie odpowiesz wszystkim naraz. I nie lubię ja opowiadać, jak każdy pustogłowiec przerywa a pyta ciągle: „A jak? a dlaczego?” Słuchaj, durniu, to pojmiesz, ludzkim że ja językiem mówię! Bałakać możesz w szynku albo na weselu wdowim, wiadomo – wdowa – baba obyta z chłopem, nic nowego jej nie powiesz, a słucha bestia, jakby wczoraj ją na świat wydała jej matka wiedźma, i jak zapytasz: „Na co? dlaczego?” to tak ci odpowie, że kot ze wstydu schowa łeb pod tylną łapę. Lubi, jak stare chomać, żeby ją poprawiać. Ale ja nie wdowa, chcesz słuchać – to pošlij język za zęby, gdzie mu i miejsce się należy. Sam wiem, co chcecie wiedzieć i wiem, jak opowiadać. Rozgniewali wy mnie, pogańskie tarakany! Obleźli zewsząd i: „Harahara!” nie ujmiesz przeklętych. Ot, przestanę rozmawiać z wami i tyle! Wolę mówić do mego kota albo do starego Woriszki. Jak mówię do Turczyna, to choć przez godzinę ani „miau” nie mruknie; patrzy za muchą albo w kąć chaty, gdzie myszy sprawiają wesele, albo myje łapką sumiaste wąsy. Taka już bestia czystopłotna, że choć najciekawsze rzeczy mu opowiadaj, on najpierw musi umyć wąsy i nos, dobrze jeszcze, że nie co innego. Ale słucha cichutko. A Woriszka leży sobie pod piecem, patrzy w oczy i tylko kiedy przy opowiadaniu głośno wspomnę czorta, odzywa się: „Wrrr!” i stuka ogonem po podłodze. Myślicie sobie: „Zdumiał stary, z nierozumnym zwierzem rozmawia!” Nie zdumiał ja, na odwrót, rozumu nabrał z latami. Nie wiem, czy prawdę popi mówią, że zwierz dziki – a choćby i chowany – rozumu nie ma. Innym razem robi tak, że powstydzisz się przed nim. Wiadomo, duszy nieśmiertelnej brak mu, biednemu, inaczej i jego zbawiłby Chrystus Zbawiciel. A jakżeby on w chórach niebieskich śpiewał „Hospodi, pomiluj!” na chwałę Stworzyciela? Ale rozum to pewnie ma, tylko jego psie albo kocie czy inne prawo nakazuje ukrywać przed ludźmi. Tak jak ukrywa chłop swoje chłopskie pomyslenie, kiedy mówi z panami. Tak jak i ja musiałem i po drodze, i w Warszawie ukrywać swój rozum i patrzeć tylko na pańskie zwyczaje, aby robić i mówić tak, jak im się podoba.

Wiecie już, po co wyjechałem. Ale nie wiecie tego, że po drodze do Samostriełów spotkaliśmy Hrycia Hajdakurę, a on z daleka już zobaczył nas i macha białym papierem.

– Stójcie! – zawołał. – Znów list przyszedł do Marusi, pewnie od Mit’ki.

A Marusia zbladła i oczy zakryła rękami. Żał mi zrobiło się nieszczęsnej i grożę kuliakiem Hajdakurze, żeby zamilkł, ale ten ryczy dalej:

– Nie groźcie, Kostia, moje prawo pocztowe list oddać po adresie, za to płacą. A choć komu krzywda, nie moje dzieło. Nie winien ja temu, że są pisma, co płakać każą.

Nie było rady! Wóz zatrzymał się, a Marusia odebrała list i oddała mnie.

– Czytajcie, dziadziu! – poprosiła.

Łzy jej płyną dwoma strumyczkami z wielkich karych oczów, brewki czarne ściągnęła z bólu... Ot, bieda! Prawda to stara, słyszał ja ją jeszcze od dziadka swojego, co za młodu pod Gontą służył, że jeżeli Pan Bóg stworzył babę, to nikt inny, tylko bies nauczył ją płakać. Żeby na złość zrobić Stworzycielowi! I teraz on sam, najmądrzejszy, i wszyscy święci jego mają wielką zgryzotę. Stanie się co z woli jego świętej, a tu młoda baba w płacz i prosi, żeby się odstało! Mówią, że z początku ustępował Pan Bóg i Zbawiciel, nie mogli patrzeć na babskie płkanie. Ale ustąpisz jednej babie, to znów drugiej przez to zmartwienie i nowy płacz! Nawet mądrość Boska tu nie poradzi. Więc teraz jak tylko Chrystus zobaczy, że szklą się łzami rzęsy czarne, a usta maleńkie ściągają się jak u dziecka, odwraca swoje miłosierne oczy i woli patrzeć na gwiazdy, co błyszczą może słabiej, ale nigdy nie płaczą. Jak spojrziałem wtedy na Marusię, zrobiło mi się słabo, a potem taka złość mnie ogarnęła na Mit’kę, że zacząłem walić pięścią w drąg drabiny od wozu, wyobrażając sobie, że to jego morda bezwąsa. Cóż było robić?

Kazałem Tymonce stanąć, a sam wyjąłem papier z torebki, co nazywa się po pańsku konwert, i czytam. Pisał – podlec – wyraźnie, nauczyli go widać w Moskalach piórem obracać lepiej niż szablą.

„Ty, Marusiu – pisze tam – już mnie więcej nie żona! W wojsku ja zostanę na zawsze, zawodowym – pisze – unteroficerem zostanę. A jak dobrze pójdzie, to i w oficerzy przeprowadzą, pani – pisze – komendantsza obiecała. Takiego – pisze – chłopca w całej dywizji, znaczy pułku, nie ma. A ty sobie rób, co chcesz, z głodu nie umrzesz, na swoje dziewięć dziesięcin wynajmij parobka, konie ci daruję i wozy dwa i uprząż, tylko daj mi spokój i nie pisz swoich mężczyznych listów, bo mi wstyd...”

I tak dalej jeszcze pisał, sobaczy syn. Wiedział ja już dawniej, co to się stało, listy zawsze czytałem Marusi biednej. A ona, Marusia, babskim swoim wędchem też doszła prawdy. Wiadomo wszystkim, Micia jest chłop piękny i mocny, nikt w okolicy nie mógł mu dać rady, czy to w bójce w szynku, czy przy dziewczynie. Pamiętacie, jak on śpiewał? Dużo śpiewów słyszałem ja w życiu, ale jak on zaciągnął moskiewską piosenkę:

*Poslednij nyniesznij dnioczek,
proszczajus s wami ja, druzja!*

to wszystko zamierało we mnie, jakby ktoś z serca wymiół cały świat i tylko tęsknotę słodką zostawił. W listach, co pisał jeszcze przed rokiem, ciągle wspominał o powrocie i Marusię nazywał gołąbką, światkiem, ptaszkiem. O konie pytał, o krowy, nawet o gęsi czarnomorskie. A teraz wszystko rzuca, daje babie na własność, jak stary rzemyk. Wiadomo, po ojcu nie wziął nic jeszcze, ale weźmie piętnaście dziesięcin, i jakże bez koni i wozu poradzi? Chyba naprawdę miał wtedy we łbie swoim durnym myśl taką, żeby do śmierci zostać pańskim Moskalem!

Potem pisywał coraz rzadziej i wciąż o pani komendatszy. Wzięli go w dieńszczyki do jakiegoś starego ichniego generała albo pułkownika, jednym słowem komandira wielkiego. Zawróciła pani w chłopskim łbie zakutym. I jeszcze czym? Widział ja ją w Warszawie, piękna ona i młoda, a mąż siwy – siweńki, ale Marusia ładniejsza i dużo nawet w naszej wsi ładniejszych dziewcząt i bab. Nie liczkam zaślepiła czortowska pani głupca Micię, nie strojem, jak ze mgły niebieskiej utkany, nie nóżkami, bo Marusia ma mniejsze, ale... Posłuchajcie samego durnia: „Ona – pisał raz w liście – pachnie raz jak fiołki, drugi raz jak jaśmin...” i począł wyliczać wszystkie kwiaty pachnące. Nie wiedziałem, że serce ma, bałwan, w nosie. A Marusia biedna aż z Równego przez Żyda sprowadziła sobie pachnącej wody w małych buteleczkach i odpisywała, że i ona będzie tak samo pachnąć. Duma i ona, ale Micia głupszy. Toż Marusia pachnie młodością i sianem świeżo skoszonym i ziemią zieloną, wiosenną, i wszystkimi kwiatami naszymi, ale jemu, podłemu, zachciało się pańskich fabrycznych zapachów. Podobał się Micia pani, ubrała go jak obrazek, nie w kazonne, ale w ciemne sukno, a te ich ułańskie mundury i buty lakierowane – nie ma co mówić – ładne, choć za cara były ładniejsze. Nie bardzo on tam spełnia służbę swoją powinna, chodzi sobie po domu, poganin, a śpiewa często, pani mu przygrywa do śpiewu na fortepiano... Wiadomo, gubi duszę i ciało. Marusię nieszczęsną zabija, a wszystko przez ten nos swój przykłyty. Ot, czym to czasem czort na zbugę prowadzi dusze prawosławne!

Jak ten list na wozie przeczytałem, mówię do Marusi:

– Wracajmy, ditiat’ko moje nienapatrzone, po cóż tam jechać do tego zdrajcy? I paszportów nie mamy, strażniki nie puszczą pewnie. Nigdy ja nie był w lackim kraju, a choć po polsku mówię dobrze, zawsze strach znaleźć się w takiej stronie, gdzie tylko katolik i Żyd mieszka... Napiszemy lepiej jeszcze jeden list do Mici.

A ona znowu płacze!

– Dziadziu miły – prosi cichutko – już siły nie mam, żeby samej jechać. Jedźcie ze mną! Bardzo biedne moje serce, czuję, jak pazury czyjeś ostre wpiły się w niego i szarpia, krwawia... Umrę, dziadziu, jeśli nie zobaczę Mici i nie przypomnę mu kochania naszego. Muszę zobaczyć i jego... i...

Nie domówiła, ale ja domyśliłem się, że i ją, panią tę pachnącą chce zobaczyć, czarodziejkę podłą. Po prawdzie to łatwo zgodziłem się jechać dalej, ciekawość u mnie stara nawyczka, dosyć ja nawędrowałem się po świecie białym i wiem, iż wszędzie nowego wiele zobaczysz. A i Marusię lubię, sierota ona, jedna na świecie. Dobre to

dziecko dla mnie, nie naprzykrza się, nie włązi do izby – jak inni – nie w porę, żeby zapytać, kiedy księżycowi uszy odmarzną.

Jak ma jaką sprawę, list od Mit'ki przeczytać, albo wyrozumieć papiery jakie, co wciąż przychodzą z Równego czy z Korca od urzędów, a to w sprawie komina, a to znów żeby dziecko posyłać do szkoły, przyjdzie biedna pod chatę i dopóty czeka, aż sam wyjdę. „Nie chciałam, dziadziu, przeszkadzać,” mówi. Jak się roześmieje, to w duszy jaśniej się robi i tak miło, że byś chciał słuchać choćby dzień cały. Ale rzadko się śmieje od tej pory, jak Mit'kę wzięli w Moskale. Raz oboje śmieliśmy się długo nad tym papierem, o którym wspomniałem, o dziecku i szkole. Kazali tam sztraf zapłacić, dwanaście złotych i sześć groszy, za to, że Marusia nie posyła dziecka do szkoły. A synek Marusi, wiecie wszyscy, urodził się w dwa miesiące po tym, jak Mit'kę zagnali na służbę żołdacką, jeszcze dwóch lat nie ma. I szkoły też nie ma we wsi, najbliższa w Mieźdurieczju – dwie mile – jakże on dwuletni zajdzie do szkoły? Ano śmieliśmy się, ale zapłacić było trzeba. Poszedłem do pieredownika na post strażnicki i skarżę się, tak i tak, a on powiedział, że jak to prawda, to trzeba napisać do Równego, stempel za trzy złote przylepić, może i zwrócą te dwanaście złotych. W końcu pyta mnie: „A ty, dziadku, dlaczego mieszasz się w nieswoje dzieło? Marusia tobie nie córka ani wnuczka! Bunt – powiada – robisz, namawiasz, żeby sztrafów nie płacili?” Uciekłem ja z postu i czapkę barankową zostawiłem; myślicie, że odesłali? Na tamtym świecie odesłają! Tak i ja domyśliłem się przyczyny sztrafów: zamyka Marusia drzwi mocno na noc i nie otwiera, choćby przystaw sam prosił.

Ech, szepczecie, głupi, między sobą i gęby wykrzywiacie, że to: „Rozkochał się stary w Marusi, a jak Mit'ka nie wróci, to wesele im sprawimy pod wierzbą, pod suchą przy drodze do młyna.” Znam ja was, języki nieujęte! Lepiej by jeden z drugim odrąbał siekierą swój język i dał psu zjeść na kolację, choć i pies tego nie zechce, chyba wrona, co każdą obrzydliwość pożera. Pamiętajcie, że mądry język nabiera mądrości, ale po głupim rozum upływa, jak piwo z beczki po dziurawym szponcie. Prawda, rozkochał się ja w Marusi, ale tak samo rozkochałem się i w sarnie, i w kocie swoim Turczynie, i w dębie, co nad jarem w Mizoczju stoi już tysiąc lat, i w cichości nocy zimowej, białej... Nie o żoncy mi myśleć, nie o dziewczynie czamobrewnej, śmierć łuta blisko już krąży i chłodem mrozi myśli moje stare. Tyle ciepłego dla serca, co ulżysz niedoli zwierza bezbronnego albo słabego człowieka, niechby i baby. Rzadko która nie potrafi dać sobie rady na świecie. Ale jak znajdzie się kiedy słaba, to już wszyscy na nią, jak psy na zająca! I zagryzą, zniszczą nieszczęsną, a mąż pierwszy zaczyna, jak ten rozbójnik Mit'ka. Nie wierzę ja babskiemu rodowi, a Marusi wierzę, wiecie dlaczego? Nie zabije ona kury ani prosiaka, ptaszki przemarznięte zimą zbiera w polu i chowa w izbie, stare psy włóczęgi karmi i trzyma w stodole. U niej – sami to wiecie – trudno rozmawiać w izbie i w sieni; choć okna i drzwi w lecie otwarte, chmury całe ptaków czirikają jak w arce Noego. Ja wiem, że dużo bab na świecie ma miękkie serce dla zwierząt, ale ono zawsze się kończy wtedy, kiedy kłopot się zaczyna, a tam już won

wszystko za drzwi. Marusia inna!

W Hoszczy mieliśmy nocować, ale Zbawiciel zmiłował się nad nami i dał przestrożę. Jak skręciliśmy z szosy na lewo przy połustanku, wyskoczył od strony mostu na Horyniu jakiś konny żołdat i woła: „Stój!” Tymonka dumy przestraszył się – ot, dziecko – i dawaj koniom pod brzuchy batem. Żeby uciec! Ale gdzie uciekniesz po tej drodze do Hoszczy! Powiadają, że jak tamtędy jedzie Żyd do Równego, to zabiera cały wóz dzbanków blaszanych z mlekiem, a już na szosie ma tylko masło. Nie droga to, ale pole, zaorane diabelskim pługiem, a miejscami jar – ani środkiem, ani bokiem nie pojedziesz – choć siadaj na błocie i czekaj na Bowę siłacza, żeby pchnął wóz. Jak konie szarpnęły, postronek jeden od siwej kobyłki pękł w samym środku. A żołdat nadleciał:

– Ty, dziadzie przeklęty – woła – uciekać zamyślił?

– Nie uciekam ja – mówię – tylko do Hoszczy jadę, do felczera z chorą wnuczką. Puśćcie biednych ludzi, wielmożny] panie żołdat!

– A pasport masz?

Widzę, zła sprawa. Chciałem spróbować najlepszego propusku i zaczynam rozwiązywać chustkę, com miał za pazuchą, ale pomyślałem, że trzeba wiedzieć najpierw, komu się daje. Za cara dobrze wiedziałem, ile się każdemu należy i znało się wszystkie mundiry, od razu wiedziałeś, czy obejdziesz się półtinnikiem, czy rublem, a czasem wystarczy i dwugrywiennik. Teraz wszystko inaczej. Czort wie, ile różnych czapek i epoletów mają żołdaty i różne strażniki. Nie poznasz: przystaw, sam uriadnik, czy prosto niżnij czyn? I kto ich wie, co który ma prawo robić. Więc patrzę i modlę się do świętego Arkadiusza męczennika, który za cara Konstantina Wielkiego był umęczony za to, że przyprowadził do urzędu za podatek ostrzyżonego barana. Tak i kazali mu: „Daj barana,” ale nie wiedział święty, że wełnę zabierał czynownik, który choć był chrześcijaninem, zabić kazał nieszczęśliwego, że to – powiada – stary zwyczaj złamał, nowości wprowadzał, bunt czynił przeciw władzy! Czytał ja o tym w książce, dawno, jeszcze w Tajkurach u dziadka, ale nie u Iłariona, co po ojcu był – wieczna im pamięć obu – tylko u Trofima pijanicy, który przychodził się ojcem mojej matce, Bóg niech ukoi jej duszę. I pomógł święty męczennik!

– Pytają się ciebie, czy masz pasport? – wrzasnął żołdat.

Coś mi podszeptało: zełżyj!

– Mam – mówię – tylko schowany dobrze, wiadomo, deszcz jesienią pada, zamoczy papier kazonny.

– No to jedź do diabła! – przerwał żołdat i pojechał w stronę Hoszczy. Widocznie śpieszyło mu się przed wieczorem zajechać.

Kiedy Tymonka naprawił postronek, kazałem nawrócić na szosę. Jak minęliśmy ten post przy moście – myślałem – to już lepiej jechać dalej do Równego. Najgorzej na moście. Żeby nie Marusia, to bym wolał przeprowić się łódką przez Horyń i nająć cudze konie w Horbakowie, jak robią Żydzi, co skóry i szczecinę przywożą z Zwiahla. Ale jak most wolny, to już chyba dopiero koło Równego złapie cię jaki strażnik wolno

spacerujący, żeby czort przyśnił się jego babce!

Tak i stało się. Trzydzieści wiorst jeszcze jechaliśmy, powoli, żeby koniaki dobre nie ustały, i dopiero późną nocą, prawie nad ranem, zajechaliśmy na wózek. Szczęście, że pociąg żelaznej drogi jeszcze nie odszedł tego dnia. O dziewiątej rano, po naszymu to koło południa, siedli my do budy i hajda w pański kraj katolicki. Przeżegnałem Marusię, siebie i kartki małe – bilety znaczki – a Tymonca przez okno pogroziłem, żeby Żydów nie brał z powrotem. Dobry chłopak, ale kopiejkę kocha więcej niż pop wdowiec sąsiadkę młodą. Innym razem zawiezie poganina nie tylko do Hoszczy albo Mieźdurieczja, ale i do Korca samego, byle papierek dostać.

Długo, długo jechaliśmy, a Marusia cały czas w okno patrzyła i widać było, że strach ją ogarnia coraz większy. Ech, kto nie wyjeżdżał ze wsi dalej jak do Korca, ten i myśli mieć nie może, jaką dal niezmierną stworzył Pan Bóg. Wojna pognęła wielu z was w świat daleki, inny bywał i za okiejanem w krajach, gdzie mieszka lud czarny albo mali Japońcy, co słońcu się kłaniają. Ale dalekość poznał ten tylko, który mógł jechać i myśleć nie o służbie ani wojnie, ale o wsi własnej, o tych, co zostawił za sobą, kochanych. Coraz dalej i dalej od progu, który dzieckiem niemocnym przełaził na czworakach, od jabłoni, którą prosił szczerze lepietem dziecięcym, żeby mu jabłko dała czerwone... Co i mówić! Biegają w tył drzewa, lasy, domy, wsie jakieś obce i miasta nieznanne. Coraz dalej i dalej, na los nieznanne, na biedę, tęsknotę serdeczną...

Z początku mało widzieliśmy i słyszeli Polaków. Nikt nie dziwił się mojemu chłopskiemu kożuchowi ani chustce Marusi. Zagadywał mnie albo Żyd, albo jaki chłop spod Kowla. Ale pod wieczór już ucichła mowa nasza i kto tylko wsiadł do wozu, zaraz zapytywał po moskiewsku: „A wy kuda jedzicie, chaziain?” Myślałem sobie, że nie zaszkodzi, jak będę mówić po polsku, choć już raz ucierpiałem za to od samych że ichnich strażników pańskich, którzy policzyli mnie za szpiona czy surgienta, że to prosty chłop u nas nie umie pańską mową odzywać się. A może i obrazili się? To niby tak jakby włożyć biały, twardy worotnik na chłopską szyję pomarszczoną, nie wypada, znaczki. Opowiadałem wam już o tym kiedyś.

Aż w nocy przyjechaliśmy do Warszawy.

Wózek nie wielki, mało co większy niż w Równem, Żydów ćma nieprzeliczona, nie widział ja ich tyle w kupie nigdy. Mnie nie była nowość ten hałas i kręcenie się ludzi, jakby pijanych; bywałem – bardzo już dawno – i w Kijowie, i nad morzem wielkim w mieście, co nazywa się Odessa. Ale odwyknąłem od tego, więc trochę i mnie zawróciło się w głowie. Cóż dopiero Marusia, która raz tylko w życiu była w Poczałowiu, u relikwii świętych pokłonić się! Trzymała mnie biedna za rękaw i wciąż szeptała: „Strasznie, dziadziu!” A mnie samemu było niewesoło. Żeby choć dzień był, a tu noc ciemna, deszcz pada, każdy śpieszy się za swoją sprawą, ani zapytaj kogo, ani poradź się!

Miałem ja na kartce zapisaną jedną rodzinę pana, którego znałem dawno, dawno, jeszcze za życia matki mojej, carstwo niebieskie jej duszy! Przyjeżdżałem z Tajkur do

Krzemieńca co niedziela, oślepił mnie wtedy wróg duszy ludzkiej, podstawivszy babę młodą. Ładna była, co i mówić, a ja młody i głupi. Zęby miała bieleńkie, oczy jasne, jak... Ech, i wspominać grzech, nie dlatego, że była mężatką, nie rozgradzaj pola – Świnia nie wlezie! – ale że zdrowia i siły utracił ja dużo od jej nienasyconego kochania. Bywało, zajadę do kowala Maksyma, swojaka i chytrego w pomocy, a już po południu przychodzi chłopiec mały i mówi: „A wy, wujku Kostia, przychodźcie do nas, bat’ko pijany śpi w stodole.” Tak i nauczyła synka swojego, że pomagał jej w grzechu. Zawsze wyganiała męża do stodoły, czy prosto do sadu w lecie, jak upił się. Że to – powiada – wolę w chlewie ze świnia brudną, niż z pijakiem w jednej izbie. A jak przyjdę, to i wódka na stole i kiełbasa, i gałuszki ze śmietaną. Mały synek idzie do babki, a my do świtu białego sami! Mocny miał sen mąż jej, dureń nieczesany, tak go widać ukarać chciał za pijaństwo Pan Bóg. W Krzemieńcu mieszkał w tych czasach pan, niemłody już, co nazywał się dziwnie, ni to po naszemu, ni po pańsku. Pamiętam jego nazwisko, bo zawsze pani z Tajkur dawała mi dla niego list albo paczkę jaką, bo znali się z dawnych czasów, a on znów zawsze do Tajkur miał gotowe pismo, a czasem i skrzynkę z książkami. Dobry był pan, zawsze ugościł, w pokoju siedzieć prosił i nieraz podmignął okiem: „Ej, Kostia – mówi – pilnujcie się, całe miasto wie, do kogo – mówi – przyjeżdżacie. Wikientij – mówi – pijak stary, ale żonkę kocha, żebra – mówi – dębina połamie, jak się dowie, nieszczęsny.” I obydwaj my śmieli się z jego durackiego nieszczęścia. Prawdę mówił pan, w Krzemieńcu o wszystkich wie się, co kto robi, albo co i nie robi, a tylko chce się, żeby robił. Tak i ja o tym panu wiedział dużo, plotki nie plotki, ale nic złego, choć krył się z tym jak chuda popadianka z siennikiem pod spódnicą. Inne jest pańskie rozumienie, a inne nasze chłopskie. Mówili, że ten pan przez trzydzieści lat kochał się w jednej pani, co piękne książki polskie pisała – czy też jej mąż, a może i syn – dobrze nie pamiętam. A choć stara już była, nie chciał ożenić się z inną, póki ta nie umarła. Bóg jeden wie, co było między nimi, ale kochać się w starej babie to tylko pan potrafi. Może i piękną była, niech Pan Bóg uchroni ją od piekła za wiarę jej katolicką, jednak po naszymu to każdy świerszcz zna swoją tyczkę – jak spróchnieje, szukaj innej albo uciekaj do ciepłej chaty. Widocznie moda u panów inna.

U tego pana, nazywał się on Boprew, widywałem ja wtedy chłopca młodego, synka. Mały był jeszcze, a ciekawy jak dziewczyna. Zawsze wołał do mnie: „Wiesz, Kostia, suma dziś w Ikwie złapali, waży dwa pudy, dzieci pojadał, podlec!” albo co innego, ciągle jakieś nowości niesłyszane, niewidziane. Tak i ja jemu różne niebylice opowiadał: o kozie, co wybierała srocze gniazda; jak dwa zające pobiły się o srebrnego rubla; co zgubił chłop pijany pod brzozą i podobne inne wieści. A od śmierci dziadka mego, kiedy z Tajkur wyjechałem w świat na długo, nie wiedziałem nic o tym panu. Dopiero lat temu będzie ze trzy chyba, kiedy przyjechałem na chrzciny do syna Maksyma, też kowala, rozpytywałem ludzi o tego pana. Już i zapomnieli o nim, umarł dawno, ale jeden stary Żyd, co córkę ma w polskim kraju, mówił mi, że syn pana Boprewa żyje i jest takim, co pisze gazety, znają go – mówił – w całej Polsce. Tak ja i zapisał sobie.

Ale na próżno pytałem się o niego w Warszawie, choć same to szukanie pomogło mi w ciężkiej sprawie naszej.

Do rana siedzieliśmy w drewnianej budzie na stacji. Rano Marusia, jak to musi zrobić każda baba, wypytała się sama o mydło i wodę, zaprowadzili ją do jakiegoś pokoju, a jak wyszła stamtąd, to i poznać nie mogłem! Przebrała się w nowiutką spódnicę, chustka jedwabna, pańskie pantofle na nogach – nawet nie wiedziałem, że ma to wszystko w koszyku! Wymyta, uczesana i – niech jej zapomni Zbawiciel – pachnąca fabrycznym zapachem pańskim!

A i mnie razem z dniem rozjaśniało się w głowie. Nie darmo mówią, że rano mądrzejsze od wieczora. Przypominałem sobie, że w wielkich miastach jak się widzi dwóch ludzi, to na pewno jest trzech złodziei, bo trzeci jeszcze schowany. Więc nie radzę się nikogo, tylko pytam o dom, gdzie pisze się gazety. Chciałem przypomnieć się młodemu panu Boprew, choć on już pewnie dawno nie młody. Mówią, że to daleko. Nająłem izwoszczyka i każę jechać do miasta.

– A ulica jaka? – pyta się strażnik, co stał przy nas i ciekawie patrzył na Marusię.

Strach mnie zdjął. Pewnie o paszport zapyta, chytry! Ale on śmieje się tylko i mówi:

– Wy z daleka, to i widać. Gazet w Warszawie dużo, nie wiadomo, o którą wam chodzi. Nie wierzcie izwoszczykowi, będzie jeździć pół dnia i zapłacić sobie każe. Ładną macie wnuczkę!

– Wielmożnyj panie – odpowiadam – chcielibyśmy do największej gazety pojechać, wiadomo, tam muszą wszystko wiedzieć.

– Na co wam gazeta? – zapytał znów strażnik. – Jedźcie lepiej do policji, tam wam powiedzą wszystko... i adresy znają...

Do policji! Zmartwiałem w trwodze wielkiej. Nie o mnie trwożyłem się – wiadomo, między panami i ich strażnikami nie obejdę się bez siniaka na szyi – ale o Marusię. Co zrobią z sierotą, co nawet mówić po pańsku nie umie! Zginie, nieszczęśliwa, jak ja-skółka zimą w stepie na mroźnym białym śniegu.

– Nu, nie tak! – mówię. – My tu do znajomego, co gazetę wielką pisze, przyjechali. On wielki pan, nie da skrzywdzić dobrych ludzi. A nazywa się on Boprew...

– Nikt was nie chce skrzywdzić – odpowiedział strażnik. – Jak chcecie, to zapytajcie się o tego pana w „Kurierze Warszawskim”. Dorożkarz, do „Kuriera” na Marszałkowską! – krzyknął izwoszczykowi na pożegnanie i uszczypnął Marusię w plecy.

Pojechaliśmy. Z początku chyba ze trzy wiorsty było żydowskie miasto. Domy wielkie, murowane, środkiem ulicy wozy czerwone po żelaznych drągach jadą bez koni, wiadomo, na co już chytry rozum pański! I ciągle dzwonią: diń, diń! jak u nas sanie zimą. Trzask, szum, ryki jakby zwierzęce, setki, a może i więcej czarnych, szerokich wozów pędzi w tę i tamtą stronę, otobile znaczy, takie jakie czasem spotyka się na szosie do Korca, tylko piękniejsze, małe. Jak węże przewijają się koło siebie, dziwnie że nie połamią się jeden o drugiego...

– Chcesz, Marusiu – zapytałem – to pojedziemy później takim otobilem? Mówią, że

to bardzo przyjemnie.

– Nie chcę, dziadziu! – szepnęła Marusia. – Mnie strach wszystkiego tutaj... I boję się... o Micię... jak on tu służbę czyni w tym piekle... bo Pan Bóg jest z nami, na polach naszych cichych, w lasach dębowych i w białych chatach chłopskich. Pan Bóg lubi ciszę i spokój, w cerkwiach jego tylko śpiewać wolno. A ten hałas niezmierny... to dzieło wroga rodu ludzkiego. Nie ma tu, dziadziu, Pana Boga... I cerkwi nie widać... Może tu same Żydy żyją?

Aż zdziwiłem się jej mądrej mowie. Prawda, cerkwi żadnej nie było widać. Zobaczyliśmy tylko wielki kościół katolicki, a i to zamknięty. Wreszcie na wielkiej i szerokiej ulicy izwoszczyk stanął i mówi, że tu piszą wielką gazetę, kurier znaczy po pańsku. Zapłaciłem pięć złotych za jazdę, nie dużo, i idziemy do sieni.

– Do kogo wy? – pyta jakiś pan w kazonnej czapce.

– Do pana Boprew – odpowiadam.

– Co za jeden?

– On pisze gazetę. A pochodzi on, znaczy urodził się w Krzemieńcu. Pokażcie go, wielmożnyj panie, na czaj nie pożałuję. My z daleka.

Kazonna czapka wyciągnął łapę. Dałem mu, że to przecież pan, całe trzy złote. Bardzo był ucieszony i od razu pokazał nam drogę. Długo szliśmy pięknymi schodami do góry, zmęczyłem się bardzo. Na jednych drzwiach było napisane coś wielkimi literami, jakieś słowo cudzoziemskie, tam my i weszli. Izba była ogromna, stolików dębowych chyba ze sto porozstawiano po kątach i w środku, a przy każdym siedzi albo pan czarno ubrany, albo panienska, każda innego koloru, niby motyle po łące. Pokłoniliśmy się w pas i czekamy. Niedługo nawet czekaliśmy, może mniej niż godzinę. Przyszedł jakiś pan, młody i czerwony na twarzy jak pieczone prosię, i pyta:

– Co za interes?

– My do pana Boprew. On pisze wielką gazetę, a urodził się w Krzemieńcu.

– Nie ma takiego u nas! – z gniewem krzyknął czerwony pan.

Ot, nieszczęście! Kogo teraz poradzę się, kto objaśni nas w sprawie naszej ciężkiej? Nie pójdziemy przecież prosto do tego generała, gdzie Micia na służbie jest, strażnikom odda nas niewinnych... Co tu robić teraz? Zasmuciłem się bardzo, a Marusiaw płacz! Wszyscy patrzą się i dziwią, kilka panienek podeszło do Marusi i pytają ale ona nie rozumie po pańsku, więc wciąż płacze i to głośno. Aż znalazł się jakiś ksiądz, co trochę mówił po chłopsku, przekręcał tylko śmiesznie słowa niektóre. Podeszedł on do Marusi, pogłaskał ją po głowie i mówi:

– Szczo ty, detyno, chlipajesz? Skaży, tut dobryje lude!

Może by i odpowiedziała Marusia, ale jak zobaczyła wygoloną gębę i czarną spódnice, tak przestraszyła się, że uciekła za moje plecy. Wiadomo, niedobrze jest, jak z rana księdza zobaczy się, biedę ściąga. Trzeba było jednak zostać na miejscu i wstrzymać się od splunięcia za siebie. Kraj przecież katolicki! Więc kłaniam się mu nisko i po naszymu proszę, lubi on – widać – pochwalić się przed innymi, że pochodzi z na-

szych stron bujnych i zna chłopski język.

– A ty, batuszka, dobrodiju nasz wełykyj, pomóż biednym sierotom, radę poradź, miejsce pokaż... Zbawiciel nagrodzi na tym i na tamtym świecie!

– O cóż wam chodzi? – pyta ksiądz, a młody był, więc patrzy na Marusię okiem raka, który widzi z chłodnej swojej jamy żółty żabi brzuch i oblizuje się, bestia nigdy nie syta.

– Wstyd, batuszka, mówić przy ludziach – odpowiadam. – A jeżeli dobroć twoja jest chrześcijańska, zaprowadź do jakiej restauracji, na mój rachunek herbaty się napijemy i wszystko opowiem.

Wiedział ja dobrze, że nie pójdzie do szynku z chłopem ksiądz katolicki, udawałem tylko głupiego. Zawsze tak bywa, najwięcej zarobisz, jak uważają cię za durnia.

Ksiądz w śmiech!

– Nie pójdę ja z wami – mówi – do restauracji, już po śniadaniu – mówi – jestem. Ale zaprowadzę was do jednych państwa, co kiedyś mieszkali w waszych stronach ruskich i lubią tamtejszy naród. Oni wam dobrze poradzą, inaczej złapią was jacy złodzieje i oszuci i okradną do koszuli.

Poszliśmy, cóż robić? Dziękuję ja księdzu i kłaniam się mu w pas, a on rękę wyciąga, pocałuj, znaczy! No – myślę sobie – takiego grzechu na sumienie nie wezmę, miłsze zbawienie duszy! Udałem, że nie widzę i tak jakoś wyszło, że nie obraził się.

Prawdę wam powiem, że i mnie zawróciło się w starej głowie, jak szliśmy z księdzem przez ulice. Prawdziwe piekło! Nie porównuj nawet z Równem, choć tam w dzień targowy taki ruch i hałas, jakby wszyscy dopiero co wyszli z szynków po trzech szklankach gorzkiej. W tym pańskim mieście ludzie biegają, jakby rozum potracili, obijają się bokami, depczą po nogach... Izwoszczyki, otobile, czerwone wielkie wozy ze szklanymi oknami, maszyny do jeżdżenia z dwoma kołami, jakie widzieliście u pierodownika i kolonisty polskiego z Samostrieł – wszystko to pędzi w różne strony, nie oglądając się nawet jeden na drugiego, dzwoni, ryczy po krowiemu, szczeka jak pies, gwizdże – dziwo wielkie, jakim sposobem nie zabijają się oni w tym diabelskim tańcu swoim. A spójrz na domy! Zbawicielu mój, widział ja domy w Kijowie i Odessie i Chełmie, nie mówiąc nic już o Kowlu i Berdyczowie. Gdzie im, tym miastom wielkim, do pańskiej Warszawy! Dom przy domu, a dachu nie dojrzysz, choćbyś łeb do góry zaradł jak czapla, kiedy usłyszysz szum orlich skrzydeł. Szklane są całe niektóre ściany, a w środku widzisz wielkie lalki, z drzewa albo i z gliny może, białe na twarzy, zupełnie podobne do ludzi, bo i ubrane po pańsku, pięknie. Za drugą znów widzisz izbę ogromną, cała zastawiona talerzami, szklankami, butelkami różnymi. Za inną jeszcze niepojęte maszyny, przedmioty jakieś, Bóg wie do czego służące, niektóre mają straszny wygląd, jakby na mękę ludzką zrobione... Ech, co i mówić – kto nie widział – nie pojmie. Wielka jest potęga pańska, rozum szeroki, substilny, delikatny znaczy. Ale to carstwo diabelskie, on – bies przeklęty – nie czarny już w pańskim kraju, kolorów nabrał, jak łąka na wydmach poleskich, grzeczny i miły, na tym pewniejszą zgubę duszy prawo-

sławnej. Przecież nie może wytrzymać, podlec, i mści się za swoją biedę, jaką cierpi od dobrych ludzi... Przechodziliśmy przez jakąś ogromnie szeroką ulicę – patrzę – ruiny, ludzie biją młotami i walą cegły z wielkiego, wielkiego domu, nad którego bramą wymalowany był Chrystus i kilku świętych męczenników. Myślę sobie – ksiądz chociaż, ale udaje, że czci Zbawiciela, krzyż ma na piersiach – więc pewnie też mu boleśnie patrzeć, jak walą pogańskie domy poświęcone ikoną chrześcijańską. U nas żaden drwal nie ruszy dębu, na którym pobożna ręka zawiesiła figurę świętego Jerzego, cóż dopiero Chrystusa!

– Dobrodiju – pytam – dom jakiś walą Chrystusowy, nie pozwolili by im, przeklętym, na grzech taki!

Ksiądz uśmiechnął się i mówi:

– To sobór prawosławny, Moskale postawili go na urągawisko Polakom. Teraz rozbierają go. Ale dla wiary waszej nie ma tu krzywdy, jest dość w Warszawie cerkwi innych.

Zwinąłem się jak lizka na liściu kapusty i nie pytałem więcej. Może i miał rację ksiądz. Jak mało prawosławnych w Warszawie, to i cerkiew niepotrzebna, tak jak niepotrzebne ich kościoły i klasztory na ziemi naszej. Może wierze naszej świętej nie stała się krzywda. Ale stał się wielki grzech, wielka obraza Zbawiciela, że młot pogański zwał jego dom, gdzie chwałę mu śpiewały chóry piękne i złoty ołtarz cieszył jego Boże oczy miłosierne. Bies zwyciężył i raduje się teraz po Warszawie, śmieje się z potęgi Bożej i drwi z mocy świętych ugodników. Och, smutny to widok był dla starych oczów moich. Ledwie że nie płakałem i patrzę na Marusię, myśląc, że i ona ma łzy w oczach, a ona ciągnie mnie za rękaw i mówi:

– Dziadziu, tu wszystkie baby w kapeluszach pięknych chodzą. Jakże ja pokażę się Mici bez kapelusza? Chodźcie do sklepu jakiego, muszę kupić i kapelusz, i szynelik babski i...

I poszła wybierać! A mnie złość wzięła wielka i jak nie krzyknę, aż ludzie zaczęli się gromadzić koło nas:

– Idźże do czorta, potomku diabelski, i poproś go, żeby kupował z tobą kapelusze babskie! Chłopska ty baba i tak ci do kapelusza, jak krowie do korablika. Wrócę ja sobie do wsi, a ty kupuj sobie, co chcesz, nawet spódnicę taką bezwstydną do kolan! Pszenicę całą i jedną krowę sprzedałaś Żydowi, pieniądze masz, wiedźmo!

A Marusia znowu w płacz!

Rozmięknęłam od razu, jak chleb w kwasie moskiewskim.

– No, nie płacz, doczko miła – mówię. – Daruj złość staremu. Pójdę już z tobą po kapelusz. Ale teraz musimy z księdzem iść, więc później... tam nam dobrze poradzą we wszystkim.

W domu, gdzie zaprowadził nas ksiądz, bardzo dobrze nas przyjęli, ugościli w ogromnym pokoju, gdzie był wielki stół, nakryty białym płótnem, wielka szafa ze szklanymi ścianami i wiele różnego bogactwa, nie spamiętasz! Kiedy napiliśmy się herbaty z

białych kubków maleńkich, zaczynają się pytać ci państwo, a była tam starsza pani, trzy młode, córki pewnie, i jakiś młody pan bez wąsów. Odpowiadamy na wszystko po prawdzie. Jak doszło do Mici... Marusia w płacz! Bardzo nieprzyzwoicie płakać w pańskim domu, więc upominam ją, ale co to pomoże? Te młode panienki usiadły koło Marusi i pocieszają, żartują, a mówiły po moskiewsku, nie po naszymu, chyba czasem jakie słowo nasze wrzuciły. Zabrały ją w końcu do swoich izb, pokojów znaczy, a i dla mnie znaleźli pokój osobny, w oknach zanawieski kolorowe, łóżko żelazne z pościelą bielutką, miękką, rozkosz dla niewyspanego. Mieszkał w tym pokoju ich służący, kazali mu iść precz, za co zemścił się później, szczupaczy syn!

– Wyśpijcie się, człowieku – mówi pani – a o Marusię nie troszczcie się, jej krzywdy nie zrobię. Jak wstaniecie, to zawołajcie służącej – ot, trzeba tu palcem nacisnąć – przyniesie wam obiad. A ja poślę po znajomego oficera, on już wam powie, gdzie szukać Micię.

Zdjąłem buty i kozuch i położyłem się spać. Budzę się – już prawie ciemno, mocno zmorzył sen przekłety! Dotknąłem białego czopka przy drzwiach, jak pani kazała, a tu zaraz za drzwiami: trrr! głośno, aż zląkłem się, że to nieładnie tak hałasować. Wchodzi panienka służąca, bielutki fartuszek i czepek na głowie ze wstążką zieloną.

– Zaraz! – powiedziała i uciekła.

Ale to nie było tak prędko. Umyłem się, buty wyczyściłem jakąś szmatą, co leżała przed łóżkiem i czekam. Ciemno zrobiło się, wiadomo, jesień, dzień krótki. Wreszcie drzwi się otworzyły i wchodzi ta panna w fartuszkach, a za nią ktoś inny jeszcze.

– Czemu nie zaświecicie sobie? – pyta panna.

I od razu: buch! zapaliły się lampy przy suficie. Jelektryczestwo, rzecz mądra, pańska! Panna nakryła stół białym ręcznikiem, a ten, co przyszedł z nią, postawił wielką tacę zjedzeniem. Znalazła się i butelka wódki, i ogórek, i chleb biały i kiełbasa smażona z kapustą, a na ostatek zupy przynieśli garnek cały, malowany na biało. Wesoło zrobiło mi się na ten widok, głód dobrze umęczył. Ale – bałwan ja stary – nie wytrzymał przed oczyszczoną! Pół butelki wypilem, a choć to nie tak dużo, zakręciła przekłeta w głowie!

Tylko że różnie bywa z pijanymi. Jeden bawoła czyni z siebie, byka nieujarzmionego, patrzy błędnymi ślepiami, komu by krwi ułać z nosa. Drugi w świnię sprośną obróci się, leży na ziemi i miele na wpół zdrętwiąłym ozorem takie obrzydliwości, że choć święte ikony wnoś z izby.

Innego znów niczym nie przekonasz, że koń albo pierwsza lepsza baba spotkana wcale nie jest jego przyjacielem – lezie z pyskiem całować się, kijem odganiaj – nie odgonisz. U mnie znów, sami wiecie, inna prywyczka. Jak tylko gorzka zaszumi w głowie, śpiewam, choćby noc całą. Siła skądziś przychodzi, młodszy się czuję, mocny i czorta za rogi chwyciłbym, i nawet z Duniaszką, wdową po Moskalu, zatańczyłbym trepaka, choć ona waży pewnie z sześć pudów i jak nastąpi na nogę, to zaraz posyłaj do Mieźdurieczja po felczera, palców nie dorachujesz się. Potem, kiedy wytrzeźwieję,

jeszcze gorzej starość dokucza – nie lubię ja biesowskiego tego napoju – ale jak zobaczę butelkę pełną, przepadł rozum. Tak to słabością ludzką czort żyje, bo on to wynalazł wódkę na zgubę duszy prawosławnej i rozkoszą kłamiącą mami, od prawdy Bożej i porządku odciąga, wąż podstępny!

Zawołali mnie gdzieś, więc idę, a już po drodze słyszę granie, muzykę niezmierną, cud! W pokoju – co i mówić! – jak w baśni jakiej pięknym, jasnym, gra panienka na fortepiano. Czarne pudło niby, błyszczące, a idzie z niego jasna muzyka cudna. I jakaś nasza, chłopska... Słucham, jak ten grzeszny słup soli pod Sodomą... aż panna przestała grać i pyta mnie:

– Znaście tę piosenkę, wujku?

– Nie znam – mówię – coś jakby nasza ona, wiej e z niej tęsknota ukraińska, aleja umiem wszystkie chłopskie piosenki, a tej nie umiem.

– To przecież „Rewe ta stohne Dnibr szyrokyj!” – dziwi się panna.

– Może i śpiewają taką – odpowiadam – ale nie chłopci. Bywał ja wszędzie, po ziemi ruskiej przejechał i przeszedł, od morza, co Czarnym się nazywa, choć jest niebieskie, aż do niezmiernych borów, gdzie chłopci w łapciach chodzą z łyka. Umiem wszystkie pieśni chłopskie. A tej nie słyszałem.

Od razu pomyślałem sobie, że pewnie Marusia nagadała tu o mnie i moim śpiewaniu, bo i rozmowa zaczęła się od tego. A że kręciło mi się w głowie, więc tylko krótko namyślałem się, co śpiewać. Właśnie weszło do pokoju kilka panien, dziwnie ubranych, kuso, od szyi nagie czort wie dokąd, cienkie w pasie, a nogi od kolan w pończochach tylko. Strój nie podobał mi się po prawdzie, ale pogańska wódka zmieniła starego, nie mogłem napatrzeć się na łydki ich, cienkie może za bardzo, ale zawsze babskie, ładne. Tak i śmiałość z wódką przysłała i wspomnienia lat dawnych. Zaciągnąłem mocno:

*Sułtan wełykyj w świti pan,
u nieho bilsze sta żinok jest' tam,
żinok jest' tam!
U nieho żinok bilsze sta,
sułtanom buty chotił by ja!*

Panny w śmiech... Śpiewałbym dalej, aż tu wchodzi Marusia! Panie Boże, ledwie poznałem! Przebrały ją te panny po pańsku, szyja goła, łydki wystawione, jak u nas przy praniu na rzece zdarza się tylko... Wesoła, i tak chodzi w tej spódnicy do kolan, jakby nigdy w innej nie chodziła. Dziw, jak prędko baba wrośnie w każdą spódnicę, żeby tylko podobać się chłopom. Wiedział ja, że dla zabawy sobie zrobiło państwo taką kukłę z Marusi, więc nic nie mówię, choć złość mnie wielka wzięła na głupotę Marusią.

– Podobam się wam, dziadziu? – pyta дума baba.

– Rozumie się – odpowiadam – jakże pańskie ubranie nie mogłoby się chłopu podo-

bać!

A ledwie że wstrzymałem się, żeby nie splunąć.

Co śpiewałem później, nie pamiętam. Panna dogrywała mi i wychodziło lepiej niż przy moskiewskiej bałabajce popadianki. Bawili się wszyscy chłopem biednym, starym, wódką napoili, żeby śpiewał, na tęsknotę dla siebie i na ich pańskie wesele!

Dali potem czaju mocnego, wódka wyparowała ze łba i – hajda! – mówię – do Mici. Oficer jakiś, młody, z cienkim jak u biesa nosem, był już dawno tutaj i obiecywał zaprowadzić do tego gienierała. I ciągle kręcił się koło Marusi i szeptał coś, a ona śmiała się i spuszczała oczy. Wiadomo, niczym tak nie karmi się babskie serce, jak mundirem pięknym i szaszka błyszcząca. Chciałem powiedzieć Marusi, żeby przebrała się po chłopsku, ale ona sama podeszła do mnie i mówi:

– Dziadziu, lepiej chyba zdjąć te cudze ubranie? Piękne ono, ale chodzić przecież we wsi nie można tak. I trochę źle mi, jak patrzę na nogi, wstyd...

– Dobrze – powiadam – przebierz się. A temu oficerowi poniewierać się nie daj, znam ja ich, zaraz ręką sięgnie tam, gdzie grzechu szuka, albo poklepie...

Nie słuchała więc i uciekła. Niedługo wróciła przebrana, jak do cerkwi na Wielkanoc, ale po chłopsku. Idziemy we trójkę, oficer Marusię wziął pod pachę – zwyczaj taki, znaczy, u panów – i wciąż mówi coś, dosłyszeć nie mogłem. Ona śmieje się i odpowiada jakby równemu sobie! Czarodziej jakiś, żeby tak ośmielić chłopskie dziecko, które raz tylko było w Poczajowie! Idę za nimi i myślę, gdzie się podziały łyzy Marusine i jej troska o Micię? Ale stary ja już, znam pokolenie babskie jak kopiejkę mikołajewską, więc wiedziałem, że ten śmiech Marusi tyle wart, co i łyzy. Tylko że śmiech jest miły, a płacz nieznośny.

– Ech, bat'ka – woła raz na mnie oficer, a mówił po naszemu jak szczerzy chłop – nie kłaniaj się tu wszystkim strażnikom, pomyślą, że jesteś jaki aresztant, co boi się policji.

Jak nie, to nie. A kłaniałem się nie tylko ze strachu, ale i dlatego, że przypomnieli mi kraj nasz daleki. Tak samo ubrani i mordy u nich te same – widzisz władzę niezmierną i nadstawiaj szyję – tylko patrzeć, jak zmierzy kułakiem kołnierz od kozucha. Bije nie bije, ale zawsze ten sam, co w Mieźdurieczju strzela teraz pewnie psy pod płotami i zagłada, serdeczny, do stodoły nocą, czy surgentów nie ma, albo czy chłop pijany leży, żeby żonkę młodą zabawić z dobroci swojej.

Ten gienierał mieszkał bardzo daleko, szliśmy z godzinę chyba. Kiedy wchodziliśmy na schody, Marusia mówi, że bardzo zmęczona. A oficer złapał ją na ręce i niesie do góry! Prawdziwie bies! Ona objęła go za szyję i uśmiecha się do mnie, diablica! Pogroziłem jej kułakiem... Nie była wysoko ta gienierałska kwartira, stanęliśmy przed pierwszymi drzwiami i czekamy. Otworzył... Micia!

– Pan gienierał w domu? – pyta surowo oficer.

– Nie ma, panie rotmistr! – odpowiedział Micia, wyprostowany, znaczy, na smirno, raki po szwam, ale patrzy na Marusię i na mnie, mało mu ślepie nie wyskoczą.

– A pani generalsza?

– Jest!

– Zamelduj – mówi oficer – że przyszliśmy odwiedzić.

– Rozkaz, panie rotmistr! – zawołał Micia i poszedł, ani słowem nie odezwał się do nas.

Patrę – usta Marasi przedstawiają podkowę, ot, zacznie płakać! A tymczasem nie, przemogła się widać, może i zrozumiała, że na żaden sposób nie mógł on, mąż znaczy jej pogański, odezwać się do nas przy oficerze. Służba nie družba! Zdziwiłem się bardzo, czemu ten oficer mówił, że przyszliśmy odwiedzić panią gienieralszą, przecież my do Mici tylko wybierali się... I śmiać się widać lubi pan rotmistr, trafił dobrze: chłopci idą w goście do gienierała! Od razu pomyślałem, że chcą zakpić z nas biednych, naśmiać się z prostej duszy chłopskiej.

– Pani gienieralsza prosi do siebie! – mówi Micia, otwierając drzwi do środka kwartiry.

Jak ten stryjek wroni nauczył się już pięknie po polsku mówić! Nie poznałbyś, chłop czy katolik! I ani mrugnie do mnie, albo Marusi! Wiadomo – sołdat, przy oficerze duszy i ciała mieć mu nie wolno. Taki już los nasz chłopski... musi być przecież porządek na białym świecie, kto rozkaz daje, a kto słucha. Chłopom od początku świata słuchać nakazano, ale nie zawsze nakazywał Pan Bóg. On tylko jeden wie, kiedy wmięsza się do naszych spraw wróg duszy chrześcijańskiej. Innym razem i najlepszy pop – choćby wszystkie posty szanował i nie szczypał w plecy dziewcząt – nie pozna, kto to robi, Bóg czy bies przeklęty. Tak to życie całe nasze jakby sieć wielka, chcesz rozumem wyrwać się – napłączesz jeszcze więcej i zginiesz jak komar w psim pysku. Tylko wiara nasza święta daje moc poznania złego i dobrego. Choć rozum woła: na lewo! – a ty czujesz trwogę dziwną w duszy – nie idź na lewo, to Bóg albo jaki miłosierny męczennik przestrożę daje dobrą! I rozumowi dawaj to miejsce, co mu się należy, daleko – znaczy – od serca i duszy, a bliżej brzucha...

Ten pokój gienieralszy – cud prosto! Ani opowiesz, ani wymalujesz. Sukno, wyszywane kolorami w rozmaite figury, na wszystkich ścianach wisi, od sufitu do podłogi, na podłodze ani kawałka drzewa nie zobaczysz – pokryta czerwonym, grubym sukniem – na ścianach obrazy ogromne w złotych ramach i maleńkie bez ram, lustra dwa wielkie, wysokie na sążęń pewnie, w kątach stoją stoliczki maleńkie wszędzie, a na nich kwiaty i drzewa zamorskie, dziwne. Na środku łóżko nie łóżko, szerokie bardzo i niskie, bez poręczy, pokryte kolorowym sukniem malowanym, a na nim poduszek moc, małych i dużych. Przed tym łóżkiem skóra wilcza ze łbem całym. Krzeselka maleńkie, czerwone, a na każdym poduszka wyszywana. Lampy świecą jasno, różowo, j elektryczne znaczy, do gruszek podobne, a każdą taką trzyma miedziany człowieczek na talerzu, albo naga dziewczyna nad głową. A te obrazy na ścianach – wstyd wspomnieć! Na każdym najmniej jedna goła baba – to przodem pokazująca się, grzeszne piersi, jak dynie dwie białe, wystawia – to znów widzisz zad wygięty babski, też biały albo różowy – a naokoło drzewa i kwiaty różne, chłopci dziwni jacyś, niektórzy czarni w czapkach turec-

kich albo chińskich, Bóg wie! W pokoju zapach okrutny – ale już wyraźny, jakby nie fabryczny – jaśmin, znaczy.

– Dobry wieczór, panie rotmistr – odezwała się skądziś pani. – Proszę siadać, zaraz przyjdę.

Źle czułem się, bardzo źle! Jeszcze trochę szumiała gorzka po głowie, a tu dziwy takie niesłychane. Czy to ja śpię jeszcze i czort przez sen mamie mnie wielką rozkoszą na zgubę duszy mojej?

Nie siadłem i Marusia bała się usiąść, tylko szeroko otwartymi oczami patrzyła na te cudy, strach widać wielki ogarnął biedną. A ja, ni stąd ni zowąd, przypomniałem sobie las nasz dębowy i pole czerwcowe, pszenicą wysoką pokryte, i śpiew skowronków, i słoneczną przestrzeń ogromną... I duszno zrobiło mi się w tej klatce pańskiej, kolorowej, bardzo duszno. Taka ochota mi przyszła, żeby połamać te stoliki i krzeselka, podrzeć sukno i skórę wilczą, a potem podpalić wszystko i uciec za Ikwę i Horyń. Boża to myśl była, bo że bies urządzał takie mieszkania, to i małe dziecko domyśli się.

Weszła i pani gienieralsza. Babska to sprawa o ubraniu babskim sądzić, niewiele powiem o tym. Po prawdzie to mało było na niej ubrania, goła prawie do pasa, a spódnica do kolan i cienka jak pajęczyna, widzisz nogi całe aż do brzucha, tylko trochę ciemniejsze. Włosy krótkie, przepasane nad czołem wstążką żółtą, pantofle w złote paski, pończochy żółtawe, do koloru słomy podobne.

Nie ma co i mówić, diablica! A i nie bardzo młoda, tylko sztuką pańską, aptekarską, wymalowana, choć przyznać trzeba, że piękna. Marusia wpatrzyła się w nią jak w obraz święty, z trwogą niezmierną, i ukłonić się zapomniała. Za to ja wybiłem kilka ukłonów do ziemi i czekam, co z tego będzie?

– Ach – mówi pani – to ci chłopci, o których pan mówił po telefonu? Bardzo rada jestem.

I dalej już mówiła jakąś obcą mową, jakby nożem rąbał kartofle gotowane: stuk, stuk-stuk, sza, zen, zin... biesowski język! Ani słowa nie pojdziesz. W końcu zawołała Micię.

– To twoja żona? – pyta go.

– Żona, proszę pani gienieralszy! – odpowiada Micia.

– A ten stary pewnie ojciec albo dziadek? Weźże oboje do swego pokoju i naciesz się z nimi... Tylko pamiętaj, nikt nie śmie nocować tutaj, u mnie nie ma hostynnyci!

Sroga pani! Jakże mężowi nocować bez żony, co przyjechała zza siódmej góry i zza siódmej rzeki, a dwa lata nie widziała się z mężem? Wtem stało się coś dziwnego. Marusia bac na ziemię i zanosi się od płaczu.

– Pustyt' jego, jasno wielmożna pani! – woła. – On mij, synka majemo małeńkoho! Hospod' Boh bilsze usich, on baczył na moje neszczastje, karat' bude...

– Weźże ją, Mit'ka! – krzyknęła pani. – Nie znoszę płaczu i nie wiem, czego ona chce ode mnie.

Marusia sama wstała i poszła za Micią, płacząc głośno, a ja na końcu. Weszliśmy do

małego pokoiku, gdzie mieszkał Micia, i tu dopiero przyjrzałem się durniowi. W tym łańskim mundurze wygląda on naprawdę ładnie, czarne wąsiki już pod nosem znaczą się, gęba wygolona, czysta, buty błyszczące wysokie, ostrogi... Stał sobie podlec pod oknem i patrzy złym okiem na nas, zjeść by chciał bez soli, plemię biesowskie! Marusia biedna upadła na łóżko i wciąż płacze, a mnie jakby ogniem paliła złość okrutna.

– Cóż ty – pytam – nie poznałeś, sobaczy synu, żonki twojej rodzonej, nie witasz się? Katolikiem zrobiłeś się, rzucić chcesz ziemię i kraj prawosławny, diabłu duszę oddać chcesz, wiedźmie – matce swojej – uradować serce na świecie tamtym?

– Ech, Kostia! – odpowiada, skruszony trochę. – Ani ja katolikiem jestem, ani diabłu duszę oddaję. A matka moja nie była wiedźmą! Prosto tak: lubo mi tutaj w Warszawie, zostanę tu na wieki, już mi nie wrócić do was nigdy! Weźcie wy Marusię i wracajcie, znać jej i widzieć nie chcę! Jak jej dla dzieciny potrzeba na co, oddam i ziemię, co po ojcu przychodzi na mnie... Weźcie wszystko – i chatę nową i stodołę, i skotinku, niczego nie chcę – tylko zostawcie mnie w spokoju z szczęściem moim niezmiernym, nieziemskim!

Słucham i dziwię się. Mówi jak pijany, albo jakby go czar srogi opętał. Znam ja takie czary, nie rzadkie one na bujnej ziemi naszej, gdzie i wichry bywają straszliwe, i kochanie jak wichry, bezpamiętne, pędzi przed sobą albo wielkie sprawy – jak u Gonty, co kochał pańską córkę – albo zbrodnie wielkie, jakie czynił ataman Podkowa z tęsknoty za żonką porwaną przez Turków i utopioną w Dnieprze. Więc zatrwożyłem się mocno i zamyśliłem, jak by wyrwać Micię z łap szatańskich. Już i nie o niego chodziło mi – leć, czorcie, na pewną zgubę, jednego durnia mniej będzie na świecie! – ale o Marusię bezbronną, sierotę skrzywdzoną. Co tu robić? Do takiego opętanego nie przystępuj z radą dobrą ani z mową serdeczną, ani z groźbą. Jeszcze gorzej ugrzeźnie i uprze się, przepadnie na wieki! Az nim może i Marusia uschnie bez kochania, jak gałązka bzu wiosennego, oderwana od krzaka i rzucona na zapyloną drogę.

I namyśliłem się: nie poradzi tu nic rozum mój, nie wróci Mit'ka, jak kropla wody zginie w tym wielkim morzu pańskim.

Tak i głowę na piersi opuściłem, w ziemię patrzę jak głodny koń i nie widziałem nawet, kiedy Marusia podniosła się z łóżka i stanęła przed Micią. Dopiero jak zaczęła mówić, ocknąłem się... Co się też stało! Już nie płakały oczy Marusine, ani usta wygięte były, jak zawsze u niej przy płaczu. Twarz wysoko podniosła, spod czarnych rzęs długich sypią się iskry, zęby szcękają przy mówieniu... prosto straszna była wtedy... Ta gołąbka cicha, ten zajaczek trwożliwy! Coś w niej pewnie złamało się na wieki, żal serdeczny w gniew się zamienił.

– Ty taki jesteś już! – mówiła. – Tu szczęście twoje niezmierzone przy tej pani? Mnie to mówisz! A dawno mówiłeś tak samo w izbie naszej, kiedy słońce wschodzące zaglądało na łóżko, a ty budziłeś mnie całowaniem? O czym szeptałeś mi, jak siedzieliśmy przed ogniem w czarne noce zimowe, nigdy nie zmęczeni rozmową ani pieszczota-

mi? Zapomniałeś! Ale nie wróci już pamięć twoja, jak kochanie nie wróci. Twardym kułakiem uderzyłeś mnie, serce biedne moje skrwawiłeś ostrym słowem! Nie będę ciebie przeklinać, sam twój los przeklął cię, boś stracił w tej godzinie jedno prawdziwe i wielkie kochanie. I wrócisz ty na pewno do wsi, kiedy przegoni cię ta pani podła... Ale nie do mnie! Ale nie do mojego dziecka! Do wody rzuć je! Nie zobaczysz nigdy jego główki niewinnej, białej! Dziadziu, chodźmy stąd zaraz – wracajmy do wsi – prędzej, prędzej!

Ot, wdaj się w sprawę z babą! Dopiero co płakała rzewnie, dopiero co prosiła pani, żeby oddała jej Micię, na kolanach, jak przed Panem Bogiem, a teraz wyrzeka się wszystkiego! I żeby choć naprawdę uderzył ją w złości, albo mocne słowo powiedział jej jakie! Ani, ani! Stał sobie spokojnie pod oknem i patrzył na Marusię dziwnie, nawet ze smutkiem... Może i żal mu było... A ona chce uciekać! Po to my jechali dwa dni? Nie mówiłem, nie prosiłem, żeby zostawić podleca w spokoju?

Splunąłem mocno i powiadam:

– Nie utopisz ty synka w rzece czarnej, nie groź na próżno. Prawo jest: syn za ojcem idzie. Ale sprawiedliwie się stanie, jak wyrzekniesz się tego sobaczego syna. Szkoda ciebie, Marusiu, dla niego. Nie dziś, to jutro zapłakałabyś karę oczy swoje. On zasmakował pańskiego szczęścia, a choć tęsknota sama przygoni go do wsi, już dusza jego nie będzie chłopska, prosta i czysta. Wyrzuci go pani gienieralsza, innej szukać będzie podobnej. Znajdzie czy nie znajdzie, zawsze myślą wracać będzie do tych czerwonych pokojów, do pachnących jaśminem łóżek, jedwabiem pokrytych i suknem wyszywanych... Brudną dla niego stanie się izba chłopska, niemiłym zapach siana i ognia żywicznego, nawet ty, Marusiu, brzydką wydasz się jemu, choć krasawicą niecodzienną Pan Bóg cię stworzył, a serce dał ci do kochania wielkiego, na szczęście każdemu, czyje ono będzie... A ty – mówię do Mici – zostań sobie tutaj, zjadaj łyżką pogańską radość, kwartą pij rozkosz sodomską, póki nie udławisz się, bałwanie! Dałbym ci w mordę twoją ogoloną, tylko wstyd mi bić w cudzym domu... Jak wrócisz do wsi, omijaj moją chatę, jeżeli żyć jeszcze będę! Nie kijem, to kamieniem w łeb zwałę, bo kipi dusza moja gniewem i złością!

Mieliśmy już wychodzić, kiedy wpadł do pokoju ten oficer z cienkim nosem i woła nas do pani gienieralszy. Cóż, trzeba było iść tam, choć bardzo nie chciało mi się; myślałem, że Marusia też nie zechce. Ale gdzie tam! Oczy jej błysnęły okrutnie i pierwsza idzie... No, myślę sobie, żeby choć nie powiedziała pani jakiego złego słowa... W złości nie tylko baba, ale i rozumny człowiek zapomnieć się może. A potem wspominaj tylko, jak się nazywała! Policję zawołają, do turmy wciągną... kto upomni się za prawo chłopskie niepisane?

– Cóż – pyta pani – podoba się wam Mit'ka w sołdackim ubraniu? Kiedy jedzie na urlop, nie mówił?

– On mówi – odpowiadam prędko, żeby nie puścić Marusi do słowa – że mu dobrze tutaj i zostaje na zawsze.

– Dziadziu – wtrąciła się Marusia – ja już idę z panem oficerem, prosił mnie do siebie na noc. Wy wracajcie sami. Koszyk mój zabierzcie od tamtych państwa. Ja przyjadę do wsi pewnie nie zaraz i mnie podoba się w Warszawie.

Pani gienieralsza zaśmiała się głośno. Patrzę na Micię: zbladł trochę i skurczył się. A oficer z Marusią zniknęli nagle, ani słowa nie zdążyłem powiedzieć! Ja za nimi, aż tu pani zrywa się, łapie mnie za kożuch i woła:

– Nie przeszkadzaj młodemu, stary, niech się ucieszą! I posłuchaj sam, co powie Mit’ka... Mit’ka! chcesz u mnie zostać?

Stoi dureń, nie odpowiada, gęba zmarszczyła mu się. Pani podeszła do niego i pogłaskała go po głowie:

– Nie smuć się – mówi – że żonka z innym spać będzie. Ona już nie raz tak czyniła we wsi, jak ciebie nie było!

Och, zęby ścisnąłem mocno, żeby nie krzyknąć: „Łżesz, wiedźmo przekłeta!”

Słuchajcie, co było dalej. Jakiś bies wstąpił nagle w Micię, uderzył panią w piersi, aż upadła na ziemię, zwałił się i sam koło niej i zaczął ścisnąć, całować twarz, ręce, nogi... Charczał przy tym dziwnie, strach! Pani próbowała się wyrwać... nie pozwalał! Widzę ja wyraźnie, co to będzie dalej, więc uciekłem, ale drzwi – te od sieni – nie chciały się otworzyć, zamknięte zamkiem diabelskim. Ciągnę, stukam, kręcę za rączkę – nie daje się! A w tym pokoju, gdzie został Micia z panią słychać szum, chodzenie ciche... Myślę, czy nie udusił wariat tej pani... o pomoc wołać może trzeba.

Zajrzałem, drzwi były uchylone, a tam pani leży na tym niskim łóżku, śmieje się do sufitu – Micia klęczy na ziemi i całuje jej stopy aż ciarki, dreszcze zimne przeszły po mnie. Myśleli, że wyszedłem. Widziałem jednak, że Micia jest inny jakiś, oczy błędne, blade – miał na twarzy znak jakiś przekłety, co do zbrodni prowadzi – znam ja dobrze takie twarze ludzkie! Zobaczysz taką omijaj z daleka i Bogu dziękuj, jeżeli wykrzywiła ją nie twoja wina... Długo jeszcze czekałem wybawienia przed drzwiami.

Wtem zadzwoniło coś nade mną. Micia wypadł z pokoju do drzwi, nawet nie spojrział na mnie i otwiera. Ktoś pytał się o gienierała. – Nie ma! – krzyknął Micia i mówi cicho do mnie: – Uchodźcie, wujku, prędko! – Ja też nie czekałem i hajda na dół. Przy wyjściu na ulicę spotykam tego oficera, śpieszy się gdzieś, biegnie biegiem i wpada na mnie:

– A, to ty, stary! – mówi. – Chodźże, ujmij Marusię, oszalała widać...

Otobit – izwozczyk, znaczy – czekał, jedziemy jak wiatr prędko, w głowie się zawraca, nie minęło dużo czasu, nie więcej, jak to opowiadanie, kiedy już byliśmy przed kwartirą rotmistrza. Mieszkał on w gostinnicy, wielki to dom, pokoiów w nim może i ze sto będzie. Zaprowadził mnie na górę, stanęliśmy przed jednymi drzwiami i słuchamy. Cicho! Rotmistrz przekręcił klucz w zamku, wchodzę pierwszy i widzę wielkie zniszczenie. Lustro zbite, obrazy potłuczone jakieś, poduszka rozdarta na podłodze, Marusi nie ma!

– Zajrzyj, stary, do drugiego pokoju – szepnął oficer – ona tam pewnie siedzi.

Zaglądam... Czy naprawdę bies wziął się dzisiaj na mnie? Dragi raz już tego wieczora... Pokój biały, zimny jakiś, podłoga kamienna, gładka. Pod ścianą stoi wielkie podłużne pudło z białej blachy, pełne gorącej wody, para nad nią unosi się. A w pudle tym Marasia siedzi, zupełnie goła, woda pod brodę jej podchodzi... Ech, mówię wam, grzech to wielki, ale cudna jest Marasia! Żeby to pięćdziesiąt lat mniej mi było na włosach siwych, na plecach zmarszczonych!

– Dziadziu, uciekajcie, wstyd przecież! – woła z wody.

Odwrociłem się prędko i zamknąłem drzwi. A w głowie zaczęło mi się wszystko przewracać, jak w żydowskiej kuczce o północy. Nic już nie rozumiałem. Najgorsze jest to, że w tej Warszawie samo powietrze musi być jadem sodomskim zatrute: oddychasz i nie wiesz nawet, kiedy grzech zapanuje nad tobą. Żeby tak gołą babę zobaczył we wsi, albo w Korcu, splunąłbym z obrzydzeniem. A tam gorąco jakieś wstąpiło w stare kości, chciałbyś czort wie czego, leciałbyś za każdym babskim zadem, a wpatrywał się, jakby w cud jaki... Tfu! moc diabelska, na zgubę ciała i duszy prawosławnej!

Stoję ja przed rotmistrzem i patrzę na niego, pewnie tak, jak patrzy cielę na przystawa, kiedy trójką jedzie podlec na saniach. Czekam, co powie. W końcu odezwał się, ale cichutko:

– Ona jest szalona... Kazała sobie kąpiel zrobić najpierw. Chciałem ją pocałować... bije! Widziałeś sam, z ochoty poszła przecież, nie siłą ja ją zabierał do siebie. Ja do niej ostro, a ta wszystko tłucze, hałas, ludzie się zbiegają. Ani dostąpić. 1 – powiada – zawołajcie mi tu starego Kostię, inaczej z okna się rzucę. Tak i poszedłem po was – zabierzcie diabolicę – i znać jej nie chcę, szkody na pięćset złotych zrobiła...

Och, ulżyło sercu mojemu! Ale po co Marusia tu przyszła, jeżeli nie chciała zgrzeszyć? Mówią Moskale, że kura nie ptak, a baba nie człowiek. Czy nie prawda? Tyle niepokoju już nasiąła dzisiaj i po co? Gdzie rozum ludzki, gdzie namysł jaki? Nie odpowiadałem oficerowi i strach mi było mówić z nim, żeby o szkodę nie upomniał się i strażników nie zawołał.

Marusia niedługo wyszła, ubrana zupełnie, pachnąca jaśminem.

– Dziękuję, panie oficer – powiada – przysługę wy mnie oddali ważną!

Wyszliśmy na ulicę razem, ale musiałem się jeszcze wrócić do tego oficera, żeby napisał mi na papierze, gdzie jest dom tych państwa, którzy przyjęli nas do siebie. Klął strasznie. „Żeby – powiada – nie był żonaty, inaczej bym poradził sobie!” Ale napisał mi i nazwę ulicy, i numer. Siedliśmy na izwoszczyka i pojechali, gdzie by tam piechotą trafił! Po drodze pytam:

– Czy ty, Marusiu, wściekłaś się, czy pijana jesteś? Dlaczego poszłaś do oficera?

Ona śmieje się! Dziwnie jakoś, ale śmieje się, niechryst opętany.

– Wiecie, dziadziu – mówi – Micia dziś przyjdzie do mnie. I spać ze mną będzie, i panią rzuci na zawsze.

Teraz już byłem pewny, że zwariowała! Więc taki smutek ścisnął mnie za gardło, że słowa wymówić nie mogłem. I zatrwożyłem się, zatroskałem ciężko, co ona biedna bez

rozumu, choć i babskiego, robić będzie we wsi?

U tych naszych państwa zaczęli się rozpytywać o Micię. Marusia wszystkim mówi, że on przyjdzie dziś do niej, propusk – znaczy – dostanie od gienierała na całą noc. Ucieszyły się te dobre panny, że smutek Marusi się skończył i tańczą z nią, całują, jak siostry rodzone. A ja patrzę z boku i płakać mi się chce nad nieszczęsną! Aby – myślę – do jutra, może w drodze minie to złe, może we wsi samej wypłacze się i ze łzami rozpacz jej czarna spłynie...

Tymczasem, kiedy wszyscy państwo wyszli gdzieś do miasta, do kiejatru znaczy, ten służący, w którego pokoju spałem, wprowadza Micię! Z szablą był ogromną, blady, straszny prosto! Podchodzi do mnie i mówi głosem chrapiącym:

– Kiedy ona wróciła?

– Marusia? – pytam.

– Marusia, dwóch czortów i trzy wiedźmy wam w zęby!

Tak powiedział do mnie! Ale ja już rozumiałem, co to znaczy. Zawiał we łbie jego ten wichur okrutny, który prosto wieje z przepaści piekła. Krwawe on chmury niesie, krwawy deszcz na ziemię ściąga. Nie do pięknych słów wtedy człowiekowi!

– A Marusia wróciła ze mną! Po mordzie rotmistrzowi dała, lustro mu zbiła – odpowiadam spokojnie.

Micia wyprostował się i sapnął ciężko parę razy. Potem jak huknie o ziemię przed Marusią, z szablą swoją ciężką! Myślałem, że rozbije sobie łeb swój pusty. I coś tam bełkocze i wali czołem o ziemię, znów wariat drugi! Patrzę... Marusia płacze. Odetchnąłem! I dopiero teraz rozumiałem całą chytróść jej babską. Kto z was jeszcze nie pojął tego, temu wiecznie być sługą babskim!

Lepiej – myślę – zostawić ich samych, więc poszedłem do swego pokoju. A ten służący, żeby matce jego tarakan wlaźł do nosa, już poczęstunek zastawił. „Pijcie, wujku – mówi – na dobre zakończenie sprawy!” Skąd on o wszystkim wiedział? Mnie i radość ogarniała, i jakaś zła tęsknota, wciąż przed oczami widziałem gołą Marusią i – trzeba przyznać – tamtą panią gienieralszą. Powietrze takie przekłete! Wypiłem dużo. Wyciągnął mnie pijanego ten parobek przekłety, na spacer – mówi – Warszawę zobaczyć! Nie pamiętam, co dalej było. Rano budzę się, głowa boli, pali w gardle, ale to nic jeszcze! Pokój jakiś inny, nieznanym, a na łóżku koło mnie baba! U, ty diable! Żegnam się – nie znika, chrapie, przekłeta, stara i gruba jak kłoc. Zażartował, podlec, z pijanego! Ubrałem się prędko, a ta śpi ciągle. Stuknąłem ją w plecy.

– Ej, ty – wołam – coś za jedna? Gdzie sprowadziłaś mnie, czarownico stara?

Jak nie zaczniesz pyskować! Boże, nigdy nie słyszałem, żeby baba tak prędko mówiła, choć kłóciłem się przecież nie raz i z Żydówkami na jarmarku.

– Stara? A ty młody, chamie jeden! Won stąd, kozuchu barani, hajda na ulicę!

Widzę, źle ze mną! Jakże ja trafię do Marusi? Ale przypomniałem sobie na szczęście, że mam na papierze napisaną i ulicę, i numer. Szukam w kieszeniach: papier jest, ale pieniędzy, com miał sto pięćdziesiąt złotych, ani śladu. A baba ryczy, grozi, że za-

woła policję, że obraza na nią spadła wielka. Więc uciekłem i dopiero za jakie dwie godziny dopytałem się o tę ulicę i dom. Tak się zemścił na mnie niewinnym podły słuźaka pański.

Mici już nie było. Całą noc gadał podobno z Marusią. Pewnie! Na Jana Kupałę zobaczmy, jakie to gadanie było. I pop zarobi, i dobrzy ludzie wypiją i pojedzą. Panu Bogu chwały przybędzie, jedną duszę chłopską zapisze starosta w rekruty, jak będzie co dobrego. A jak urodzi się dziewczyna, to i diabłu radość sprowadzi. Bo przez babę wszelkie zamieszanie na świecie powstaje, to najlepsza pomocnica Satany, cara czarnego, żeby jego ojcu przymarzły plecy do ziemi, kiedy wieczorem w zimie pójdzie pod płot sąsiedzki... Najgorsze jest to, że nie potrafisz odróżnić, wiedźma zła, czy biały anioł Boży? I po niewoli idziesz za nią, czynisz, co zechce, choć sam nie wiesz tego. Patrzysz w jej oczy, karę albo jasne, albo mieniące się jak tęcza, kiedy niknie już przed słońcem, i świat cały i duszy zbawienie widzisz za jej rzęsami długimi...

A w rzeczy samej o cóż ci chodzi? Ani o świat, ani o szczęście wieczne, tylko o to, żeby rączki złożyła – w zamkniętej dobrze izbie, albo i w gęstwinie leśnej – i powiedziała: „Ja twoja, Hryciu!” Wtedy dopiero wiesz, czego chcesz i robisz się mądry jak stary drwal, który wie, z jakiej strony podciąć sosnę czerwoną dla Żyda.

Tak było i z Micią. Widział w pani gienieralszy anioła, co samą tylko rozkosz daje i szczęście. Ale we łbie baranim nie powstała mu myśl, że za to szczęście musi zapłacić gorzko, że to szczęście zaczyna się i kończy... wstyd powiedzieć, gdzie! Dopiero gdy pomyślał, że na całe życie żonka jego dobra i piękna pójdzie w ręce obce, ocknął się twardogłowy! Przecież i tak nie od razu poszedł za Marusią, wyrwać ją z łap rotmistrza. Trzymała czarem niepojętym pachnąca pani... Już ręka któregoś męczennika świętego była w tym, że w chwili tej byli tak jak sami, bo o mnie żadne się nie troszczyło, myśleli, żem wyszedł. Inaczej może i wyrzekłby się Marusi i ziemi rodzonej na życie całe. We łbie mu się zakręciło wszystko, ni to był gniew na oficera, ni żal za Marusią, ni tęsknota za pieściami pani, która stała przed nim w swojej krótkiej spódnicy, co jak mgła tylko osłaniała jej białe mocne nogi. No i – na szczęście dla siebie – spróbował najpierw tego nieziemskiego szczęścia, jak sam nazywał, słodkojęzyczny! A potem już inaczej spojrzął na świat. Marusię ktoś obcy tak całuje i tuli! Synek maleńki, nie widziany jeszcze, śpi w kołysce daleko, daleko, i płacze nad jego główką i dolą sierocą anioł chroniciel! Ziemia czarna czeka, kiedy on wyjdzie, chłop, robotnik jej miły, z siwym koniem i pługiem na pole, pomagać jej, serdecznej, w pracy, jaką Pan Bóg wyznaczył obojgu. Nie usłyszysz już ciemniejąca wieczorem dal bezmierna jego beztroskiej, wesołej piosenki o łysym popie. Jeżeli wróci kiedy, po latach całych długich, do wsi swojej, inna piosenka nawiąże się w jego sercu... Prosta i smutna, ale dla niego będzie prawdą, krwawiąca serce bezpowrotnym żalem srogim:

*U susida chatka biała,
u susida żinka miła,*

*a u mene ni chatynki,
ani szczastia, ani žinki...*

I tylko na starym cmentarzu pod olbrzymimi sosnami, w rzadkim lesie czarnych krzyżów znajdzie ukojenie; tam tylko nikt mu nie dokuczy złym wejrzeniem i ostrym słowem; umarli przebaczą winy wszelkie i milczą tajemniczo o czynach dobrych. To wszystko na pewno pomyślał Micia. Znam ja duszę chłopską. Tylko to prawda, co Moskale mówili, że mocny jest chłop zadnim urnom. Ja to wszystko pojąłem później, jak się już stało. A Marusia? Bies jakiś – i ona ma widać takiego przyjaciela – podszeptał jej, co czynić trzeba.

Bo mądrość Boska nie chodzi krzywą drogą i nie zna chytrłości!

I wykapała się jeszcze, karaś bezchwosty, na koszt oficera, perfumem pańskim koszulę zamoczyła, żeby – znaczy – podobną być do pani, żeby Micia – że to nos ma taki delikatny – całą noc jaśminem oddychał! A jak było w drodze i w Warszawie na początku? „Dieduszka, bojuś, och, bojuś, nie zostaw samej, bo umrę!” I płakała wciąż, bestia, myślałem, że świata przez łzy nie zobaczy.

Na stację odprowadził nas ten sam służący, bilety kupił, a resztę – pewnie z pięć złotych – wziął sobie. Do wagonu wsadził i pyta, bezwstydnik:

– A jakże tam, wujku, powiodło się w nocy?

Nie ja jemu, podlecowi, wujek, ale wieprz rudy! Nie wytrzymałem, splunąłem głośno i mówię:

– A tobie grzech naśmiewać się ze starego!

– Grzech staremu, co się upija! – odpowiedział. – Nie lał ja wam wódki w gardło. A do dziewczyny to sami prosiliście, żeby zaprowadzić.

Ot, przysługę zrobił, dobry człowiek! Żeby ci tak na tamtym świecie świnię brudną dawali do całowania, jak ty mnie tę babę przekłąta! Żeby tak ojcu twojemu, jeżeli żyje – a jak nie żyje, to bratu rodzonemu – złodziej ukradł wszystkie pieniądze, kiedy pójdzie kupować kozuch zimową porą! Może i ja prosił go o co wtedy, wiadomo, Bóg opiekuje się pijanym, ale czort mu we łbie gospodaruje, jak kura w otwartym gumnie. A on, śmieciarz sprośny, wiedział, gdzie zaprowadzić! Nie bój się, nie pokaże drogi do takiej katoliczki, co podobną byłaby do Marusi, wtedy w wodzie... Tfu, bies językiem mi obraca... Zmąciła mi spokój Warszawa, jeszcze widać mam w brzuchu jej powietrze przekłete. Ile to razy i w młodości, i teraz widział ja gołe baby, czy to kąpiące się w rzece, czy w innych okazjach. Krzykniesz, bywało: „Ej ty, wrona, nie dziobnij niewinnego!” i idziesz dalej, ani ci w głowie jakiś dumy tęskne. W tym mieście pańskim jeden dzień przerobić może człowieka. Ech, co i mówić, nie pojmiecie tego!

Mówiła mi Marusia, że Mit'ka już więcej nie będzie dieńszczykiem u tego gienierała. Obiecał jej, przysiągł, że poprosi, aby go dali z powrotem do pułku. A jak nie dadzą – powiada – to wszystko opowie gienierałowi, choćby i zabić go miał. Ledwie Marusia uprosiła go, żeby nic nie mówił nikomu, tylko prosto uciekł z wojska do wsi, jak każą mu dalej służbę robić przy pani. Widzicie, ot głupia prośba! Nie wie jeszcze Ma-

rusia, że nie schowa Mici pod pierzynę, jak przyjdą strażniki szukać go... Babskim rozumem sądzi, że tak daleko, to i nie znajdą! Ale on nie ucieknie. Niech tylko powie pani swojej – a powie na pewno – że z żonką przespał jedną noc! Sama wygoni durnia. Bardzo nie lubią baby dzielić się chłopem. Że to – powiada – ja najładniejsza, u mnie wszystko najlepsze, jedno na święcie. Jakaś śmiała – powiada – wzgardzić mną? I za kołnierz go, bałwana! Tak i teraz tam będzie...

Myślicie może, że prawdę ja wtedy mówił do Mici, kiedy on jeszcze wyrzekał się Marusinego kochania? Że on zawsze już tęsknić ma za pańskim szczęściem? A jakby nie tak! Umyślnie mówiłem, żeby go poruszyć choć trochę. W tym to i rzecz sama, że dopiero z daleka poznajesz, co to jest takie szczęście, dopiero wtedy, jak wrócisz do stron naszych.

Nie weźmie góry nad Marusią żadna pani najpiękniejsza. „Dlaczego?” zapyta jaki dureń. I pani ma przecież oczy błyszczące, ząbki białe jak mleko, włosy bujne... i te wszystkie piękności babskie, na które tak łakomy ród nasz chłopski, grzeszny. A ubrana... cudo, gdzie tam naszemu kozuchowi i chustce lnianej równać się, nawet koszuli wyszywanej i wstążkom, i paciorkom kolorowym! Ech, wy mołokosy, choć niejednemu śnieg wieczny zaczyna na łeb prószyć! Jakby chodziło tylko o to, czym baba przykryta, albo o to, co jest u niej przykryte, to krótka z babą radość!

Tak właśnie jest w tej pańskiej Warszawie. Mało co przykrywają tam baby i dziewczęta, ale to, co widzisz i co jest przykryte, każda nosi takim jakimś sposobem, że i w starym sercu nawet ogień zapali. Wiadomo – sztuka pańska, nauczona od małego – nic innego w życiu nie robi, darmożjad, tylko myśli o chłopie. A ty nie bój się jej! Zatekisz – zabieraj, gdzie możesz, naciesz się, póki siły starczy.

Grzech to jest wielki, ale w gorszy wpadniesz, jak sama tęsknota za nią duszę ci ogarnie. I wtedy otworzą ci się oczy i zobaczysz, że nie jest to kochanie, a tylko taki słodki szum w głowie, jakbyś na czczo wypił szklanekę wódki. Do południa przejdzie, ani wspomnisz o tym. U nich, panów, wszystko jest takie i złość nawet krótka. Dwa razy w zęby, a potem mówi ci: „Bracie!” Nie brat ja pański, brataj się, pan, z Żydem albo z Czechem, co krowy mydłem myje. Krzywda tylko nasza chłopska jest długa, czy to Moskał czynownik ją sprowadzał, czy to pański pismowoditiel albo strażnik, strzelający psy nasze pod chatami.

Inna rzecz jest kochanie chłopskie. Niejednemu się zdaje, że jedno jednakowe bywa ono na świecie, tak jak sosna rośnie wszędzie ta sama. Nieprawda! Widział ja na piaskach szczyrych sosny, co miały po dwieście lat, a takie małe jak te, które za mojej pamięci wyrosły w lasach naszych. Nie samą babę, nie samą żonkę młodą serce kocha chłopskie. Ale wieczór pogodny wiosenny, kiedy ziemia cała oddycha kochaniem wszystkiego, co rośnie i żyje... Ale noc letnią krótką, co mrokiem okrywa dziwy niewypowiedziane w gęstych oczeretach nadrzecznych i głębokich lasach sosnowych... I kocha śpiewy nasze rozlewne o strasznych czasach i ludziach dawnych, i wesołe piosenki o kocie, co zbił mołojcowi butelkę z wódką ulubioną... I groźną białą burzę zi-

mową, wicher północny, goniący żywe, bezmierne tumany gwiazdzistych i suchych śnieżynek... Niech nie stanie dla duszy chłopskiej tej tęsknoty, która mgłą niewidzialną pokrywa ziemię naszą niech nie stanie wiosny w polu, nocy zaczarowanej księżycem – i nawet deszczowych smutnych dni jesiennych, kiedy zasłuchać się możesz w granie deszczowych kropli na szybie okna – wtedy i kochanie wszelkie ucieka z serca chłopskiego, niepokój targa, nieznośna, straszna skuka pożera i ciągnie w przepaść, jak wąż podziemny ciągnie nieostrożnego przechodnia w bezdenną topiel zahoryńską. Na nic ci wtedy i dziewczyna najpiękniejsza, na nic żonka czamobrewa! Bo tyle ona warta, że na ziemi naszej jest jak echo pieśni, którą śpiewa i wicher po jarach głębokich, i tęsknota, дума serdeczna w duszy naszej. Nie będzie takim echem cudnym pani żadna! Choć błyszczą jedwabiem, choć złotą przepaskę włoży na głowę, a srebrne baszmaczki na nogi, nie równać się jej z Marusią, która pod białym kozuchem i grubą koszulą nosi serce chłopskie. A i tam nawet, w pańskich domach bogatych, pierwszą byłaby. Bielsze jej nóżki, choć w ciężkich butach chodzą, czarniejsze oczy, błyszczeć umieją mocniej niż kamienie w pierścionkach pańskich, niż pańskie lampki z elektrycyństwem. Żebyście widzieli, jak ona wtedy patrzyła na Micię, kiedy mówił o pani swojej! Ech, znowu czort mnie za kołnierz trzyma i szepce, żmija jadowita – a o czym szepce – wstyd i powiedzieć staremu!

Patrzcie, dopala się w piecu moim sękata gałąź sosnowa. Nikt już nie wróci tej głowni ani kory jej czerwonej, ani gałązek zielonych iglastych. Nie wrośnie już ona wesoło w ziemię soczystą, nie będzie nigdy gwarzyć z druzeńkami sosnami, z bratem dębem rozłożystym, z sąsiadką brzozą białą. Nie usłyszy śpiewania wilgi ani ponurego krakania wron, zbierających się o zmroku na nocleg wśród szczytów leśnych. Przeżarł ją ogień gorący, w czerwieni umiera, pięknej, żywej. Tak i mnie nikt już nie wróci dum moich młodych, sił bujnych, nikt kochaniem nie zbudzi z drzemoty mojej starczej. Śpią dawno drahy moje pod krzyżami czarnymi, w proch ziemny rozsypane są piersi białe, co przytulały się nocą do moich ust gorących, czerwonych... Zaciągnie w kominie mocniejszy wicher i budzi się znów głownia, iskrami zrywa się do góry, uciec chce do boru, do rosy chłodnej, do życia... Daremnie! Opadną popiołem zagasłe iskry, spopieleje sosna. Ot, i ze mną tak się dzieje. Serce tylko moje czerwieni się jeszcze, nie stwardniało w kamień. Wie o tym i Turczyn mój, wąsacz czarny, i stary Woriszka, i wróble, żebraczkę szare, same w lesie horodyńskim, młode dąbeczki na brzegach polan leśnych... i Hospod' Boh na niebie!

Robert Stiller

Płk Biernacki wśród diabłów

Większość krążących opinii o ludziach i sprawach, jak wiadomo, wywodzi się z odruchu wydawania zadufanych ocen: złe czy dobre? A te przeważnie opierają się nie na znajomości i przemyśleniu faktów, lecz na powtarzanych bezmyślnie stereotypach. Czy w tej sytuacji można uporać się na poczekaniu z oceną przypadku tak nieporęcznego i skrajnego jak Waław Kostek Biernacki?

Przez pół stulecia należał w Polsce do ludzi najbardziej znanych i najzajadlej ocenianych. Wprawdzie niejako pisarz.

Jego wrodzone predyspozycje do działania konsekwentnego i nie cofającego się przed niczym, żeby nie powiedzieć: pozbawionego elastyczności, choć nie refleksji, pokazały się już u małego chłopca, pierwszy raz aresztowanego na kilka dni za rozdawanie PPSowskich ulotek i straszonego wywózką na Sybir w wieku 12 lat, co brzmiałoby niemal śmiesznie, gdyby nie fakt, że podobnie wyglądał cały jego żywot aż do ponurej śmierci w wieku 73 lat.

Można by ograniczyć się do formalnego chwytu, jakim zbywa się życiorysy tylu polskich twórców, spuszczać zasłonę na ich mniej czy bardziej zawile biografie i ograniczając się do oficjalnego aplauzu dla ich twórczości. Staje się to później okazją do wydobywanych z zapomnienia sensacji: jak wyglądało życie seksualne Mickiewicza i czy umarł w Stambule na cholere, czy został otruty? Albo czy Słowacki był impotentem i waluciarzem?

Wszystko to nic w porównaniu z człowiekiem, którego pograżono w zbiorowej niewiedzy, a potem w niepamięci do tego stopnia, że zatarł się wszelki ślad istnienia napisanej przez niego bardzo wybitnej książki. Jej tytułowy *Straszny gość* to istota o naturze diabelskiej. Obfituje w diabły większość składających się na nią opowiadań. I niemalże za diabła uważało się samego autora.

Czy słusznie? Albo: na ile słusznie?

Barwny i niewątpliwie męski, bezlitosny, często zaś wieloznaczny żywot Waław Biernackiego to jedna wielka kontrowersja.

Urodził się 28 września 1884 w Lublinie. Wilczy bilet za chłopięce wyczyny antycarskie kazał mu przenieść się z Kongresówki do Galicji, aby zrobić we Lwowie maturę i zacząć studia medyczne, rychło przerwane, jak i późniejsze filozoficzne. Wkrótce

znalazł się w Organizacji Bojowej niepodległościowych socjalistów z PPS. Mamy tylko fragmentaryczne wiadomości o tym, w ilu i jakich akcjach zbrojach, likwidacjach, szkoleniach, agitacjach itd. uczestniczył, ile razy przekraczał granice Galicji i Kongresówki, działając w różnych miejscowościach obu krajów. Pięć razy siedział w więzieniach, z których wychodził albo uciekał. W roku 1904 raz na zawsze urzekła go znajomość z Piłsudskim. Nadał mu on wzięty z kalendarza pseudonim Konstany, z czego zrobił się wkrótce sławny Kostek. Nawet i te szczątkowe informacje, które mamy, dowodzą, że było to sześć lat nadzwyczaj burzliwych i awanturniczych, w których Wacław Biernacki wciąż ocierał się o śmierć cudzą lub własną. Piłsudski aż nadto sprawdził go wtedy jako niezawodnego i odważnego, z niczym się nie liczącego bojowca, na którym mógł polegać bez ograniczeń. W pracy konspiracyjnej poznał też Kostek całą czołówkę tych, którzy później urosli na czołowe postacie w rządach, wojsku i polityce dwudziestolecia: Walery Sławek, Tomasz Arciszewski, Felicjan Sławoj Składkowski, Tadeusz Kasprzycki, Jędrzej Moraczewski, Feliks Kon, Aleksander Prystor, Adam Koc, Edward Rydz-Śmigły, Kazimierz Sosnkowski, Marian Kukieł i mnóstwo innych. Zyskał pośród nich wielu przyjaciół i to również chroniło go przed skutkami ogólnej wrogości, jakiej Kostek Biernacki miał doczekać się w dwudziestoleciu. Na razie władze rosyjskie podobno interweniowały na wysokim szczeblu o wydanie im z Austrii tego groźnego terrorysty. Czy prawdą jest, że w rezultacie pozbawiono go prawa azylu? Nie wiadomo.

Z tego czy innego powodu wyjechawszy do Francji, w roku 1908 wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. Może sprawiła to konieczność, z pewnością jednak nie tylko żądza przygód, ale i plan zdobycia umiejętności i doświadczeń wojskowych do późniejszego spożytkowania w kraju.

Legia Cudzoziemska była tu wyborem o tyle nie przypadkowym, że gdy utworzono ją w 1831 roku w sile 4 tysięcy żołnierzy dla podboju Algierii, składała się w większości z Polaków, przybyłych do Francji po upadku Powstania Listopadowego. Dopiero później przewaga awanturników i przestępców pociągnęła za sobą konieczność bezprzykładnie brutalnej we współczesnym świecie dyscypliny. Biernacki wyniósł stamtąd nie tylko doświadczenia wojskowe, owocujące m.in. szeregiem fachowych artykułów treści wojskowej i przygotowaniem instruktorskim, ale także lekceważenie dla ludzkiego życia. Spędził w Legii pół roku, służąc koło Sidi-Bel-Abbas, po czym uciekł i przez Szwajcarię wrócił do Krakowa.

Działania bojowców i terrorystów z tych lat opisał w kilku książkach. Wszystko to pisanina słabiutka i w złym guście, bez cienia wartości literackiej, patetyczne czytanki pomieszane z młodopolszczyzną. Mają za to sporą wartość dokumentalną i autobiograficzną, gdyż opisują z lekka tylko przysłonięte pozorami beletrystyki doświadczenia własne.

Są to nieduże zbiory opowiadań *Jak oni!* (1909) i *Na ulicach Warszawy* (1911) oraz gruba powieść *Szlakami buntu* (1911). Wszystkie podpisane Brunon Kostecki. Dopiero

później i gdzie indziej pojawił się obok tego pseudonimu również Kostek Biernacki, Biernacki-Kostek i wreszcie Kostek-Biernacki, zgodnie z rozpowszechnioną wtedy praktyką doczepiania konspiracyjnych i legionowych pseudonimów do nazwisk. Z tych nieco różniących się – czasem w jednej książce! – pisowni można wybrać, jaką kto woli.

Krótkotrwała stabilizacja, pisanie, małżeństwo na całe życie ze studentką i też socjalistką Anną Sokolską, równocześnie czynne i bierne szkolenie wojskowe, a potem historyczny dzień 6 sierpnia 1914 roku i wymarsz z krakowskich Oleandrów w szeregach Pierwszej Brygady Legionów. Zaraz po tym Piłsudski mianował Kostka Biernackiego – teraz już porucznika – dowódcą swej żandarmerii polowej, złożonej z 3 oficerów i 18 żandarmów.

Dowodził nią tylko do grudnia i dorobił się wtedy ponurej sławy oraz przezwiska Kostek-Wieszatiel. Pobrzmiwał w nim aluzyjnie Murawjow-Wieszatiel, carski generał-gubernator Litwy, który po upadku Powstania Styczniowego zasłynął z okrutnego terroru i masowo wydawanych wyroków śmierci. Podobno i żandarmeria Kostka Biernackiego z byle powodu katowała i masowo wieszała polskich chłopów kieleckich i radomskich, na jego osobiste polecenie, pod zarzutem szpiegostwa itd. na rzecz Rosjan. Podobno wystarczał do tego byle przejaw niechęci do Legionów. Podobno wzbudzało to powszechne oburzenie u samych legionistów. Ile w tym prawdy? Dojść nie sposób. Z jednej strony częste wzmianki i relacje w różnych wspomnieniach i dokumentach nie pozostawiają wątpliwości, że tak bywało. Nie dojdziemy jednak, czy rzekomych „zdrajców” i „szpiegów” uśmiercono w ten sposób dziesiątki, setki – co najbardziej prawdopodobne – czy tysiące. Osobiste zaś predyspozycje i poglądy Biernackiego, właściwe mu lekceważenie życia i niejasności, kręactwa, niekonsekwencje w jego własnych relacjach dodają wiarygodności wszystkiemu, co najgorsze. Zresztą komendant austriackiej żandarmerii ppłk Hagauer wydał 20 sierpnia 1914 rozkaz, zobowiązujący wszystkie podległe mu komendy i posterunki, aby nie bawić się w odstawianie podejrzanych o zdradę do sądów wojskowych, tylko rozstrzeliwać ich po przesłuchaniu „w trybie skróconym”.

Biernacki mógł bez oporów wykonywać ten rozkaz.

On sam jednak twierdzi, że nigdy nie wydał wyroku śmierci, a co najwyżej wykonywał zatwierdzone przez dowództwo wyroki sądów polowych. Inni zrzucają sprawę na oficerów austriackich. W ogóle sprawa sądownictwa legionowego pozostaje niewyjaśniona, co każe się domyślać, że zwłaszcza w warunkach frontowych mogło się tu dziać wiele ponurych spraw dalekich od legalności, mniej czy bardziej skrytych i nie do ustalenia.

Tłumacząc się (w procesie po 1945 roku) ze swej fatalnej opinii sam Biernacki powołuje się jeszcze i na to, że w Legionach albo przy nich pętało się wielu maruderów, przestępców i oszustów, których wyłapywanie należało do zadań żandarmerii. Zdarzali się np. bandyci grabiący ludność i dwory jako fałszywi oficerowie Legionów. Ale

przypadku też wypadek, gdy jeden z żandarmerów zgwałcił kobietę i tegoż dnia był za to skazany i rozstrzelany. A przydomek „Wieszatiel” począł się jakoby z jednego incydentu: brygada została otoczona przez rosyjską dywizję i w tej krytycznej sytuacji schwytano kilku cywilnych szpiegów, których powieszono zgodnie z wyrokiem sądu polowego, podpisanym przez (późniejszego generała) Kazimierza Sosnkowskiego.

Ale też zdarzyło się, że sam Kostek Biernacki, jako dowódca żandarmerii, stanął przed komisją śledczą za to, że kazał ciężko pobić Żyda, gdyż ten odmówił wydania legionistom jednej ze swoich trzech krów.

Jakkolwiek prawda była najpewniej rozmaita, niepiękna i wieloznaczna, nie da się jej należycie ocenić bez znajomości tła tych wydarzeń. Otóż wkraczające do Królestwa Kongresowego Legiony miejscowa ludność witała nie z patriotycznym entuzjazmem – jak głoszą późniejsze bajki – ale raczej niechętnie, a często nawet z objawami popłochu i wrogości. Przede wszystkim widziano w nich wojsko niemieckie czy austriackie, a nie polskie. Chłopi uważali za swoją prędeż już armię rosyjską i zdarzało się, że uciekali do niej jeszcze podczas przemarszu Legionów. Także rusofilska propaganda kościelna i endecka mocno przyczyniła się do tej wrogości, otwarcie głosząc, że Legiony to wojsko Antychrysta i socjaliści, grożący religii katolickiej oraz własności mieszczkańskiej i ziemskiej. W dodatku Austriacy, gdy po wstępnych sukcesach zaczęli przegrywać z Rosjanami, rozpętali istną psychozę poszukiwania rzekomych zdrajców i rosyjskich szpiegów – jako przyczyny swych niepowodzeń – aresztując, zabijając i dręcząc tysiące ludzi pod tego rodzaju zarzutami, często bzdurnymi lub kompletnie wyssanymi z palca. Wszystko to odbijało się rykoszetem na Legionach, traktowanych też jako żołdactwo austriackie. Istne szaleństwo wzajemnych nienawiści, a do tego jeszcze starcia – omal nie zbrojne – między legionistami a brutalnie wyżywiającą się na nich żandarmerią Kostka Biernackiego, ponakładały się na siebie i wytworzyły mętlik, w którym na dowódcę żandarmerii najprościej było zwać bez weryfikacji wszystko, cokolwiek naprawdę zrobił i czego nie zrobił.

Od grudnia 1914 do czerwca 1918 Kostek uczestniczył w burzliwej historii Legionów, to walcząc w różnych bitwach, to jeżdżąc z Piłsudskim lub wyznaczany przez niego do rozmaitych funkcji, wreszcie internowany w Beniaminowie po tym, gdy Piłsudski wezwał do odmowy przysięgi na wierność Niemcom i Austrii, sam trafiając do Magdeburga. Od uzyskania niepodległości w listopadzie 1918 znowu służył w wojsku, stopniowo awansując na majora i nie biorąc czynnego udziału w wojnie bolszewickiej. Natomiast jako dowódca batalionu w Siedlcach odpowiadał za wykonywanie egzekucji na cywilach, skazywanych przez „lotne doraźne wojenne sądy polowe” za faktyczne lub rzekome sprzyjanie Armii Czerwonej i komunistom, co w absurdalny sposób odświeżyło i tym bardziej podbudowało towarzyszącą mu wciąż złowrogą fałszywą sławę jako Kostka-Wieszatiela.

Tak czy owak nie z przypadku, ale raczej z bojowych zasług wynikły jego liczne odznaczenia: Krzyż Niepodległości z Mieczami, dwa razy Krzyż Walecznych, Medal za

Wojnę 1918-1920 i Złoty Krzyż Zasługi.

Wiosną 1922 roku przeniesiono go jako zastępcę dowódcy 4 pułku strzelców podhalańskich do Hoszcy nad Horyniem. A dlaczego to miejsce istotne, wie każdy, kto czytał *Strasznego gościa*.

Stamtąd i wtedy książka ta musiała wziąć początek.

Z kolei w listopadzie 1923 uczestniczył w tzw. powstaniu lub rewolucji krakowskiej, czyli krwawych walkach ulicznych, jakie w następstwie strajku powszechnego rozpętały się w Krakowie, Tarnowie i Borysławiu. Co ciekawsze, występował tam po stronie robotników, a nie wojska i policji. W Krakowie wołał do wojska, aby „nie rozlewać krwi” i zdjąć bagnety, na co żołnierze oddali je robotnikom wraz z karabinami. W analogicznej zaś sytuacji w Tarnowie „nieznany major” podszedł do dowódcy i ostro zażądał tego samego, na co ów zagroził mu aresztowaniem, po czym stwierdzono, że był to znów Biernacki, przybyły do Tamowa nie służbowo i nigdzie nie zameldowany. Tłum urządził mu owację i chciał go podnieść na rękach. W rezultacie aresztowano go z innymi pod zarzutem, że demoralizował wojsko i doprowadził do jego rozbrojenia, sądzono i uniewinniono, przywracając mu dowództwo batalionu.

Pojawiły się jednak domysły, jakoby Kostek Biernacki miał wtedy, manipulując nastrojami tłumów i wojska, przechwycić władzę w Krakowie i podjąć marsz na Warszawę. A ponieważ się to nie powiodło, z planów tych na razie zrezygnowano i Piłsudski zrealizował je dopiero w zamachu stanu, późniejszym o dwa i pół roku.

Tego się już nie da wyjaśnić.

W każdym razie po przewrocie majowym 1926 roku, do którego nie został czynnie włączony – może właśnie po to, żeby uniknąć skojarzenia z wydarzeniami krakowskimi – Kostek wreszcie awansował na dowódcą 38 pułku strzelców lwowskich w Przemyślu i wnet z podpułkownika na pułkownika. W tej funkcji znów się wykazywał jako skrajny służbista, z drugiej strony zaś jako demokrat i przyjaciel zwierząt. To pierwsze demonstruje, oprócz sypiących się kar, taki np. zabawny rozkaz: „Dowódcom baonów i kompanii nakazują, aby zwrócili baczną uwagę na postawę szeregowych, którzy mimo stosowania codziennie gimnastyki chodzą przeważnie zgarbieni i skuleni po prostu w kłębki, zwłaszcza w dni mroźne... Również nakazują spowodować, by szeregowi nie mieli przy przeglądach i w czasie służby codziennej płaczących lub wystraszonych min, co czyni przykre wrażenie.” To drugie zaś przyniosło np. formalny zakaz (powszechnie przyjętego) zwracania się do szeregowych i podwładnych na ty, powtórzony później i egzekwowany (już przez wojewodę) w stosunku do chłopów, Żydów i więźniów. Za niedociągnięcia u żołnierzy karał jednak nie ich, lecz oficerów, jak i za to, że „konie są zmęczone, nadużywane” m.in. do przejazdów.

Jak wcześniej i później, tak i w Przemyślu Biernacki pozostawał w ostrym konflikcie z endekami. Obustronna nienawiść wiązała się również z notorycznie antyklerykalną postawą Kostka.

Przy różnych okazjach padały takie oto sformułowania: „Na młodzież narodową

trzeba wziąć kije i rewolwery.” To słowa Biernackiego. Inne: „Rozczarowałem się do tej części narodu, która z wielkim wrzaskiem trzyma sztandar... do adwokatów, prezesów, szlachciców, proboszczów, katolickich Polek itp. Ta reprezentacja narodu przekonałaby mnie, że nie jestem Polakiem, bo śmiałem się z tego mordobicia, jakie otrzymał parę razy *hetman duszy polskiej* Romcio [tzn. Dmowski], Przestałem wierzyć, że litania to jedyny środek utrzymania niepodległości.” Z drugiej strony zaś pisał endecki publicysta, pozwany przez Biernackiego przed sąd, że osławiona Dwójka to oddział „tajnych spisków, łajdactw, mordów, oszczerstw i kłamstw... którego matką była zawsze zdrada, ojcem nóż.” Nie były to bowiem czasy łagodne ani zbyt praworządne, wbrew upiększającym je dzisiaj starym i młodym lakiernikom z bogobojnej i załganej prawicy, usiłującym stwarzać fikcję, na której uszminkowanym tle miałyby się odcinać przypadki rzekomo indywidualne i pozbawione kontekstu. Właśnie fałszywe tło sprzyja wizerunkowi Kostka Biernackiego jako diabła. I to niezależnie od tego, czy ktoś miał taki zamiar, czy raczej odwrotny.

W istocie były to czasy dosyć zwariowane i brutalne. Sądy bywały podobnie bezradne lub łajdackie, jak dzisiaj, a rozmiary i zasięg zakłamania wtedy, za komunizmu i obecnie bodajże identyczne.

Również i padający trup nie był rzadkością.

W miarę krzepnięcia dyktatury Piłsudskiego nasilały się akcje coraz brutalniejsze, coraz mniej mające wspólnego z demokracją i praworządnością. Niezawodny płk Wacław Kostek Biernacki był do nich wciąż powoływany i nie zawodził swych mocodawców.

W sierpniu 1927 powierzono mu tymczasowo (choć nie jest to informacja całkiem pewna) garnizon w Brześciu. Po co? Wtedy właśnie zamordowany został gen. Włodzimierz Zagórski, nieustępliwy przeciwnik Piłsudskiego. Najpierw aresztowany w Wilnie, potem zwolniony i jakoby przyjechał do Warszawy, gdzie w tajemniczy sposób zaginął. Lecz istnieją poszlaki (choć znów dające się zakwestionować), że w istocie zawieziono go nie do Warszawy – gdzie udawał go przelotnie ktoś inny – tylko do Brześcia. Tam zaś Kostek Biernacki uprzednio był zakupił pewną ilość filmu i wyciszył nim pokój, w którym podobno torturowano gen. Zagórskiego, aby wyjawiał, gdzie ukrył dokumenty bardzo niewygodne dla Piłsudskiego i sanacji.

Nie ma na to dowodów. Trupa nie znaleziono.

Płk Biernacki zaś wrócił do Przemyśla.

W październiku 1929 był jednym z dowodzących grupą stu pięćdziesięciu oficerów, przygotowaną do zbrojnego najścia na Sejm, sprawiający Piłsudskiemu wiele kłopotu. Akcja ta została jednak odwołana.

W niecały rok później Biernacki znów pojechał do Brześcia, tym razem mianowany komendantem twierdzy. Wkrótce po tym z pogwałceniem prawa i konstytucji aresztowano i osadzono tam 19 opozycyjnych wobec Piłsudskiego posłów centrolewicy i znęcano się nad nimi przez cztery ostatnie miesiące 1930 roku. Po czym wobec olbrzymich

skandalów i protestów, jakie to wywołało, sprawę nagle i cichcem zlikwidowano. Afera brzeska jest za dobrze znana, aby ją tu przedstawiać; dość powiedzieć, że Biernacki przy tej okazji utrwalił towarzyszącą mu od dawna fatalną opinię. Co prawda wydaje się, że w stosunku do więźniów przechodził różne wahania i zmiany nastrojów na lepsze, w bezpośrednich zaś okrucieństwach wyręczał go inni, zwłaszcza jego zastępca ppłk Władysław Ryszanek i kpt. Mieczysław Kędzierski, nie tylko dlatego zasługujący na miano mundurowych kryminalistów. Ich przełożony nie mógł jednak o tym nie wiedzieć i nie zmniejsza to jego odpowiedzialności.

Toteż znalazł się w grupie szczerze wynagrodzonych przez Piłsudskiego za łajdackie wyczyny w Brześciu.

W jego przypadku było to przeniesienie do rezerwy i zaraz po tym na wysokie stanowisko wojewody nowogródzkiego, po roku zaś poleskiego. Pozostawał nim od 8 września 1932 aż do września 1939 roku.

Jego działalność wojewódzka miała ciemne i jasne strony. Rządził jak wojskowy zamordysta, wymierzając na lewo i prawo drakońskie kary i tocząc wojnę ze wszystkimi o wszystko, zwłaszcza pod hasłem absurdalnych nieraz posądzeń o komunizm. Przy pacyfikacjach kazał ukośnie podcinać zrąby chat, w charakterze represji powodując ich walenie się. Forsował polonizację tego kraju, liczącego 70 % Białorusinów i 10 % Żydów oraz 5 % Ukraińców, a tylko 15 % Polaków, choć formalnie odżegnywał się od polonizacji. Jako urzędowy, nieprzystępny i po kapralesku apodyktyczny tyran otoczony był niechęcią i trwogą. Ale z drugiej strony bezlitośnie i dosyć skutecznie tępił rozpowszechnione w urzędach złodziejstwo, łapownictwo i przekupstwo, nękał zwłaszcza sędziów i duchowieństwo katolickie, ale czasem również i prawosławne. Wyciągał przy tym na światło ich wybryki m.in. pijackie i seksualne. Za przykład może tu posłużyć sprawa proboszcza Pawła Makowskiego, znanego jako pies na kobiety, który poza tym strzelał z rewolweru do baby zbierającej szczaw na jego polu.

Zwraca jednak uwagę fakt, że nie był antysemitą.

Gnębiła go też pogłębiająca się na Polesiu nędza chłopska i usiłował coś na to zarządzić, wysyłając do Warszawy projekty wielkich robót publicznych, gospodarki leśnej itp. Oczywiście bez skutku w ówczesnej sytuacji.

Sławne były jego wyprawy w lud. Niemal co tydzień przebierał się w lniane białe spodnie i koszulą wyrzuconą na wierzch, w mamy kubrak i łapcie, nie mówiąc nikomu, dokąd i po co się wybiera. Zaufany kierowca podrzucał go w różne miejsca i Kostek jako Poleszuck chodził po targach, wstępował do przypadkowych ludzi, odwiedzał też urzędy, posterunki policji itd. niby coś załatwiając, czasami wyrzucany jako natrętny cham itp. Później rozdzielał kary, a czasami także prezenty. Możliwe, że i dawniej wypuszczał się na takie wyprawy, zwłaszcza odkąd dziesięć lat wcześniej miejscem jego pobytu stała się Hoszcza na Wołyniu. A nawyków tych nabrał zapewne dużo wcześniej, jako bojowiec PPS i agitator krążący po kraju w różnych przebraniach.

Niewątpliwie stąd właśnie począł się *Straszny gość*.

W jego kontekście warto jeszcze wspomnieć o powtarzających się przejawach trocki, jaką Biernacki zwykł przejawiać w stosunku do zwierząt. Oto fragment okólnika, w którym nakazuje organom władzy „przeciwdziałanie zdiczeniu i barbarzyństwu” w tym zakresie: „Woźnice zmuszają do galopu konie w zaprzęgach na ulicach i drogach. Używają do pracy koni chorych. Katują biczami lub kijami lub rozdzierają do krwi pyski przez szarpanie lejcami. Konie stare i nie do użytku kupcy zabijają na skórę przez uduszenie za pomocą skrętu nozdrzy lub bijąc pałką po głowie. Przewożonym do rzeźni krowom kupcy łamią nogi, aby unieruchomić zwierzę. Cielęta i barany kładzione są jedno na drugim na wozach. Przy przeprowadzaniu cieląt rzeźnicy wyłamują im ogony, aby zmusić do biegu słabe sztuki. Wiązanie gęsi, kur, kaczek itp. jest bezmyślnie zbyt silne i powoduje długie, niepotrzebne męczarnie. Psy na więzi mają zbyt ściśnięte szyje postronkami, co powoduje bolesne rany, oprócz tego psy są przeważnie mało karmione lub nawet nie karmione wcale, lecz puszczone na żer. Dla zabawy małym dzieciom rodzice dają koty, którym uprzednio łamią nogi, aby nie uciekały. Niemowlętom w kołyskach matki dają do zabawy ptaki, uwiązane za łapki na nitce do powały lub poprzeczki kozła z koszem w polu.”

Ta wrażliwość również odbij a się w *Strasznym gościu*.

Warto wspomnieć, że mimo swej niespożytej energii, bojowości i zawziętości Kostek był zawsze słabego zdrowia i cierpiał na przeróżne choroby. Zdarzało mu się leżeć w szpitalach i przechodzić operacje. Był też morfinistą i nawet przy ludziach robił sobie zastrzyki. Przenosząc się z województwa nowogródzkiego na poleskie zabrał ze sobą inspektora farmaceutycznego, którym była Bronisława Labesa, chyba dostarczająca mu tego narkotyku.

Całość rządów Kostka Biernackiego na Polesiu daje bardziej obiektywny obraz jego poglądów i osobowości niż wszystko, co je poprzedzało, a w czym zbyt wiele nienawistnych uproszczeń, plotek i stereotypów.

Kolejnym w jego wizerunku i głównym stereotypem była i pozostaje sprawa Berezki Kartuskiej.

Powtarza się w kółko, że był twórcą i komendantem tego obozu, wyraźnie opartego na hitlerowskich wzorach Oranienburga i Dachau. Stanowiło to również jeden z głównych punktów oskarżenia w procesie, jaki wytoczono mu w PRL. Tymczasem nie był ani jednym, ani drugim.

Właściwym twórcą Berezki był premier Leon Kozłowski. Co za postać? Nikt go już nie pamięta. Też były legionista. Wredny pijak i hulaka. Sąd połowy Wojska Polskiego w 1942 roku skazał go na śmierć za to, że zbiegł do nieprzyjaciela. Wyrok zatwierdził gen. Anders. Zatrzymany przez Niemców, zginął w Berlinie bodajże podczas bombardowania. To on po zamordowaniu 15 czerwca 1934 ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego tegoż dnia przedstawił Piłsudskiemu wniosek i projekt, w dwa dni później zatwierdzony przez prezydenta Ignacego Mościckiego i błyskawicznie zrealizowany. Trzeba dodać, że pierwsza inicjatywa stworzenia takiego obozu wyszła od

Piłsudskiego i pracowali nad nią już wcześniej rozmaici urzędnicy MSW itd. Z kolei komendantem obozu, uruchomionego już 2 lipca, był początkowo mjr Bolesław Graeffner, a od roku 1935 policjant W. Kamala Kurhański. Biernackiemu zaś powierzono techniczne przygotowanie obozu po prostu ze względu na lokalizację w jego województwie. Później przyjeżdżał tam jedynie na inspekcje.

Osobiście wysłał do Berezki tylko trzech ludzi, wyjątkowo nie z przyczyn politycznych. Byli to dyrektor fabryki dykty, skandalicznie wykorzystujący Żydów jadących do Palestyny; dyrektor tartaku gnębiący robotników; i ziemianin od kilkunastu lat nielegalnie wyrąbujący lasy.

To bez porównania mniej niż pełna odpowiedzialność za obóz w Berezce Kartuskiej, nie bez powodu nazywany mordownią i katorgą, uparczywie i na ślepo przypisywana Kostkowi Biernackiemu.

Z dwóch rzeczy jednak nie można go wytłumaczyć. Pierwsza: że zajmował się obozem więcej i częściej, niż był zobowiązany, a po jego inspekcjach z reguły następowało zaostrzenie przepisów i wprowadzanie dodatkowych pomysłów na gnębienie więźniów. Druga: że najczęściej chętnie korzystał z przysługującego mu prawa do przedłużania pobytu w obozie na kolejne trzy miesiące. Choć niekiedy zdarzało mu się też łagodzenie rygorów.

Taki jest obiektywny obraz tej odpowiedzialności, traktowanej zwykle jako główny, jedyny lub wystarczający element jego biografii.

Bez zmian pozostawała dość powszechna wrogość do Kostka Biernackiego. Pewnie zaostrzał te reakcje fakt, że Piłsudski zawsze na nim polegał za jego bezpardonowość, stałą dyspozycyjność, ślepe wykonywanie rozkazów i niezłomną wierność. Raz wytworzone i przez lata utrwalane stereotypy sprawiły, że w zwyczaj weszło unikanie kontaktów z Biernackim, afronty i manifestacyjne odcinanie się od niego, a nawet towarzyskie bojkotowanie jego żony.

Rozmaite rodziny Biernackich publikowały oświadczenia, że nie mają z nim nic wspólnego. A ktoś urządził taki jadowity figiel, że anons tej treści wydrukowała także stara ex-prostyutka Chana Kostek.

Zdarzyło się nawet, że jedna z żon oficerskich posądziła innego oficera o czym niehonorowy, na tym polegający, że jakoby przestawał w towarzystwie mjr. Biernackiego i jego żony! Posądzony zaś wyzwał na pojedynek męża plotkarki, uważając, że przypisano mu niesłusznie coś, czego nie mógłby popełnić. A to już socjopatyczne objawy nie tylko ślepej nagonki i bezmyślnie owczego pędu, ale wręcz zbiorowej hysterii.

Tak mniej więcej trwało to aż do 1939 roku.

A cokolwiek w swym dwuznacznym (czy demonicznym?) życiu nasz bohater złego uczynił, za wszystko mu odpłacono po wojnie.

Z chwilą jej wybuchu Kostek Biernacki z dnia na dzień stracił i swoje województwo, i wszelki kontakt z Berezką, która przetrwała do 17 września. Stracił je dlatego, że otrzymał nagle jedno z najwyższych stanowisk w państwie: w sierpniu Rydz-Śmigły mu

je zapowiedział, a 2 września płk Biernacki otrzymał nominacją na Generalnego Komisarza Cywilnego w randze ministra, czyli najwyższą funkcję w administracji państwowej, pana życia i śmierci na terenie całego kraju i w każdej dziedzinie, z wyjątkiem „organów nie zespolonych”, mianowicie komunikacji, łączności, skarbu i sprawiedliwości; którymi również miał zarządzać; ale tylko pośrednio. Nigdy w życiu nie marzyłby o tak wielkiej władzy i odpowiedzialności! Oczywiście było to już poniewczasie w sytuacji, gdy Niemcy parli naprzód, a wszystkie struktury polskie rozsypywały się. Na korzyść Biernackiemu trzeba zapisać, że nie miał złudzeń. Oto jego wypowiedź z 4 września w nowej funkcji: „Ta kampania jest już przegrana. Niemcy przerwali front pod Częstochową i ich kolumny pancerne walą na Warszawę. Będą tu za parę dni, najwyżej za tydzień.” Przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości nieśmiało zaproponował, że chyba utrzymamy się na Wiśle albo na Bugu. Na to płk Biernacki: „Nie utrzymamy się. Alianci nie zdążą nam pomóc, nie są przygotowani. Trudno, na wojnie tak to już jest, jeden wygrywa, drugi przegrywa. Tym razem my jesteśmy przegrywający. Ale obowiązek swój musimy wypełnić aż do końca.” W przeciwieństwie do rządu i najwyższych władz państwowych, zbrodniczo nieodpowiedzialnych aż do ostatniej chwili, zawodowy żołnierz i oficer miał jasny obraz sytuacji, bez jej zakłamywania, bez pobożnych życzeń i chciejstwa.

W toku ewakuacji do Brześcia i Lublina działał nadzwyczaj sprawnie. Miał powstrzymać panikę i rozprężenie, bezcelową lawinę uchodźców. Zmilitaryzował policję i nadał jej prawa żandarmerii. Podejmował nadludzkie wysiłki. Lecz na wszystko było już za późno.

Patologiczna wręcz głupota i niedołęstwo Rydza-Śmigłego unicestwiały ostatni cień szans na cokolwiek.

Zobowiązany do obecności przy tym Wodzu Naczelnym, razem z nim płk Biernacki przeszedł 18 września pod Kutami do Rumunii. To był koniec jego aktywnej egzystencji. Zapamiętano go z tych dni: chudy i niewielkiego wzrostu, z czarnymi fanatycznymi oczyma, o wąskich, zaciśniętych ustach i ziemistej cerze, bez śladu siwizny w czarnych włosach. Jak przez całe życie, tak i teraz kipiący energią. I wciąż tylko zniechęcony przez cały *establishment* z gen. Władysławem Sikorskim na czele. Pozbawiony szans uczestnictwa w czymkolwiek, choćby spożytkowania swych umiejętności wojskowych. Tak przevegetował sześć lat w Rumunii, utrzymując się ze sporej pensji dygnitarskiej, ale do cna schorowany, osamotniony, przybity i w dodatku pozbawiony morfiny.

Wbrew opinii Jerzego Rawicza (którego znakomitej i gruntownej książce o Biernackim *Diabeł przegrany* wiele tu zawdzięczam) prawdopodobne jest, że wykorzystywał ten czas na pisanie.

Studiował dzieje wyprawy księcia Olega na Bizancjum. Poza tym miał jakoby gotową powieść o Bolesławie Śmiałym, której jeden egzemplarz uległ zniszczeniu już w Polsce, drugi zaś mógłby przetrwać bodajże u jego siostrzeńca, żyjącego gdzieś na Zachodzie. Lecz nie zdołałem uzyskać bliższych informacji ani kontaktu z tym lub też kim-

kolwiek innym z krewnych.

Już w roku 1940 wraz z Niemcem, na którego dokonał zamachu, zginął 20-letni Leszek Biernacki, jedyny syn Kostka.

Później próbowano go wydobyć z Rumunii. Za pośrednictwem neutralnej Szwajcarii dostał nawet paszport zagraniczny. Ale zamiast szukać ratunku na Zachodzie, Kostek Biernacki po wojnie wyjechał do Polski. Mówiono, że uczynił to dobrowolnie, przyłączając się do transportu z darami UNRRA, albo że wydali go Rumuni; albo jakiś oficer z NKWD, brat Różańskiego, sławnego ubeka i później dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego. To ostatnie jest oczywistą nieprawdą, ponieważ Jerzy Borejsza i Jacek Różański (czyli Beniamin i Józef Goldbergowie) nie mieli trzeciego brata. Ale gdy Biernacki przyjechał zaraz po 31 października 1945 roku do Warszawy, już na dworcu odebrali go z pociągu właśnie Różański z drugim oficerem. W tydzień później, czyli 9 listopada, został formalnie osadzony w więzieniu mokotowskim. Trzymano go tam „w śledztwie” bez wyroku przez 8 lat. Aż wreszcie 10 kwietnia 1953 zaczął się proces. Akt oskarżenia dotyczył wyłącznie tego, iż jako wojewoda dławił ruch rewolucyjny Białorusinów i Ukraińców, wynaradawiając ich na szkodę Polski. Do winy się nie przyznawał. 14 kwietnia został skazany na śmierć.

Cztery miesiące spędził w celi śmierci.

Lecz broniący go adw. Adolf Dąb wniósł rewizję. 7 sierpnia 1953 Sąd Najwyższy potwierdził winę oskarżonego. Zastosował jednak amnestię i uwzględniając podeszły wiek oraz krytyczny stan zdrowia skazanego zamienił mu karę śmierci na 10 lat więzienia z zaliczeniem aresztu śledczego. Kostek zemdłał, usłyszawszy ten wyrok. Ostatni okres więzienia spędził w izbie chorych. 9 listopada 1955 wyszedł na wolność. Był już wtedy całkowitym kaleką. Metodyczne udręki więzienia na Rakowieckiej uczyniły z niego ruinę fizyczną.

Wiadomości o traktowaniu go w więzieniu co prawda są niejednoznaczne. Zapytany w śledztwie, czy nie ma skarg, miał tylko jedną: że od dwóch dni nie dostaje PPRowskiej gazety *Głos Ludu*. Można to jednak uznać za ponury dowcip; tym bardziej, że adresatką tych słów była młoda pani prokurator; a piszący to Jerzy Rawicz wydał swą – nadzwyczaj obiektywną i rzetelną – książkę w roku 1976 i oczywiście nie mógł o tym okresie napisać całej prawdy; ograniczał się do przemilczeń. Coś zupełnie innego przekazał Józef Marchwiński, siedzący w jednej celi z Biernackim przez trzy miesiące na przełomie 1949/1950 roku. Oto jego relacja: „Palce obu jego rąk były potwornie zniekształcone, a całe dłonie wykręcone niemal zupełnie do tyłu... Nie był nawet w stanie ukroić sobie kawałka chleba... Groza była patrzeć na te ręce... Spał na układanym na noc na ziemi cieniućku, niemal pustym sienniku... Trzymano go miesiącami w mokrych i zimnych karcerych... Były w owym czasie karcery, w których więzień musiał stać po kolana w fekaliach... Widać było straszliwe wychudzenie, skutek głodu, choroby i tortur... Cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę przewodu pokarmowego, musiał często korzystać z paraszy, a wynoszono ją tylko wtedy, gdy strażnik był w dobrym humorze...

Miał straszliwie spuchnięte nogi... Opowiadał, że bito go niemiłosiernie. Pięścią, biczem, moczoną powrozem... Kazano mu stać w nieskończoność, przez całe dni twarzą do ściany, z wzniesionymi nad głowę lub założonymi do tyłu na szyję rękoma. Za zmianę pozycji lub oparcie się o mur bito do utraty przytomności, a następnie cucono przy pomocy kubła zimnej wody... Między palce wkładano mu ołówki, a następnie miażdżono dłonie. Wbijano mu pod paznokcie drzazgi... nie miał już wcale paznokci na palcach... Musiał całymi godzinami siedzieć na cienkiej nodze odwróconego stołka. Ta noga wbijała się z wolna w kiszkę stolcową..." Także od innych współwięźniów wiemy, że z czasem nie mógł już samodzielnie wstać i chodzić. Był ciężko chory na serce, układ trawienny, wątrobę, nerki, astmę i reumatyczne zapalenie stawów rąk i nóg. Połowę tych niedomagań miał już przed uwięzieniem, lecz warunki i traktowanie na Rakowieckiej doprowadziły go do stanu budzącego litość i przerażenie świadków.

Co się zaś tyczy rzekomego otrzymywania gazet, do tortur należał również brak jakichkolwiek wiadomości ze świata.

Nie wiedział nawet o istnieniu Gomułki i Bieruta.

Przez długi czas miał za towarzyszy w celi zbrodniarza hitlerowskiego Ericha Kocha i folksdojczę, z którymi nie zamienił ani słowa. Był natomiast wobec nich poniżany i manifestacyjnie pozbawiony nawet tych przywilejów, które im pozostawiono, jak prawo do spania na pryczy i do własnego ubrania, jak również do lepszego jedzenia. Oni prócz tego kupowali je sobie w kantynie więziennej, on nie miał na to ani grosza i tylko z rzadka dostawał od żony skromne paczki ze słoniną i cukrem, którymi częstował innych więźniów.

Nie zdołano go bowiem złamać psychicznie.

Zachowywał twarz. Wiemy coś o tym z lat 1950-tych, kiedy siedział już w celi ogólnej. Demonstrował wręcz prowokacyjną hardość i strażnikowi, który mu wymyślał: „Ty faszysto!” potrafił odpowiedzieć: „Jak stąd wyjdę, to może jeszcze zdążę cię powiesić!” Siedzący z nim przez jakiś czas Józef Szostak mówił o tym Lechowi Budreckiemu. Przyznawał się też Kostek Biernacki bez żadnych uników do swej rzeczywistej działalności przedwojennej, lecz nie do fikcyjnych zbrodni, które bolszewickim zwyczajem usiłowano mu przyczepić. Był przekonany, że zawsze bronił prostego człowieka. Wciąż nie ukrywał, że jest antykomunistą i antyklerykałem, ale zmienił wiele ze swych poglądów. Teraz już widział przyczyny klęski wrześnieowej w błędach piłsudczyzny, chociaż wybuchami wściekłości reagował na zarzucanie czegokolwiek Piłsudskiemu. Uważał, że należało m.in. zawrzeć sojusz wojskowy z Czechosłowacją, łącząc zasoby jej przemysłu zbrojeniowego z bojową siłą ludzką wyszkolonych militarnie Polaków, oraz dać autonomię Ukraińcom na terenach, gdzie stanowili większość.

Umarł w półtora roku po wyjściu z więzienia 25 maja 1957 w Warszawie. Okres ten spędził pod opieką swej żony, w stanie tak okropnym, że zdarzało jej się po dwa razy dziennie wzywać do niego pogotowie.

W ramach odpowiedzialności zbiorowej władze PRL przy okazji żonę jego też usi-

łowały zgnoić. Tu wściekł się Jerzy Putrament, znany z ludzkich i rozsądnych odruchów, i kazał Annę Biernacką zatrudnić na etacie kierowniczką Biblioteki Domu Literatury. Pracowała w Związku Literatów Polskich od maja 1950 do 1964 roku. Mało kto wiedział o jej koneksjach. Lecz usiłował ją wyrzucić z pracy Stefan Żółkiewski, profesor polonistyki UW i omal nie wszechwładny dyktator od kultury. Ale wybroniła ją, może na prośbę Władysława Broniewskiego, swojego byłego męża, też wiele mogąca Janina Broniewska, zapewne z pomocą swej przyjaciółki, legendarnej ubeczką Luni Bristigerowej. Ileż tych zawrotnych i wcale nie prostych ambiwalencji nie tylko w życiu Kostka Biernackiego! Wdowa po nim zmarła 2 grudnia 1972 i wraz z mężem pochowani są w grobowcu rodzinnym w Grójcu.

Kiedy znamy już tę niezwykłą i kontrowersyjną biografię, spróbujmy dojść do sensownych ocen i wniosków, na które nikt jeszcze zdobyć się nie potrafił. Proponuję w tym celu posegregować życie, sprawy i osobowość Kostka na trzy kategorie: walka, twórczość i kształt świadomości.

Po pierwsze: zawsze był żołnierzem. W służbie czynnej. Czy to w konspiracji bojownikiem, szkolącym się i szkolącym innych, wykonującym wyroki śmierci. Czy następnie oficerem zawodowym, nie przy biurku, ale w czasach i warunkach, gdy zabijanie było sprawą naturalną i codzienną. Także i później, gdy przez niecałe dwadzieścia lat nie było frontu. A trzeba pamiętać, że dla niego naturalnym żywiołem była walka i w niej sprawdzał się najlepiej. A wreszcie w bestialskim więzieniu u wrogów, też jako żołnierz.

Takiego życiorysu nie miał żaden polski literat.

Po drugie: co do tego miało jego pisanie? Artykuły w prasie PPSowskiej, relacje z akcji bojowych i konspiracji: wszystko to margines. Miał tę skłonność do pióra i tyle. Na tym tle wyróżnił się jeden mały utwór ku czci Piłsudskiego: żołnierska piosenka *Jedzie, jedzie na kasztance siwy Strzelca strój...* Tak popularna, że uchodząca za bezimienną. W praktyce nikt nie wie i nie pamięta, że ułożył ją w marcu 1915 roku, w czasie walk Pierwszej Brygady Legionów nad Nidą, właśnie Kostek Biernacki do muzyki jakoby ludowej, ale przypisywanej też Zygmuntowi Pomarańskiemu. Czy coś jeszcze w wydany przez niego śpiewniczku *Marsze i piosenki Brygady Piłsudskiego* (1915) sam napisał? Nie wiemy. Ułożył wierszem cały spektakl *Szopka Benjaminowska* (1927). Wykonywano go dwa razy w obozie internowanych, a później w marcu 1919 roku w Belwederze dla Piłsudskiego. Bez żadnej wartości. Z opóźnieniem wydał jeszcze zbiór wspomnień i reminiscencji żołnierskich *Ułan dyżurny* (1939) pisanych niemal ćwierć wieku wcześniej. Znowu bez żadnej wartości oprócz dokumentalnej. Wątki przebłysk literatury pojawił się dopiero po pięćdziesiątce w zbiorze opowiadań *Diabeł zwycięzca* (1931). Była to na ogół niewydarzona mieszanka farsowego lub jadowitego humoru i chwilami dających do myślenia prowincjonalnych realiów.

Po czym nagle, jakby w jednorazowej eksplozji twórczej, pojawił się *Straszny gość* (1932). Sześć podszytych niesamowitością i folklorem opowiadań z Kresów Wschod-

nich. Wyobraźnia, myśl i język do niczego niepodobne w jego wcześniejszej twórczości i niemalże w całej literaturze polskiej.

Właściwie u schyłku biografii, chociaż o tym zakończeniu zdecydowała historia. Nie jego rozwój własny.

Po trzecie: z tym wszystkim wiąże się kształtowanie jego świadomości. Nie jest to może sprawą centralną ani najważniejszą dla zawodowego żołnierza, który nawet zabijając czyni to albo z nawyku, albo na rozkaz, i raczej nie kwestionuje wydawanych sobie rozkazów lub ich zasadności moralnej i etycznej, czy choćby praktycznej. Można by powiedzieć, że szansa na pojawienie się refleksji wzrasta dopiero wówczas, gdy zagraża coś żołnierzowi lub jego bliskim, jak przyjaciele, rodzina i towarzysze broni.

Jak u Kostka Biernackiego z tą refleksją?

Jej podsumowanie znajdujemy w powieści *Szlakami buntu*, gdzie opisał przeżycia własne, kiedy w 1907 roku z rewolwerem w ręku brał udział w likwidacji zdrajców Dyrca i Sankowskiego. Oto znaczący fragment: „To samo uczucie, które nie każe zabijać, napełnia dumą i radością zabójcę, działającego w imieniu swych braci. Przesubtelnione sumienie egzystuje tylko u psychopatów... żałować poległego wroga, jego żony, dzieci itd. mogą tylko głupcy, a łgarze czują wyrzut sumienia... Siłę brutalną zwycięża jedynie przemoc... Tylko tchórz zamiast broni używa wzniosłych słów.” Tamże zastanawia się Biernacki nad przejściem od wpojonego przez nawyk i religię poczucia „nieetykalnej świętości” życia ludzkiego do „radosnego zadowolenia” z likwidacji wroga, która wymaga przełamania swych „słabych nerwów czy organicznego wstrętu do krwi” w imię wyższego celu, jakim jest zwycięstwo nad wrogiem.

Odtąd już Biernacki zabijał bez wahania. Czynił to jako bojowiec PPS likwidując szpiclów i zaborców, później w Legionach jako dowódca żandarmerii, oczywiście również na polach bitwy.

Że był rygorystą z gatunku najtwardszych, nie znającym i nie uznającym pobłażliwości, to fakt. Otaczała go za to rosnąca niechęć już w Legionach, stopniowo potęgująca się w strach i w nienawiść. Cokolwiek więc uczynił w tym zakresie, dopisywano mu również i to, czego nie zrobił, albo sadystyczną motywację w sprawach po prostu wojennych. Te zawiłe i z natury drastyczne, brutalne, przyfrontowe okoliczności (których nigdy nie poznamy we wszystkich aspektach) ukazywano w szczególnym świetle, gdy ozdabiali nimi swe pretensje i osobiste wrogości czy to mniej rygorystyczni koledzy z tzw. cywilbandy, której nie brakowało (wszyscy się co do tego zgadzają) w szeregach Legionów, czy później, kiedy już po zakończeniu działań wojennych kształtowały się nowe struktury w młodym państwie, zaczęło się obsadzanie stanowisk i podział zysków, układy służbowe i towarzyskie oraz nieodłączne od nich zawiści.

Jeszcze i to, że Biernacki z pełną wzajemnością nienawidził księży i hierarchii kościelnej. Przypisuje się to kolizji przekonań socjalistycznych i endeckich. Wspomina się zaś niekiedy, że był mimo to religijny. Ale np. Wiesław Chrzanowski oznajmia z chrześcijańską prostotą, że Biernacki „był wrogiem religii i w swoim czasie wsławił

się książką o czcieliu diabła”.

A jak było naprawdę?

Jerzy Prokopiuk przekazał mi informację, która rzuca zupełnie nowe światło nie tylko na religijność, ale i na wiele poczynań Biernackiego. Jako więzień polityczny w 1953 roku Prokopiuk spędził dwa miesiące w jednej celi z pułkownikiem AK i następnie WiNu Józefem Rządzkim, uprzednio więzionym z Kostkiem Biernackim. Twierdził on, że Biernacki był z przekonania satanistą. Uważając, że zło rządzi światem, zdecydował się jakoby na służenie złu. Tylko dlaczego w takim razie nie służył takim kwintesencjom zła jak hitleryzm i komunizm, wręcz przeciwnie, obydwu zajadłe nienawidził? W każdym razie, choć brak potwierdzenia tej informacji, nie wydaje się ona nieprawdopodobna tak ze względu na charakter i życiorys Biernackiego, jak i w kontekście fascynacji sprawą diabła i poczynań diabelskich, dobitnie wyrażającej się w *Strasznym gościu*. Wnioski z tego niechaj każdy sobie wyciągnie.

A prawdopodobieństwo zwiększa jeszcze fakt, że w Krakowie i w okresie młodo-polskim – czyli w kręgu bliskim Biernackiemu i wywierającym na niego ogromny wpływ – działali przecież Tadeusz Miciński ze swym lucyferyzmem i Józef Albin Herbaczewski, opisany przez Boya, nie mówiąc już o Przybyszewskim i sekretnych grupach satanistów, których sensacyjne wykrywanie zdarzało się także w latach trzydziestych.

Wszystko to było u nas i wtedy, obok rzeczywistych ciągów satanistycznych, również składnikiem mody literackiej o korzeniach modernistycznych. Ale czy tylko? Co i kogo Biernacki mógł czytać?

Był przecież z jednej strony Gogol i w ogóle ukraińska powieść grozy, a z drugiej demoniczna tematyka u Fiodora Sołoguba i Leonida Andriejewa. Albo z Niemców chociażby Hans Heinz Ewers. Czy mogli być nieznani Biernackiemu? Jego fascynacje ukraińskie i znajomość języków nasuwają podejrzenie, że chociaż był zajęty głównie czym innym, przecież mógł nie tylko sięgać do źródeł, zwłaszcza niemieckich i rosyjskich, ale i do współczesnych mu wybitnych pisarzy ukraińskich, jak Mychajło Kociubyński czy Lesia Ukrainka, też odwołujący się do rodzimych wierzeń i mitów. A te kręgi wschodnich Słowian zaznaczały wtedy swą czynną obecność nie tylko we Lwowie, lecz i w Krakowie.

Na pewno fascynował go Dostojewski. Zwłaszcza *Biesy* i *Bracia Karamazow*, których ze szczegółami opowiadał współwięźniom.

W rojącym się od diabłów *Strasznym gościu* narratorem jest przeważnie stary, doświadczony i mądry chłop ruski Kostia. Z wyjątkiem opowieści *Zmora*, też mającej spore zalety, ale miejscami podszytej kiczem i pretensjonalnością. Może na tym polega klucz do całej twórczości Kostka Biernackiego? Chciałoby się rzec: jako autor piszący we własnym imieniu jest grafomanem. Staje się wybitnym pisarzem w momencie, kiedy wciela się w swoje drugie ja, nie będące ani oficerem, ani urzędnikiem państwowym, ani Polakiem. Raczej w opozycji do wszystkich trzech. Nawet w języku, którym się po-

sługuje, nawet w widzeniu i ocenie rzeczywistości ten ruski czy ukraiński *Doppelgänger* nie jest ani trochę płk. Biernackim. Struktura osobowości równie skomplikowana, jak formuła jej prosta. I wszystko w gruncie rzeczy tłumacząca.

Rozdwojenie jaźni. Także w pisaniu.

Jestem głęboko przekonany, że profesjonalna analiza psychologiczna dałaby taki właśnie rezultat. A potwierdzających ją sygnałów nie brakuje również i w tym, że opętanie przez inną osobowość, diabelską czy nie diabelską, należy do częstych problemów i tematów u tego pisarza.

Jakby opętany przez dobrego diabła, Kostek Biernacki zaczyna mówić w innym języku. I właśnie do największych zalet tej wspaniałej prozy należy jej specyficzny język, który można by określić jako przeważająco polski, lecz daleki od polskich norm językowych.

Jest to głównie polszczyzna kresowa.

Tak mówiło się po polsku na jednej trzeciej terytorium Polski przed Drugą Wojną Światową. Tak mówili niegdyś również Słowacki, a zwłaszcza Mickiewicz: i oczywiście mój daleki powinowaty Władysław Syrokomla. Ta odmiana polszczyzny, ogromnie różniąca się od wzorców literackich, szkolnych i od wszelkich mniej czy bardziej poprawnych sposobów mówienia, jakimi posługiwano się w Warszawie, Krakowie i Poznaniu (a więc od trzech norm uznawanych formalnie za dozwolone lub obowiązujące) nigdy jednak nie była uważana za coś gorszego, wstydliwego czy niedopuszczalnego. Ślady tego szacunku dla mowy kresowej przetrwały do dzisiaj w formie sentymentalnych nawrotów do mówienia po wileńsku albo po lwowsku.

Ale już tylko w roli ciekawostek.

I tak się je dzisiaj odbiera. Z życzliwym pobłażaniem. Coś w rodzaju regionalnego dziwactwa.

Wtedy zaś nikomu by do głowy nie przyszło, nikt by się nie ośmielił traktować polszczyzny kresowej jako niepoprawnej, gorszej czy niedopuszczalnej w życiu kulturalnym i w towarzystwie, jako chamskiej, chłopskiej, wulgarnej. Przecież mówili nią wszyscy: bogaci ziemianie i szlachta zaściankowa, wojskowi, nauczyciele i księża. W dodatku owiana była sentymentem i powagą wiodącymi się z Mickiewicza i innych romantyków, z trylogii Sienkiewicza, z *Pamiętek Seweryna Soplicy* Henryka Rzewuskiego, *Powieści kozackich* Michała Czajkowskiego, *Lata leśnych ludzi* Rodziewiczówny, *Nad Niemnem* Orzeszkowej, *Sobola i panny* Józefa Weyssenhoffa itd.

Kresowiaci nie tracili jej choćby i w najbardziej oficjalnych okolicznościach: co najwyżej ksiądz lub nauczycielka starali się przynajmniej w swych urzędowych funkcjach zredukować udział regionalizmów, zbliżyć się do centralnych norm językowych: ale i wtedy pozostawała im prawie nietknięta fonetyka kresowa, jakże różna od trzech dopuszczalnych; liczne zwroty i przesunięcia znaczeniowe; sporo osobliwości gramatycznych; wreszcie nadzwyczaj odrębna, bogata i melodyjna intonacja, nie dająca się w żaden sposób zapisać i tylko szczątkowo, wtórnie wyczuwalna np. w szyku wyrazów.

Dla wszelkiego autoramentu poprawnościowców, belfrów czy innych normatywistów o urzędniczym podejściu do języka była to sytuacja trudna do przyjęcia: tak potężnej, twórczej, umiłowanej, tak żywej i ogromnej części narodu, jaką stanowili Kresowiaczy, nie można było postawić do kąta z notą niedostateczną i nakazać im, żeby się pozbyli serdecznej krwi swego języka i nauczyli się bąkać po warszawsku. Nie sposób też było uznać ich za wieśniaków, proletariat czy inną ciemnotę. W dodatku nie tylko ich mowa różniła się od norm centralnych i łamała je często w punktach najbardziej zasadniczych: ale i mentalność, charakter, styl życia i wypowiedania się. Bo też natura i mowa Kresowiaków były wrażliwe i prostolinijne, uparte i rzetelne; były zaprzeczeniem urzędniczego ważniactwa i pozoractwa, snobizmu, fałszu i pustosłowania, w tym również „austriackiego gadania” i temu podobnej specyfiki galicyjskiej.

W dodatku warto podkreślić, że Kresowiaczy (w przeciwieństwie do reszty Polaków) niemal bez wyjątku znali jeszcze co najmniej drugi język obcy: ukraiński, białoruski, żydowski, litewski, rosyjski itd. Posługiwali się nimi płynnie i na co dzień, zwykle jakby drugim rodzowitym.

Z tego impasu oficjalna polonistyka normatywna znalazła wyjście równie proste, jak charakterystyczne dla jej akademickiego zakłamania:

Udawano, że zjawisko i problem nie istnieją.

Zalęgła się więc sytuacja dobrze znana z wielu cywilizowanych krajów europejskich, lecz zaskakująca na gruncie polskim: pluralizm kulturowy bez niższości społecznej.

Jak w Niemczech ktoś, czym językiem jest *plattdeutsch*, jak Bawarczyk i Szwab, Sas i Hes różnią się zasadniczo pod wieloma względami, od charakteru narodowego i obyczajów aż po używany na co dzień dialekt, wcale się tego nie wstydząc i przez nikogo nie uważani za gorszych, bo nie zglajchszaltowanych, ale raczej mając to za powód do dumy i satysfakcji; jak nikomu z nich nie przeszkadza to w poczuciu przynależności do większej i nadrzędnej wspólnoty Niemców; jak analogiczne zjawiska mamy na każdym kroku we Włoszech i Wielkiej Brytanii, w Hiszpanii czy Francji; tak stało się również i w Polsce, głównie ze względu na Kresowiaków, ale także Kaszubów, Ślązaków czy Górali tatrzańskich, a nawet Żydów i Tatarów. Aż po wojnie górę wzięła urzędnicza mentalność, mając po swojej stronie efekty hitlerowskiego ludobójstwa i niszczycielski wpływ komunizmu. I wówczas dokonał się też proces, nie pozbawiony pewnych zbieżności z ludobójstwem, a dla Polski podobnie zgubny w skutkach: unicestwienie Polaka „narodowości” kresowiackiej. Dziwnym trafem nikt bodaj nie opisał tej sprawy w jej ogromie i w jej następstwach.

Mówi się co najwyżej o wywózce Polaków z terenów wschodnich w głąb Związku Radzieckiego, czy to na Sybir, czy do Kazachstanu itd. Przemilcza się zaś całkowicie aspekt nadzwyczaj istotny: *jakich* to Polaków tam wywożono?

I co się stało z tymi, których nie wywieziono?

Fałsz tej manipulacji przypomina nieco inny historyczny fałsz o podobnej skali za-

kłamania: statystykę Polaków uśmierconych na Majdanku czy w Treblince. Iluż to lat było trzeba, zanim na urzędowych łgarzach, kłamiących przez niedopowiedzenie, wymuszono tę drobną poprawkę: że ginęli tam i owszem, Polacy, ale w większej części Polacy narodowości żydowskiej.

Otóż do Rosji i Azji Sowieci wywieźli olbrzymią liczbę nie statystycznych Polaków, tylko *Kresowiaków*. A następnie tych z *Kresowiaków*, którzy ocalili przed Sowietami, wywieziono wspólnym staraniem władz polskich i radzieckich na Ziemię Odzyskane, gdzie w celowym rozproszeniu zlikwidowano ich tożsamość tak skutecznie, jak w drodze eksterminacji biologicznej i bardziej nieodwracalnie, niż przez wywózkę do Kazachstanu.

Problem przestał więc istnieć w życiu, a resztki polszczyzny kresowej zeszyły z biegiem czasu do roli sentymentalnych lub humorystycznych ciekawostek w funkcji głównie kabaretowej.

Podobnie jak polszczyzna żydowska.

I tak samo tandetne stały się estradowe chwytły wykonawców, małpujących jedną i drugą. To naiwne zaciąganie lub żydłaczenie, sztuczne i prostackie, nie mające prawie nic wspólnego ze specyfiką tych dwóch autentycznych odmian polszczyzny, wręcz niepodobne do nich: mogące tylko wzbudzić najgłębsze obrzydzenie w *Kresowiaku* lub *Żydzie*, którzy jedną czy drugą mowę jeszcze pamiętają w ich naturalnej postaci, a nie jako wątpliwe małpowanie paru odrębności fonetycznych i nic poza tym.

Co do mnie, urodziłem się w Warszawie jako rdzenny Polak i na takiego byłem wychowywany. W rzeczywistości jednak (co nigdy nie zostało w rodzinie jasno powiedziane) ojciec mój wywodził się z austriacko-żydowskich mieszczan krakowskich, a matka z ziemian pochodzenia litewsko-tatarsko-białoruskiego. Zaraz po urodzeniu zabrano mnie do majątku dziadków Krasowszczyzna opodal miasteczka Iwje (po reformie ortografii w 1936 roku pisanego Iwie, co fałszowało wymowę tej nazwy) między Lidą a Nowogródkiem, gdzie chowałem się nieprzerwanie do szóstego roku życia, a częściowo przez siedem następnych lat. Więc naturalnymi językami mego dzieciństwa były na równi: polszczyzna kresowa i białoruski. Potem już w Warszawie nabyłem zwykłej, standardowej, szkolnej polszczyzny, ale na całe życie pozostały mi nie tylko drobne ale istotne ślady kresowej fonetyki oraz intonacji, lecz i trwająca do dziś umiejętność przełączenia się (choć z wysiłkiem) na mówienie lub słyszenie wewnętrzne po kresowemu.

Kiedy niemal przypadkiem sięgnąłem po *Kostka Biernackiego*, od pierwszych zdań zabrzmiała mi w uszach mowa tych czasów i stron. Odruchowo zacząłem czytać na głos i okazało się, że to właśnie ten język: od pół wieku nie używany i prawie zapomniany przeze mnie, a nie zapisany także w literaturze.

Chyba że gdzieś tam jakoś szczątkowo.

Nigdy w takiej obfitości. W takim autentyzmie i bogactwie. W takiej mieszance.

Straszny gość byłby niezwykłą książką, bezcennym i unikalnym dokumentem, już za

sam język. Nawet gdyby nie miał innych walorów literackich. Lecz ma w równej mierze wszelkie inne zalety i uważam tę doszczętnie zapomnianą książkę (będąc jak najdalszy od lokalnego patriotyzmu i pochopnego entuzjazmu w ocenach literackich) za jeden z majstersztyków i jedno z najświetniejszych, najbardziej oryginalnych dzieł polskiej prozy XX wieku.

W dodatku *Straszny gość* reprezentuje niemalże w pojedynkę, skądinąd prawie nieznaną w literaturze polskiej, nurt realizmu magicznego: i to na jego światowych szczytach.

Używa do tego celu nie tyle języka, co wielu języków. Prawie cała narracja włożona jest w usta gawędziarza ludowego, starego Kosti, co powinno jej nadać jednolitość: tymczasem w opowieściach jego znajdujemy cały bukiet języków i stylów, zależnie od tego, który bierze górę w jego własnych gawędach oraz w tym, kogo, co i w jakim stylu czy języku przytacza.

Ten narrator stara się jednak opowiadać po polsku: i robi to z mniejszą lub większą konsekwencją. Ale jest to właśnie typowa polszczyzna kresowiacka: niby prawie zwyczajna, lecz budowa zdań i ekspresja okazują się raz po raz osobliwe. Zdarza się to również w gramatyce i szczególnie w tym, co najważniejsze dla języka, czyli w składni: nieświadomy rzeczy redaktor starałby się „poprawić” co drugie zdanie i od ręki zniszczyłby wszystko, co w tej książce bezcenne i najwspanialsze. Na pozór zwyczajne i zrozumiałe wyrazy polskie raptem kryją w sobie inne znaczenia: oczywiste dla nas, Kresowiaków, lecz mylnie odczytywane przez innego czytelnika: tak jak choćby lektura Kochanowskiego kryje w sobie nieustanne pułapki znaczeń na pozór oczywistych, a naprawdę zupełnie innych. Z drugiej strony autorowi zdarzają się niepotrzebne odstępstwa do form literackich od polszczyzny kresowej: na przykład nie ma w niej enklitycznej formy zaimków *mi, go, mu* tylko zawsze *mnie, jego, jemu*. W liczbie mnogiej czasu przeszłego raczej nie odróżnia się dwóch form i czasownik występuje tylko w męskosobowej: *baby przyszli* itp. Tego wszystkiego nie mogłem uwzględnić w objaśnieniach; komentarz stałby się zbyt obszerny i pedantyczny; ale pilne i konieczne jest, aby jakiś należycie przygotowany polonista dokonał kompletnej i drobiazgowej analizy językoznawczej tego niezwykłego zabytku.

Bo *Straszny gość* już nim jest. Albo za chwilę będzie. A gdy wymrze ostatni Kresowiak, nikt już tego nigdy nie odtworzy i stanie się to, co stało się dwieście lat temu z językiem połabskim, a pół wieku temu ze słowińskim.

Pogranicze kulturowe, po którym wędrował w przebraniu Wacław Kostek Biernacki, jest organiczną mieszanką składników przede wszystkim ukraińskich i białoruskich ze sporą domieszką innych, jak rosyjskie, polskie i trochę żydowskich. Ale kiedy mowa o białoruskich i ukraińskich, nie oznacza to przecież dwóch wyraźnie określonych i odrębnych języków ani narodowości: nie istniała w nich norma poprawności ani jednolitość, ani nawet zbyt wyraźne rozróżnienie, co to za język! Dziś np. uznaje się za osobny język poleszucki i zaczyna się w nim pisać literaturę, a wtedy mało że nikomu nie przy-

szło do głowy zastanawiać się, czy Poleszycy mówią po białorusku, po ukraińsku czy po jakimś tam, ale niewątpliwi Białorusini też nie wiedzieli, że mówią po białorusku; że istnieje taki język i narodowość! Sąsiadujące z nami wioski, odległe o parę kilometrów, wyśmiewały się wzajemnie, że ci wymawiają „gołębie” w liczbie mnogiej *hałuby*, a ci *hałuby*, odwiedzający zaś moich dziadków późniejszy klasyk Janka Kupała zajadłe tłumaczył chłopom, że są Białorusami, oni zaś traktowali to jako dziwactwo. Kto choć trochę awansował społecznie czy zawodowo, uznawał się za Polaka. Ukrywano niezręczny fakt, że Orleńta Lwowskie pochodziły z różnych narodowości, a ich wspólnym mianownikiem była nie tyle polskość, ile przynależność społeczna. Nie spodziewajmy się więc, że w opowieściach Kosti w *Strasznym gościu* znajdziemy jakikolwiek wyraźny porządek językowy.

Znajdziemy tylko nie poddaną żadnym rygorom i w ogóle nie uporządkowaną rzeczywistość językową, jaka była.

Opowiadania ze *Strasznego gościa* rozgrywają się na Wołyniu i Polesiu, co łatwo stwierdzić na podstawie obficie cytowanych nazw geograficznych, chwilami sięgając też z jednej strony Podola i Ukrainy aż do Kijowa włącznie, z drugiej strony do ziem lubelskich i białostockich. Stąd mieszanka wielu języków, a przede wszystkim gwar ukraińskich i białoruskich, zwłaszcza po kolejnym przeniesieniu na polszczyznę czasami trudnych do rozróżnienia.

Widząc ukraińsko-białorusko-polski wariant rzekomo „starej piosenki naszej” *Hej, z góry, z góry jadą Mazury* przypomniałem sobie, jak żeńcy w naszym majątku śpiewali na polach: *Ej, ej, uha ha, pani pana zabiła, w ohrudeczku schowała...* nie przejmując się mieszanym językiem niezbyt białoruskim i nie podejrzewając, że to przeróbka *Lilii* Mickiewicza.

Stąd wynika pewnik, że takiego języka (czy języków) nie trzeba i nie wolno poddawać żadnym rygorom. Trzeba to słyszeć.

Ten nurt regionalny i językowy nie skończył się na lepszych czy gorszych klasykach. W roku 1937 Leopold Buczkowski napisał świetną powieść *Wertepy*, wydaną dopiero po wojnie w 1947 roku: jedno z arcydzieł prozy polskiej, które też przypomnimy w serii *Majstersztyk*. Co nieco utrwalił w swoich utworach Sergiusz Piasecki, Igor Newerly i Tadeusz Konwicki. Wreszcie pojawiła się dwuznaczna historia z powieściami *Ptasi gościniec* (1973) i *Babie lato* (1974) Haliny Auderskiej. Dzieją się znowuż na Polesiu i po kresowiacku. Tylko nie ma pewności, kto był naprawdę ich autorem. Mówi się o kimś nieznanym, kto jakoby dał jej do oceny swój rękopis, ona zaś nieco „poprawiła” go politycznie i wydała pod własnym nazwiskiem. Autor ów jakoby nie dożył zakończenia sporu z wszechwładną działaczką PZPR i ZLP oraz innych organów i organizacji. Prawda to czy fikcja? Jedna i druga byłyby podobnie ciekawe i godne wyjaśnienia. Zwłaszcza że z całego dorobku Auderskiej ten jeden utwór wyróżnia się jakością i nie tylko ze względów kresowiackich.

Jeśli uda się to kiedyś wyjaśnić, kto wie, czy *Ptasi gościniec* też nie okaże się relik-

tem z demonicznego folkloru.

Sprawy językowe z kolei wiążą się z narodowością, jej poczuciem i rozwojem nacjonalizmu, a także działalnością edukacyjną i polityczną nacjonalistów, zarówno miejscowych, jak i agitatorów przybywających z Rosji sowieckiej. Bo równolegle z tępieniem białoruskiego i zwłaszcza ukraińskiego nacjonalizmu, aż do fizycznej eksterminacji włącznie, na rzecz sowieckiej rusyfikacji, agitatorzy prowadzili rozległą propagandę w imię tych nacjonalizmów przeciw polskości. Stąd m.in. agresywne manipulacje polityczne, którym u Biernackiego narrator, stary Kostia, w tym zamęcie ideologicznym przeciwstawia swą niechęć do sztucznie forsowanej ukraińskości przy równoczesnym ignorowaniu faktu, że za Ukraińców należy uznać także mieszkających na Ukrainie ludzi innych narodowości. Nigdy dość podkreślania, że faktyczna i należna Ukraińcom odrębność to nie to samo, co sowieckie hasła propagandowe, w rzeczywistości łączące się z metodycznym i długotrwałym niszczeniem tejże odrębności ukraińskiej.

Jest to zresztą dość istotnym przyczynkiem do postawy autora, który z jednej strony, jako wojewoda i bezlitosny wróg politycznych wywrotowców, z drugiej wykazywał równocześnie ogromne zrozumienie i wyraźną sympatię do miejscowej ludności ukraińskiej czy białoruskiej oraz niewątpliwie, co najmniej bezstronne poparcie dla ich spontanicznej, nie forsowanej odrębności kulturowej i myślowej oraz życiowych i żywotnych interesów.

A skoro już mowa o diabłach, osobliwych życiorysach i przemilczaniu lub zakłamywaniu artystycznej wartości pod fałszywym pretekstem, z przyczyn nieobiektywnych, przypadkowych albo personalnych i na zasadzie zbiorowej nieuczciwości, nasuwają się jako swoiste *pendant* choćby dwa inne nazwiska, czy raczej po diabelsku jedno nazwisko dwojga twórców: Stanisław Przybyszewski i jego córka Stanisława Przybyszewska.

Czym lepszy był *der geniale Stachu* od Kostka?

Nikogo wprawdzie nie wieszał i nie dręczył w Brześciu ani w Berezie. To nie ulega wątpliwości.

Jednak cokolwiek złego powiedziałyby się, choćby i najśluszej, o Kostku Biernackim, Przybyszewski nie był postacią ani trochę sympatyczniejszą. Całkowity alkoholik i naciągacz, nieodpowiedzialny i destrukcyjny egocentryk itd. Zjawisko całkiem odmienne, ale nie piękniejsze. Był znakomitym pisarzem, lecz po niemiecku. W przeciwieństwie do Kostka Biernackiego deprawował też i niszczył polski język i jego kulturę. A jednak otaczała go dość powszechna sympatia i nawet uwielbienie. Tak różnymi drogami chodzą środowiskowe fobie i nagonki, wstręty i zachwyty, pobłażliwości, wybaczenia i potępienia. Nie ma w nich żadnego sensu ani prawidłowości. Często nawet odrobiny zastanowienia się i przyzwoitości. A znów córka Przybyszewskiego, rzeczywiście wybitna pisarka, zepchnięta została w niebyt jak sam Kostek Biernacki, choć w odmiennym stylu i z całkiem innych przyczyn. Ale równie skutecznie. Do śmierci włącznie.

I działo się to w tym samym czasie. W głowach i rękoma tych samych ludzi. Tych samych albo pokrewnych środowisk.

Dość na tym. Reszta byłaby nieorganiczną dygresją.

Lecz warto sobie przypominać takie porównania i rozważać ich mechanizmy. Także wspominając o Kostku Biernackim.

Z pewnością nie była to przyjemna postać. Można by naliczyć niejeden, ale dwa, trzy lub więcej powodów do skojarzenia go z diabłem. A nawet zaproponować barwne określenie, że to *Straszny gość* literatury polskiej. Tylko nie powód, aby w charakterze odwetu zapomnieć o jednym z najświetniejszych w tej literaturze dzieł, jakie napisano w XX wieku.

Objaśnienia

Obejmują mniej znane realia, wyrazy i zwroty archaiczne, gwarowe lub obcojęzyczne, nieraz w lokalnych gwarach mieszanych, więc z zasady swej niepoprawne. Również przekłady zwrotów i tekstów niepolskich. Miejsce akcentu, jeśli nie na przedostatniej sylabie, wskazano kropką u dołu. Warto dodać, że jeden i ten sam wyraz miewa taki lub inny akcent zależnie od tego, czy w danym kontekście został mniej czy bardziej spolszczony. Bez względu na to, gdzie spoczywał akcent w mianowniku, w przypadkach zależnych przesuwa się on na drugą sylabę od końca i na ogół tak lepiej czytać w tekście polskim, chociaż nie musiało tak być w oryginalnych językach i dialektach.

W imionach własnych podaję miejsce akcentu, gdy różni się od polskiego. W piosenkach występuje nieraz transakcentacja zależna od melodii. Najśluszniejszy byłby zapis nutowy. Lecz na potrzeby głośnego czytania zaznaczam miejsca, gdzie akcent nie wypada na przedostatniej sylabie.

Ponieważ cytaty są nie tylko ukraińskie, białoruskie i rosyjskie, ale i w różnych odmianach polszczyzny kresowej, a w dodatku często miesza się w nich fonetyka tych języków, bywają zaś także indywidualizmami autora, na ogół nie podaję, z którego pochodzą języka.

Można by sądzić, że niektóre z objaśnień są niepotrzebne, bo zbyt oczywiste. Jednakże pod niszczyielskim działaniem głównie telewizji i prasy codziennej, a także obniżonego poziomu szkolnictwa i sfer akademickich, podstawy kulturowe uległy w Polsce i nadal ulegają tak niewiarygodnej regresji, że ryzykowne byłoby przyjmowanie za oczywiste czegokolwiek. Dotyczy to zwłaszcza metodycznie tępionej znajomości języków i wszelkich innych spraw dotyczących narodów i kultur wschodniej Słowiańszczyzny.

A wy, chaziain, po kakomu dziełu? A wy, gospodarzu, w jakiej sprawie?

A wy kuda jedzietie, chaziain? A wy dokąd jedziecie, gospodarzu?

Aleksiej: imię męskie.

archimandryta: cerkiewny dostojnik sprawujący władzę nad klasztorami.

arest: areszt.

arszyn: około 70 cm. Także miarka arszynowa.

ataman: hetman, wódz, dowódca.

Awstria: Austria.

Awstryjec: Austriak.

az-buki-wiedi: nazwy trzech pierwszych liter *a-b-w* alfabetu cyrylicznego i stąd abecadło ruskie.

bachurki: dzieci żydowskie.

baczyć: patrzeć.

bałakać: gadać.

bałakanie: gadanina.

bandura albo *bandurka*: ukraiński ludowy instrument szarpany z owalnym pudłem rezonansowym i dwoma grupami strun, melodyczną i basową.

baszmaczki: trzewiczki.

batuszka: ojczulek.

bat'ka: ojciec.

Batur: Batory.

bezhwosty: nie mający ogona.

bić się: tłuc się, łomotać.

Biegi, towarzyszc, skoreje! Uciekaj, towarzyszu, prędeż!

bielena: lulek, trująca roślina, w idiomatyce tyle co blekot.

Boprew: wybitny dziennikarz Antoni Beaupré (1860-1937) był redaktorem naczelnym dziennika *Czas*.

Bowa: legendarny siłacz z baśni ludowych.

branka: pobór.

brechać: wygadywać głupstwa.

brechnia: głupie gadanie, brednia.

brukolak: odmiana wampira z południowej Rumunii z przyległościami. Ma wygląd spuchniętego czy nadętego do rozpuku.

buda: wagon.

carskie wrota: w cerkwi bogato zdobione środkowe drzwi w ścianie ołtarzowej, przez które się wnosi Sakrament święty.

carstwo: królestwo.

chałodno: zimno, po ukraińsku.

charia: maska.

Chody, żywuszczyj! Chodź, żywy!

Chodynka: słynna katastrofa na Chodyńskim Polu w Moskwie, gdzie w olbrzymim tłumie i ścisku podczas koronacji cara Mikołaja II w 1896 roku zdeptano wiele osób na śmierć.

chołodno: zimno, po rosyjsku.

Choma: imię męskie. Ukraińska wersja Tomasza.

chorom: budynek, sień gościnnie.

chorowód albo *chorowod*: chór, korowód.

chroniciel: obrońca, stróż.

Chrysta radi! na miłość Chrystusa!

Chrystos woskres! tradycyjne w cerkwi pozdrowienie prawosławne: Chrystus zmartwychwstał!

chutor: osobno leżące gospodarstwo.

chutornik: właściciel albo mieszkaniec chutoru.

co i mówić: co tu gadać.

czeluść: szczeka.

czirikać: ćwierkać.

Czornyja oczi da bielaja grud' do samoj połnoczi zasnut' nie dajut: czarne oczy i biała pierś aż do północy nie dają zasnąć.

czuczeło: kukła, straszycło, czupiradło.

czujna: przyprawiona ziołami.

czumak: ukraiński chłop przewożący wozem zaprzężonym w woły sól oraz inne towary.

Czy w pole ne pszenyczka była... ćwiła? Czy w polu nie pszeniczka rosła? Czym ja wiosną, zielona, nie kwitła?
Wzięli mnie i zżęli, w pęczki powiązali, gorzka moja doła!

czynownik: urzędnik.

czystopłotny: schludny.

dawaj! dawaj, nuże!

de: gdzie.

deńszczyk albo *dieńszczyk*: ordynans.

diak: sługa cerkiewny.

did albo *didko*: dziad, ale także straszycło.

Dieduszka, bojuś: Dziadku, boję się.

ditiatko: dzieciątko.

Diwczynońko myła... Dziewczyno miła, co ty będziesz robiła na Ukrainie dalekiej? Będę szyć, prac, ciebie, miły, całować na tej Ukrainie dalekiej... Gdzie ty będziesz spała na Ukrainie dalekiej? W stepie pod wierzbą, ale z tobą, miły.

dobrodij: dobrodziej.

doczka: córeczka.

donia: dziewczyna.

druh: przyjaciel.

družba: przyjaźń.

drużeńka: przyjaciółka.

dubina: pałka.

dudka: piszczałka, wabik.

duma: zaduma.

dwugrywiennik: moneta 20 kopiejek albo groszy.

dziadzio: nie tylko dziadek, ale i wuj, jako uprzejmy zwrot w stosunku do ludzi starszych i szanowanych.

dzieduszka: dziadunio.

dzieło: sprawa.

dziesięcina: około 1,1 ha.

familia: nazwisko.

forma: mundur.

gałuszki: kluski.

garniec: miara objętości mogąca wynosić 3-4 litrów.

generalsza albo *gienieralsza*: generałowa.

gęś czarnomorska: jedna z ras gęsi.

gienierał: generał.

gołowa: naczelnik, wójt. Po ukraińsku *hołowa*.

gonić: wyganiać.

Gonta Iwan: wraz z Żeleźniakiem przewodził w 1768 roku rzezi humańskiej, po czym został ujęty przez Rosjan, wydany Polakom i stracony.

gostinnica: hotel.

gubernator: tu z rosyjska wojewoda.

gubernia: województwo.

gumno: stodoła.

hajduk: służący albo strażnik ze służby dworskiej, jednolicie ubrany na modłę węgierską.

Haliczyna albo *Hałyczyna*: Galicja.

Hapunów: nazwa wsi pochodząca niby od białoruskiego lub rosyjskiego wyrazu *chapun* złodziej.

harmoszka: harmonia.

Hej, nu wy, chłopci... smutny, ne wesely? Chyba... liłosia... żyłosia: Hejże, wy chłopcy, piękni młodzieńcy, czemuście smutni, nie weseli? Czyżby u szynkarki brakowało wódki, piwa i miodu brakowało? Wypito wódkę, znów nalewajcie, żeby przez brzegi się przelało, żeby nasza dola nas nie dręczyła, żeby lepiej się żyło na świecie!

Hej tam sered stawu... mołoda diwczyna kozoćkocho syna: Hej tam pośrodku stawu, w cichym młynie, urodziła młoda dziewczyna kozackiego syna, urodziła i utopiła pośrodku stawu.

Hej tam z hor... jedut... wezut... na wojni. Odin mazur staw, od druhich odstaw... Diwczyno moja, sidaj na konia... zeleny doma: Hej tam z gór, z góry jadą Mazury, jadą, jadą Mazurkowie, wiozą, wiozą barwinki, byli na wojnie! Jeden Mazur stanął, został za innymi: stuk, brzęk w okieneczko, wstań serduszko, dziewczuszko, koniowi daj wody! Dziewczyno moja, siadaj na konia, to pojedziemy w obce kraje, gdzie mazurskie obyczaje, zielone domy!

hołobla: dwa dyszle w jednokonnym zaprzęgu.

hołodranec: łapserdak.

Hołopuzko: przezwisko w znaczeniu: Gołobruszek.

hopak: skoczny taniec ukraiński.

hore: biada.

horodyszczce: grodziszczce.

Hospod albo Hospod Boh: Pan Bóg.

Hospody, pomyłuj! Panie, zmiłuj się!

hostynnycia: hotel.

hreczka: gryka.

i: często w znaczeniu *nawet itp.*

I szumi, i hude, dribnyj doszczyk ide... otwide... kozak na sołodkom medu... otwidu ...Ne wędzy ż ty mene, oj, prosza ż ja tebe... nese... zatrase: I szumi, i huczy, idzie drobny deszczyk... I któż mnie, młodą, odprowadzi do domu? Poił się Kozak słodkim miodem... Baw się, baw się, czamobrewa, ja odprowadzę do domu! Nie prowadź że ty mnie, oj, proszęż ja ciebie, bo mam złego męża, będzie mnie bił! Na bok, chłopcy, na bok, bo diabeł niesie męża! Jak zobaczy mnie z wami, cholera go zatrzęsie!

Harion: duchowny pisarz cerkiewny z XI wieku.

imperial: złota moneta carska wartości 10 albo 15 rubli.

inny: poniek który,

inni: niektórzy.

innym razem: czasami.

Isusie! Jezu!

Iwan: imię męskie.

Iwaś: zdrobniła forma imienia Iwan.

izba: chata.

izwoszczyk: woźnica, dorożkarz. W liczbie mnogiej: *izwoszczyki.*

jamszczyk: woźnica.

Jan Kupała: dzień św. Jana tj. 24 czerwca.

jaszczyk: szkatułka.

jelektryczestwo albo jelektryczestwo: elektryczność

jenierał: generał.

kaban: dzik, wieprz.

Kamienne krzyże: ballada *Trzy krzyże pod Brykowem* znajduje się w zbiorze Szymona Konopackiego *Poezye*, Wilno 1841.

kantarej: przodownik chóru.

Kasjan: imię męskie.

katoliczestwo: katolicyzm.

kazarma: koszary.

kazionny: państwowy.

kazna: skarb państwa.

kaznaczejstwo: urząd skarbowy.

każe: powiada.

Kiciałupko: przezwisko w znaczeniu: obdzierający koty ze skóry.

kiejatr: teatr.

kobeniak: wojskowy płaszcz z kapturem.

Kolsławien... hymn cerkiewny: Jako sławny nasz Pan w Syjonie.

kolada: kolęda, święto Bożego Narodzenia.

komandir: dowódca.

komendantsza: komendantowa.

komisarski: odnoszący się do komisarza lub zarządcy.

Kondrat: imię męskie.

konfederaty: oddziały szlacheckiej konfederacji barskiej 1768-1772 walczyły z Rosjanami, ale nękały także chłopów ruskich, zaostrażając poddaństwo i forsując katolicyzm wśród prawosławnej ludności, co doprowadziło do wielkiego powstania chłopskiego. Położyło ono kres działaniom konfederatów na południowych kresach Rzeczypospolitej.

konwert: koperta.

kop: Korpus Ochrony Pogranicza.

kopist: żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza.

korablik: tradycyjne rosyjskie nakrycie głowy z futrzanym otokiem podniesionym z przodu i z tyłu.

korol: król.

kosz: warowny obóz kozacki albo tatarski.

koszowy ataman: dowódca kosza kozackiego.

kotyniatka: koteczka, kociątko.

krymka: jarmułka.

kuczka: prowizoryczny szalas ustawiany na żydowskie święto Sukot.

Kupała: letnie święto porównania dnia z nocą 23 czerwca, związane tyleż z pogańskimi obrzędami płodności, co z tradycją św. Jana Chrzciciela, czyli tzw. noc Świętojańska. Nazwa tego święta, traktowana niekiedy jako imię pogańskiego bóstwa, wiąże się z pojęciem kąpieli czyli chrztu.

kwarta: miara objętości wynosząca na Kresach 1,2 litra.

kwartira: mieszkanie.

kwartirnica: lokatorka.

Lach: Polak.

lacki: polski.

lepiet: gaworzenie.

li: czy.

libo: albo.

Lita orzeł... hula... pieśń o Maksymie Żeleźniaku: Lata orzeł, lata siwy pod niebem, hula Maksym, hula ojczulek po stepach, po lasach! Oj, lata orzeł siwy, a za nim orłęta, oj, hula Maksym ojczulem, a za nim chłopaki.

Lude, pomohajte, ohoń u mene w chati! Ludzie, na pomoc, pożar w mojej chacie!

lulka: fajka.

luty: srogi.

Maksym: imię męskie.

Marfuszka: zdrobniałe imię żeńskie.

matuszka: mateczka, mamusia.

Matwij: imię męskie.

miatież: bunt.

Michej: imię męskie.

miodna z czerwienią: wódka na miodzie. Może przyprawiona czerwonymi jagodami czermieni błotnej?

Misiać swytyt... księżyc świeci, księżyc jasny, gdzież lata me młode, piękne?

Mitrofan: imię męskie.

moja chata s kraju... moja chata z brzegu, ja nic nie wiem.

mołodycia: dziewczyna.

mołojec: młodzienc.

mołokosos: mleczak, młokos.

monachini: mniszka.

monaster albo *monastyr*: klasztor. Także z akcentem na ostatniej sylabie.

moroczyć: zwodzić, zawracać głowę.

Moskal: żołnierz, tu również wojska polskiego.

Mucha: legendarny dowódca jednej z band dywersyjnych, działających od 1918 roku na ukraińskim pograniczu. Wywodziły się one z miejscowej ludności, a zajmowały agitacją przeciw Polsce i panom na rzecz Sowietów, a niekiedy również działalnością bandycką. Trwało to przez kilka lat, do czasu powołania Korpusu Ochrony Pogranicza i zarazem ostatecznego wytyczenia i zabezpieczenia granicy polsko-sowieckiej.

mundir: mundur.

mużycki: chłopski.

myleńka: mileńka, najmilsza.

naplewat': kichać na to! nieważne!

naręczny: koń idący po prawej stronie.

Ne rozumiju: Nie rozumiem.

Ne umiju, u nas nema ni szkoły, ni uczytiela: Nie umiem, u nas nie ma ani szkoły, ani nauczyciela.

Nechaj bude hreczka: A niech będzie gryka.

niebylica: bajka.

niechryst: antychryst.

nielekka: zła siła diabelska, cholera itp.

nienapatrzony: taki, na którego nie można się dość napatrzeć.

nienazwany: niewymowny.

nieujęty: nieposkromiony.

niżnij czyn: niższy urzędnik.

obiednia: msza prawosławna.

Och, pane! Jak ja toho ne lublu! Och, panie! Jak ja tego nie lubię!

oczeret: szuwary nadbrzeżne i wchodzące w ich skład rodzaje wysokich traw, rosnących na styku wody i lądu.

Oj, chodyła diwczyneńka biereżkom... batuszkom: Oj, chodziła dziewczyna po brzeżku, zaganiała kaczoraka baci-kiem.

okiejan: ocean.

oktiabrski: październikowy.

orszag: orszak, świta itp. zapożyczenia z tatarskiego *urszak* w skojarzeniu z węgierskim *orszag* kraj, państwo.

osełdec: kosmyk włosów lub warkocz noszony przez Kozaków na czubku ogolonej głowy. *osiedle*: przymusowe osiedlenie.

Ostapczuk: nazwisko.

ość: oścień.

Otkuda ty, staryj chrien, zaczem szlajeszsia? Skąd jesteś, dziadygo, czego się włóczysz?

otobil: automobil, samochód.

pałanka: osada otoczona drewnianymi fortyfikacjami.

panichida: prawosławne nabożeństwo żałobne.

pańskie rządy: kiedy Ukraina Zachodnia w latach 1918-1939 należała do państwa polskiego.

parfium: perfumy.

pasport: dowód osobisty.

paszol won! idź precz!

Patiomkin: księżę Grigorij Potiomkin, mąż stanu i faworyt Katarzyny II, w latach 1776-1791 zarządzał całą południową Rosją.

pieredownik: przodownik.

piędz: naturalna miara długości, tyle co w rozpostartej dłoni od czubka kciuka do czubka małego palca. Mniej więcej od 23 do 40 cm.

pismowoditiel: kancelista.

Piter: Sankt Petersburg.

po formie: mundurowy, w mundurze.

po tielefonu: przez telefon.

Poczajowska Ławra: słynny klasztor prawosławny w Poczajowie.

podlec albo *podlec*: łajdak, nikczemnik.

podmignąć: mrugnąć.

podwoda: wóz.

pojezd: pociąg.

pokojnik: nieboszczyk.

Polszcza: Polska.

połtina: połówka jako pieniądz, tu pięciozłotówka.

połtinnik: moneta 50 kopiejek albo groszy.

połustanok: przystanek.

ponomar: diak, sługa cerkiewny.

ponomareńki: diaczek.

popadia: żona popa.

popadianka: córka popa.

post: posterunek.

postoj! poczekaj!

poszo! precz!

powiwalna: położna.

powodja: lejce.

półtabeńku: tzw. półtabin albo półtabint, rodzaj tkaniny jedwabnej. Forma mianownika nie do odtworzenia.

półziemny: zbudowany w połowie z ziemi.

propusk: przepustka.

prosto: po prostu.

proswirka: bułeczka pszenna poświęcana w czasie nabożeństwa w cerkwi jako coś zbliżonego do Komunii świętej.

proszczaj! żegnaj!

proszenje: podanie.

proszą: prosię.

pryjut: przytułek, sierociniec.

prystaw: naczelnik policji.

prywyczka: przyzwyczajenie.

przychodził się ojcem: był ojcem.

pud: 16,38 kg.

Pustył' jeho... synka majemo mąleńkoho! Hospod' Boh bilsze usich... na moje nieszczęstje, karat' bude...
Puśćcie go, jaśnie wielmożna pani! On mój, synka mamy malutkiego! Pan Bóg większy od wszystkich, widział moje nieszczęście, ukarze...

puszka: armata.

pylinka: pyłek.

Rewe ta stohne Dnibr szyrokyj: Ryczy i jęczy Dniepr szeroki. Pieśń ukraińska do słów Tarasa Szewczenki.

rodzony: kochany, swój, serdeczny.

rogózka: mata pleciona z łyka.

rota: kompania.

rotmistr: rotmistrz.

rozgradzać: usuwać lub otwierać ogrodzenie.

ruski: ruski albo rosyjski.

Ruś Czerwona: w dorzeczu Sanu i Dniestru, na północ sięgająca do górnej Prypeci, obejmowała ziemie sanocką, przemyską, halicką, lwowską i chełmską. Do roku 1772 należała do Polski, później do Austrii.

Samkitaj: nazwisko albo przezwisko.

saraj: szopa.

Satana: Szatan m.in. jako imię własne księcia piekielnego.

sążeń: około 2 m.

schodka: zgromadzenie.

siemigradzki: siedmiogrodzki.

Siergiej: imię męskie.

siemik: zapalka.

siniawo albo *sinioho*: niebieskiego, po rosyjsku i po ukraińsku.

skotinka: bydełko.

skuczno: smutno i tęskno.

skuka: depresja, tęsknota, smutek.

Sława Isusu Chrystu! Sława na wiki! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Na wieki wieków!

Słońce nyżeńko... itd. Słońce niziutko, wieczór bliziutko, wyjdź do mnie, moje serduszko.

słuszaj albo *słuszaj!* słuchaj!

służaka: sługus.

Smirno, ruki po szwam! komenda: Baczność, ręce przy szwach!

Smotri! Prybju! Uważaj! Stłukę!

sodomczyk: awanturnik, rozpustnik.

sodomski: rozpustny.

sołdat: żołnierz.

sotnia: setka.

Spasi tebe, Hospodi... strasznoji... Uratuj cię Boże, Kozacze miły, od tej strasznej diabelskiej siły.

spełni się wola twoja: bądź wola twoja.

stempel: opłata stemplowa.

strażnik: policjant zwłaszcza wiejski, strażnik.

stupa: stępa, wysokie drewniane naczynie do tłuczenia ziarna.

substilny: subtelny.

Sułtan wełykyj... Sułtan to wielki w świecie pan, ma tam ponad sto żon! Ma żon ponad sto, chciałbym ja być sułtanem!

sumak: właściwie suhak, malutka antylopa stepowa.

surgient: powstaniec.

sutozłoty: szczerozłoty.

swojczenica: krewniaczka.

szaszka: szabla.

Szczo ty, detyno, chlipajesz? Skazy, tut dobryje lude! Czego ty, dziecko, chlipiesz? Powiedz, tu dobrzy ludzie!

Szczuka: szczupak.

szpion: szpieg.

sztof: około 1,23 litra.

sztraf: kara, grzywna.

sztyk: bagnet.

szumnie: głośno.

szykarnie: elegancko.

szynelik: płaszczyk.

światlica: izba główna, jasna i czysta, nie robocza.

tarakan: karaluch.

trepak: taniec ukraiński.

trogaj! ruszaj!

tryzna: stypa.

tułup: wielkie i luźne futro.

turecka wojna: chodzi o wojnę krymską 1853-1856, w której Rosja najpierw odnosiła zwycięstwa nad Turcją, a później przegrywała, gdy po stronie Turcji wystąpiły Wielka Brytania, Francja i Sardynia.

turma: więzienie.

U susida chatka biła... U sąsiada chatka biała, u sąsiada żonka miła, a ja nie mam ani chatki, ani szczęścia, ani żonki.

ugodnik: sługa Boży, święty wybraniec.

ująć: umiarkować, przywołać do porządku.

ukrainny: kresowy.

uniaty: unicy.

unteroficer: podoficer.

upokoj: daj wieczne odpoczywanie.

uriadnik: podoficer policji.

Uspienije: Wniebowzięcie.

utikajtel uciekajcie!

utikła: uciekła.

w kandalach: w kajdanach.

wacht: wartownik.

walaj wpieriod! jazda naprzód!

Wasyl: imię męskie. W spolszczonej formie można też akcentować na pierwszej sylabie.

węłykyj: wielki.

wieniec: ślub.

wintówka: karabin.

wiorsta: niewiele ponad kilometr.

Wiszczu ja sobi... ne moja... Przepowiadam ja sobie myśl smutną, żeś ty, dziewczyno, nie moja! Tyś nie moja i oczy czarne kocha inny, a nie ja! I inny miły ciebie przytuli, boś ty, dziewczyno, nie moja!

witrynar: weterynarz.

wojenny: wojskowy.

wojna z Japońcem: czyli rosyjsko-japońska, trwała w latach 1904-1905 roku i zakończyła się klęską Rosji.

wokzał: dworzec.

wola: wolność, uwolnienie z poddaństwa.

wor: złodziej.

Woriszka: Złodziejaszek.

orotnik: kołnierzyk.

Woskresienije Chrystowo: Wielkanoc.

woskresny dzień: niedziela.

wsio dobre! wszystko w porządku!

Wyjdy do mene... Wyjdź do mnie, nie bój się mrozu, ja twoje nóżki do czapki włożę.

wzbiesić się: wściec się.

z chwostikom: z ogonkiem.

zadnim urnom: tylnym rozumem tzn. mądry po szkodzie.

zaklęty: zaprzysięgły.

zanawieski: firanki

zapasny: rezerwista.

zbyć: stracić.

Zelenyj barwinoczku... Zielony barwinku, ściel się niziutko, a ty miły, czarnobrewy, przysuń się bliżutko.

żelazna droga: kolej.

Żeleźniak albo Zalizniak Maksym: jeden z przywódców chłopskiego powstania na Ukrainie. W roku 1768 zdobył Humań i urządził tam słynną rzeź, zwłaszcza szlachty i Żydów.

żertwa: ofiara.

żrec: kapłan.

Uwagi o wymowie

Mimo lokalnych różnic, wiążących się z odmiennością języków i gwar ukraińskich i białoruskich, główny obszar mowy kresowej obejmował rozległy teren od Wileńszczyzny aż do Polesia i Wołynia włącznie, dopiero w okolicach Krzemieńca przechodząc w odrębny obszar południowy. Dlatego m.in. moje własne nawyki z Nowogródzczyzny można zastosować również do terenów, z których wywodzi się język używany w *Strasznym gościu*.

Co się tyczy wymowy, jej dokładny zapis w ogólnie stosowanej pisowni polskiej nie jest możliwy.

Nawet przy użyciu międzynarodowego alfabetu fonetycznego zapis ten byłby zaledwie przybliżony, bo i taki alfabet jest tylko konwencją fonologiczną, choć o wiele ściślejszy od standardowej ortografii.

Tylko nagranie może przekazać te brzmienia całkiem dokładnie. Tu ograniczę się do niektórych spraw najogólniejszych.

Powszechnie zauważa się słabsze zmiękczenie spółgłosek szczelinowych *ć dź ś ź*. Dla niewprawnego ucha jest ono główną i niemalże jedyną cechą wymowy charakterystycznie kresowej. Siłący się na taką wymowę aktorzy lub dowcipnicy zwykle nadają tym spółgłoskom brzmienie sztuczne i przesadne, mimo to zazwyczaj nie potrafią uzyskać właściwej palatalizacji, podobnej jak w językach ukraińskim, rosyjskim i białoru-

skim, zamiast tego zbliżając się raczej do *cj dzj sj zj*. Analogiczne choć mniej zauważalne kłopoty pojawiają się w wymowie zmiękczonej *l r*. Te z reguły zniekształca się w *lj rj*.

Polskie *l* nie istnieje w wymowie kresowej, podobnie jak np. w rosyjskiej. Kresowe *l* wyraźnie odróżnia się od ogólnopolskiego większą miękkością. Natomiast *ł* jest wyłącznie przedniozębowe, jakie dawniej obowiązywało w wymowie scenicznej i kulturalnej, pod żadnym zaś pozorem nie może zamieniać się w typowo choć nie tylko warszawskie *u* niezgłoskotwórcze.

Co prawda szczególnie ten komplikuje się przez to, że w niektórych grupach spółgłoskowych i na końcu wyrazów fonem *ł* przechodził w głoskę *u* także w ukraińskim i białoruskim: nie tylko *paszou* „poszedł” i *dziauczyna* „dziewczyna”, ale także *práuda* i *zabáuny*, a nawet *Lwíu* „Lwów” jako wymowa ukraińskiego *Lwíw* oraz przymiotnik *lwóuski*. Ale i tak słuszniej będzie niepotrzebnie wymówić niekiedy *ł* zamiast *u* niż na odwrót.

Bezwzględnie zaś niedopuszczalne jest wymawianie *h* jako *ch*. Sprawa o tyle prostsza od poprzednich, że rozróżnienie to wciąż obowiązuje w kulturalnej polszczyźnie, mimo że wśród tzw. językoznawców uniwersyteckich szerzy się nieuzasadnione przekonanie, jakoby utożsamienie *h* i *ch* stało się już powszechne i obowiązujące. W istocie pomieszenie to jest nie tylko socjologicznym przejawem regresji kulturowej; cechą nie narodową, lecz typową dla nizin społecznych, które rozpanoszyły się już nawet na katedrach uniwersyteckich i w Radzie Języka Polskiego; koliduje również z większością języków europejskich, z których fonetyką ten rodzaj Polaka miewa coraz większe trudności.

Pomiędzy dwoma systemami oscylują grupy *st'* i *ść*. Wynikają z nich takie oboczności np. w imionach jak *Nastia* i *Naścia*. Działo to w obie strony, bo polskie *ść* nie tylko przeważało w języku białoruskim, ale sięgnęło też do niektórych gwar ukraińskich. Z drugiej strony zaś w ostatnich czasach rosyjskie *st'* wyparło białoruskie *ść*, zachowujące się już tylko na wsi.

W takich wyrazach jak *święty* albo *kwiat* itp. wymawia się dźwięczne w palatalne, a nie polskie „śfienty” i „kfiat”.

Różne chwiejności dotyczą również pojedynczych spółgłosek, np. w znaczeniu dziadka i straszyla mamy cały szereg form: *did'ko*, *didko*, *dydko* i *dytko*, *dzidko*. Takie szeregi nie ustabilizowanych oboczności można ilustrować wieloma przykładami. Spotykamy je na każdym kroku m.in. w wariantach mowy kresowej, którą posługuje się Kostek Biernacki.

Tyle o spółgłoskach.

Dużo trudniejsza jest wymowa kresowych samogłosek. Zwłaszcza *o* *u* *i* cechują się lekką dyftongizacją „*o* „*u* „*i*”, trudną do zapisania i ledwie zauważalną, lecz nadającą charakter całemu brzmieniu.

Nie mniej trudne jest zapisanie i naśladowanie lekko pochylonych *e* *o*. Do wyrazi-

stych przypadków należy tu samogłoska najczęściej pisana ó. Po kresowemu nie tylko jej historyczna odmienność od o czy u często zachowuje się w brzmieniu odrębnym, pośrednim między jedną a drugą, ale ta trzecia samogłoska pojawia się także w mnóstwie wyrazów pisanych obecnie przez zwykłe o lub u, jak *ołtarz* i *tłumaczyć*, *anioł*, ale również *ból*, *nóż*, *wieczór*, *coś* i *próbować*, które w istocie wymawia się (a dawniej też pisywano) *ółtarz* i *tłómaczyć*, *aniól* itd. Ale nie „ułtarz, tłumaczyć, aniuł, bul, nuż, wieczur, cuś, prubować” i nie „ołtarz, łomaczyć, anioł, bol, noż, wieczor, coś, probować”, jak usiłują niekiedy stylizować ludzie nie władający autentyczną wymową. Bo w przeciwieństwie do polskiej opozycji samogłosek o/u po kresowiacku rozróżnia się trzy samogłoski o/ó/u. W końcówce dopełniacza liczby mnogiej -ów też występuje ta właśnie pośrednia samogłoska.

Z licznych przemian, jakim ulegały na Kresach polskie samogłoski nosowe, wspomnę tylko o tym, że w końcowym *ą* nosowość jest co najmniej chwiejna i zachowywała się głównie w przypadku, gdy mówiący chciał podkreślić staranną, polską czyli pańską wymowę. Najczęściej przechodziła w zwyczajne o, zwłaszcza w koniugacji: *Robio, co sami chco*.

Poza tym w deklinacji końcowe *ę* mogło się realizować jako *a*. Na przykład: w bierniku: *Weź ta ręka ze stołu*. Możliwe jednak, że pozostał w tym ślad pradawnego *ą* jako nosowego *a* zamiast *o*, ponieważ nie występuje ono w narzędniku, gdzie mamy tylko: *Weź to ręko widelec*. Zdarza się natomiast, że w takim deklinacyjnym *a* pojawia się ledwie dostrzegalny ślad nosowości.

Trzeba podkreślić, że subtelności te ujawnią się we właściwej lekturze tekstu Bierackiego, choć na pozór nie zapisane.

Wreszcie kwestia akcentu wyrazowego.

W najróżniejszych zapożyczeniach, cytatach, imionach własnych mowa kresowa zachowuje akcent ruchomy, albo prościej mówiąc: ukraiński czy białoruski, a nie polski na przedostatniej sylabie. Ten odmienny akcent często ukrywa się w zapisie i trzeba go np. zarejestrować w objaśnieniach. Więc dopełniacz od nazw *Tajkury* i *Samostrieły* trzeba akcentować: *Tajkúr* i *Samostriél*. W wyrazach oscylujących na granicy pełnego przyswojenia zdarza się, że można akcentować tak lub inaczej. Często zależy to po prostu od ekspresji.

Oto najtypowsze z przykładów: *bałwan* albo *bałwán*, *pódlec* albo *podléc*, *czumák* albo *czúmak*, *niechrýst* albo *niéchryst*, *tarákan* albo *tarakán*, *pojecháli* albo *pojéchal*, *nielékka* albo *nielekká* z pierwotnego *nielehká* w znaczeniu: zła siła, cholera itp. Ale zawsze *niecháj*. W wielu imionach męskich akcent końcowy cofa się w miarę spolszczenia: *Kondrát* w *Kóndrat* itp.

Z tym zapewne wiąże się reguła niemalże gramatyczna: w rozkazującym trybie akcent jeśli nie zawsze, to nadzwyczaj często pada na ostatnią sylabę. Więc nie tylko *idź*, *weźmij* lub *dawáj*, co można by jeszcze przypisać zapożyczeniu z innych języków, ale również *postáv* i *stawiáj*, *wynós* z akcentowanym *o*, *kupúj*, *darúj*, *naciész się*, *zajrzýj*,

nie łążj, udérz, pokáz itd. Inny znaczący przykład: zwrot spełni się wola twoja ktoś nieświadomy zrozumie jako czas przyszły, jeżeli nie wskazać rzeczywistego miejsca akcentu: spełni się wola twoja. A wtedy spełni to nie czas przyszły, tylko tryb rozkazujący: „niech się spełni”, tak iż całość znaczy po prostu: bądź wola twoja. W tymże trybie rozkazującym lub życzącym, czyli nie „bądź”, tylko „niech będzie”.

Stale trzeba pamiętać, że w zestrojach akcentowych na ogół nie występuje typowo polskie zjawisko przenoszenia akcentu na przyimek, partykułę przeczącą itp. A więc zawsze *ze wśi, nieráz i coráz, za drzwí, za tó, we łbie i nie ma*, a nie *zé wsi, niéraz, córaz, zá drzwi, zá to, wé łbie i nie ma*. Tak i z czasownikami: *nie stoj i nie boj się* z akcentem na *stoj i boj*, nawet jeśli z polskim przegłosem *stój i bój*. Z reguły: *nie znál, nie miál* zamiast polskiego *nie znał, nie miał* itd. Tendencja ta sięga nawet do wyrazów z przedrostkiem, od czasowników w rodzaju *poszédł, poszła, ubíc, zakrył* i wielu podobnych po inne części mowy.

Nie trzeba zapominać, że w *Strasznym gościu* spotykamy też wyraźne wtrącenia białoruskie, ukraińskie i rosyjskie. Do takich cytatów nie odnoszą się zasady polszczyzny kresowej. Lecz granica między nimi jest płynna i często bywa zatarta. Mimo to całość narracji włożonej w usta starego Kosty, czyli większa część utworu, wymawia się w swoistej fonetyce kresowej. Dotyczy to niemal każdego słowa, nawet jeśli wygląda na całkiem zwyczajne. A zwłaszcza intonacji, całkiem innej niż polska. Można się co najwyżej wahać, jak wymówić to, co przynajmniej w intencji było czystą polszczyzną. Czy nie tak powinno być artykułowane? Chociaż Kostia z pewnością to też po swojemu zniekształcał.

Wreszcie ta sprawa najtrudniejsza jak w zapisie, tak i do nauczenia się lub realizacji głosowej: intonacja. Wiąże się z nią choćby funkcjonalność i specyfika akcentu zdaniowego, ekspresywność tej mowy i możliwość wyrażania różnych podtekstów. Ale jak to przekazać?

Na tle dość monotonnej w tym względzie polszczyzny ogólnej kresowiacka jest tu zjawiskiem niezwykłym.

Lecz nie ma innego sposobu, żeby je ocalić i dowiedzieć się, o co w nim chodzi, niż nagranie na żywo. Należałoby to uczynić na skalę jak największą, dopóki jeszcze żyje trochę ludzi, mających te intonacje w uchu, w pamięci, w odruchu. I dopóki nie zglajchszaltuje się polszczyzna także w wykonaniu zespołów kultury kresowej, na szczęście jeszcze działających, chociaż dość wyraźnie osuwających się na poziom najniższego wspólnego mianownika.

Pismo i druk nic tu nie poradzą.

Kto ciekaw, niech jednak sięgnie do gruntownej pracy Zofii Kurzowej *Polszczyzna Lwowa i kresów południowoschodnich do 1939 roku* (Kraków 1983 Państwowe Wydawnictwo Naukowe). Dotyczy ona, zgodnie z tytułem, głównie obszaru południowego, czyli bardziej ukraińskiego niż białoruskiego, lecz rozgraniczenie to nie jest zbyt wyraziste. A chociaż niektóre sprawy, jak np. akcentu wyrazowego i zdaniowego, zostały

potraktowane niestety zbyt pobieżnie lub w ogóle pominięte, wnikliwość opracowania innych zagadnień i bogactwo zawartego materiału m.in. idiomatycznego i leksykalnego sprawiają, że to dzieło nieocenione dla interesujących się kresową polszczyzną.

Nota edytorska

Pierwsze i jedyne wydanie *Strasznego gościa* ukazało się w 1932 roku w Krakowie nakładem Domu Książki Polskiej.

Nie udało się znaleźć spadkobierców autora. Podobno jego bratanek żył przed laty gdzieś w Europie zachodniej, ale wszelkie poszukiwania spełzły na niczym. W razie, gdyby odnalazł się on albo ktokolwiek ze spadkobierców, proszony jest o porozumienie się z naszym wydawnictwem.

Może wtedy wyszłaby na jaw także zaginiona powieść o Bolesławie Śmiałym i moglibyśmy ją opublikować?

Pierwodruk *Strasznego gościa* był dość porządny i opracowanie redakcyjne ograniczyło się do małych poprawek w interpunkcji lub drobnych pomyłek w pisowni. Robiłem to na zasadach wyżej opisanych. Ktoś nie znający, nie słyszający brzmienia, obrotu i melodii mowy kresowej nie mógłby tego zrobić, chociażby dlatego, że nie odróżniłby, co w pierwodruku jest (nadzwyczaj rzadko) błędem wynikłym z przypadku, a co właśnie tak ma być.

Ja zaś sprowadziłem swe ingerencje do minimum.

Szczególnym przypadkiem jest końcówka *-emi*. Wynikła ona nie z wymowy, tylko z ortografii obowiązującej do 1936 roku, więc poprawienie na dzisiejsze *-ymi* nie narusza rzeczywistej wymowy.

Do wyrazów obcych i gwarowych też nie stosuję rygorów poprawności, bez względu na to, czy są białoruskie, ukraińskie czy rosyjskie. Fonetyka tych języków miesza się tu na każdym kroku. Do szczególnie uderzających przykładów należą nieregularności w rozróżnianiu *y* od *i*, zmiękczenia spółgłosek lub ich twardości, rozmaite stopnie akania, czyli przekształcania się nieakcentowanej samogłoski *o*. Jak wiadomo, w języku ukraińskim nie ma tego przegłosu, gdzie w białoruskim jest wyraźne *a*, natomiast w rosyjskim cała gama samogłosek przejściowych między jedną a drugą. Tutaj zaś mieszają się wszystkie trzy języki i polski jako czwarty, często w jednym zdaniu, a czasami w jednym wyrazie.

W braku jakiegokolwiek potocznej normalizacji nie da się określić, gdzie mamy do czynienia z niedokładnością zapisu, a gdzie z rejestracją żywej mowy lokalnych gwar i dialektów. Oczywiście wpływ i zaplecze polszczyzny tym bardziej prowadziły do rozsypanki takich czy innych reguł. Tak było w codziennej praktyce. I taką nie konfrontowaną z żadnymi zasadami różnorodność musimy pozostawić w tekście autorskim, bez względu na możliwe przypuszczenia, skąd mogła wziąć się w każdym poszczególnym przypad-

ku.

Odgrzebawszy swe odruchy językowe sprzed sześćdziesięciu i siedemdziesięciu lat nagrałem kilka tekstów i fragmentów w takim brzmieniu, jakie naprawdę miały i powinny mieć te opowieści. Inne zostały już albo dopiero będą nagrane, w całości albo w skrótach, może i przez kogo innego. Nasze sposoby wymawiania też nie są jednakowe i oddają raczej praktykę, wycucie, brzmienie z różnych okolic i czasów. Kilka tych produkcji nadano już przez radio. Mam nadzieję, że w następnym wydaniu książki uda się je dołączyć w formie płyty albo kasety.

Robert Stiller